

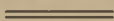
54

Egz. archiwalny IBL

105

PN 54/55

WŁ. ST. REYMONT



PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRTEM AUTORA

TOM III

CHŁOPI

TOM II



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ == POZNAŃ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA

<http://rcin.org.pl>

340

Egz. archiwalny IBL

WŁ. ST. REYMONT

Bergna

o chłopach

V.

na dole

CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

II

ZIMA



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

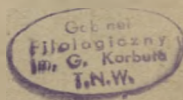
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ == POZNAŃ

KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA

<http://rcin.org.pl>

24 325-326



907/3

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

<http://rcin.org.pl>

Zima.

I.

Nadchodziła zima...

— jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłuła po sinych dalach jako ten zwierz srogi i głodny, że niewiada było, kiej przeprze a skoczy i lutemi kłami weźre się we świat...

jeszcze czasami pruszył śnieg nikły, płowy — jesienny śnieg

— jeszcze przychodziły dnie osłupiałe, chorością sine, ckne, stęgliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowem światłem mżące — dnie trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwoźniej belkotały wody i toczyły się leniwo jakby strachem stężące, ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ — w niezgłębioną topiel chmur

— jeszcze noce były jesienne: ośleple, głuche, zamętne a pełne strzępów mgieł i brzasków gwiazd pomarłych — rozgnitłe noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi; pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targan marzących drzewin, żalonych głosów ptactwa, szukają-

cego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrewniałych chat, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, mlaskań okropnych, przeszywających jęków

— jeszcze czasami, o zachodzie, z posępnych pól ołowianego nieba wylupywało się czerwone, ogromne słońce i spadało ciężko, niby kadełko roztopionego żelaza, z której buchaly krwawe wrzutki i biły dymy smoliste, czarne, popręgowane gorejącymi żagwiami, że świat cały stawał w lunach i w pożodze —

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

— Zima rośnie i na złych wichrach przyjedzie.

I rosła zima, rosła codzien, co godzina, co to oczymnienie.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoś wnet po św. Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichem, omdlałem zaraniu, spadły pierwsze krótkie, trzepotliwe wiatry, obleciały ziemię ze skowytom, jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach, poszarpały śniegi, potarposiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś co starszych strzech i ogrodzeń i jęły się zwijać a ze skomleniem uciekać na bory — a po nich, zaraz na odwieczny, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby kolczaste jęzory wicherów.

Wiały noc całą, a tak zasię skowyczały w polach, kiej to stado zgłodniałych wilków; a hulaly rzetelnie, bo

ano rankiem ziemia już dropiała z pod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzie niegdzie ino po dołkach i brózdach bielily się poszarpane płoty, a zagony świeciły lysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostremi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo — ale skoro dzień nastał, uciekły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne lby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały siwe grzywy, zielonawemi kłami błyskały i szły całym stadem — groźną, ponurą i milczącą ciżbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonemi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu, z za borów czarnych, nieruchomych wysuwały się zwolna sine, obrzękle zwały, prześwitujące gdzie niegdzie jakby ogniem, a szły jedna za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przedwieczne, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwone, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych — jakby pełne tego gmerzącego robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami brudnemi, to

sypały się barwione jako te żuźle stygnące — a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalaly niebo czarnym, strasznym kipinięciem błota i rumowisk...

Świat zagnała poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkiem stworzeniem — widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą szerścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyźbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegła ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa, i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkotłowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne — uderzyły na wieś i zalaly wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębiły zagnała, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wichur, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczem niepowstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i z rozskowyczoną, wściekłą zgrają były w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalaly je do dna, przeżerały nawskroś i rozmiatały niby tę stonę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szумы, świsty, kurzawa.

Chmury stratowane ostremi kopytami wichrów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianemi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą.

Ale wichry wiały wciąż, bezmała całą niedzielę, a bez folgi żadnej ni przystanku. Dnie, to tam jeszcze jako tako człowiek wstrzymać wstrzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała, drugie zaś po chałupach siedzieli i końca wyglądali, ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwiażdżone i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała djabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopa obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kiej szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych wozów a w pędzie największym przejeżdżało po grudzie, a te tętenty od których ziemia drżała, a te hukania Bóg wie czyje, te wrzaski, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgły, podważała okapy, za przyciesie się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gnietła, aż trza było wśród nocy wstawać i przytykać poduszkami, bo darła się do wnętrza z kwikiem, kiej ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami a kostnieli!

Co się naród nacierpiał przez te dnie i noce, to i nie wypowiedzieć!

A co szkód narobiła, to i nie zliczyć: poobalala płoty, powydzierała poszycia, u wójta prawie nową szope

przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania, Winciorkom komin zwała, we młynie udarła kawał dranicowego dachu, a co strat pomniejszych! co drzew wylała w sadach i borach! Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły wpoprzek, kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte.

W te wiejne i wrzaskliwe dni Lipce były jakby wymarłe; wichura hulała po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiiała za leb i waliła gdzie popadło — w rowy, o drzewa, na płoty ciepała, a nawet Jaśka Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypała piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchół pomniejszy, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały!

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów.

Gnietli się też po zadymionych chałupach i swarzyli z ckności nie mało, bo ciężko było nosa pokazać za węgiel, tyła, że co niecierpliwsze kobiety przebierały się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie by pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś mlóciły zawzięcie, z poza przywartych wrótni stodoł były cepy od rana do późnego wieczora, mróz owarzył zboże, to łacniej się łuszczyło, a ino na odwieczerzu, kiej wichura nieco folgowała, niejeden z parobków prze-mykał się z ćwiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz

krzepciej, że już od tej wiejby pozamarzały rzeczki i strugi, bagna stęzały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle, że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i niedawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przyręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą św. Łucją przyszła odmiana.

Mróz sfołzał i ociepliło się ździebko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu przedmuchnęły świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posepnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmroczalo się nieco i jął padać śnieg dużemi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtaniu było już śniegu na dobre trzy piędzie, do cna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat całą modrawą białnością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskróż tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i przychylone nieco zasłuchało się uoczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrżanej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się by ta welna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; suły się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepli w szron i starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały — przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość, w ten oślepiający tuman, a wkońcu nie było już dla oczów nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy, ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo niewiada skąd płynące, dokąd — a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że wkońcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice, buchające brudnemi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawałą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, bo nocami przedzierały się gwiazdne migoty, a w dzień morderzało niebo gdzie niegdzie wskroś tych polatujących paździerzy białych, i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami ale zawracał rychło, bo drogi były nie do prze-

bycia; gdzie niegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwałali śniegi z przed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci, to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroiło się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniególkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutnie czynili, a saneczkami się cią-gali, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogoj utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, pruszyło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo pochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, temi śniegami omroczonemi rozbie-lona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej mocy wyzuta.

— Choćby i ten najlekciejszy wiaterek a zakurki będą — szepnął rankiem, na drugi dzień, stary Bylica, wyzierając przez okienko.

— Niechta będą, zarówno mi jedno! — burknął Antek, dźwigając się z pościeli.

Hanka zażęgła ogień w kominie i wyjrzała przed sień. Wcześniej było, koguty piałły po wsi, mrok leżał gruby jeszcze, jakby kto wapno zmieszał na poły z sadzą i przetrząsnął świat, że nierozeznał ni drzew, ni chałup, ni da-lekości, ino na wschodzie tliły się brzaski niby te spowie-

łałe zarzewia, a na ziemi leżała głęboka cichość i chłód surowy wionął.

W izbie też był ziąb przenikający, wilgotny, a tak chwytny, że Hanka wzięła trepy na bosc nogi, w kominie ledwie się tliło, bo jałowcowa świeżyzna ino trzeszczała i dymila, aż Hanka uścibnęła drzazek z jakiejś deski, to słomy powtykała, aż wreszcie gałęzie się zajęły płomieniem i rozświetliły nieco.

— Naleciało go tyła, że i na całą zimę starczy — zagadał znów stary, wychuchując szybkę, obrośniętą zielonawym, grubym lodem, by w świat popatrzeć.

Starszy chłopak, któremu już było na czwarty rok, zaczął chlipać w łóżku, a z drugiej strony domu, z mieszkania Stachów, rozbrzmiewały ostre głosy kłótni, wyrzekañ i piski dziecińskie i trzaskanie drzwiami.

— Weronka swoim pacierzem dzień zaczyna! — szepnął urągliwie Antek, okręcając nogi nagrzanemi przed kominem onuczka.

— Przyuczyła się trajkotać, to i trajkocze, chocia nie potrza, ale to nie bez złość, nie... — jąkał cicho stary.

— A juści — dzieciśka też tłucze nie bez złość? — albo Stachowi nie da dobrego słowa, ino ciągiem huruburu, jak na tego psa, to pewnie z dobrości? — mówiła Hanka, przyklękając do kołyski, by dać piersi młodszemu, któren też popłakiwał a kulasami grzebał.

— Ile? — trzy niedziele jak u waja siedzimy w chalupie, a to i dzień jeden obyć się nie obył bez wrzasków, a bijatyki, a tego kłyźnienia! Pies to, nie kobieta! A Stacho ciamajda i pozwala sobie kołki ciesać na łbie, robi jak wół, a gorzej ma od psa.

Stary spojrział lękliwie, chciał nawet coś rzec w obronie, gdy właśnie drzwi się otwały od sieni i Stacho wraził głowę wraz z cepami, co je niósł na ramieniu.

— Antek, chcesz iść do młocki? Organista powiedział, bym sobie dobrał kogo do jęczmienia, a suchy i dobrze, letko się otrzaskuje... — napierał mi się Filip, ale jeżeli chcesz... to juści zarób sobie...

— Bóg zapłać, weźcie Filipa, ja ta u organisty wyrabiał nie będę.

— Twoja wola. Panu Bogu oddaję.

Hanka aż się zerwała na odpowiedź Antkowi, wnet jednak przychyliła się i wtuliła głowę w kolebkę, by lez nie pokazać i tego strapienia!

— Jakże, taka zima, taka skrzytwa, taka bieda, że żyją jeno ziemniakami ze sołą, grosza jednego niema, a on robić nie chce! Całe dnie przesiaduje w chałupie, papierosy kurzy i duma! — albo znów gania po świecie, jak ten głupi, za wiatrem chyba! Mój Boże, moj Boże, — jękała boleśnie! — Już nawet Jankiel nie chce borgować, krowę przyjdzie sprzedać, cóż, uparł się to i sprzeda a do roboty się nie weźmie... Juści, prawda, że mu to i nijako na wyrobek iść, markotno, ale co począć, co? Żeby to ona chłopem była, mój Boże, nie żałowałaby pazurów, a to choćby kulas po łokcie urobić, by ino krowy nie sprzedać, by ino zwiesny doczekać, zimę przetrzymać... Ale co ja uradzę biedna, co?... — Rozskrzypiała się jej tak dusza, że rady dać sobie nie mogła.

Wzięła się do zwykłych, codziennych obrządków, a ukradkiem spozierała na męża, którego siedział przed kominem, okręcił w połę kozucha starszego chłopaka

i ociepiał mu nożęta dłonią nagrzewaną, patrzył ponuro w ogień i wzdychał; stary pod oknem obierał ziemniaki.

Milczenie przykre, niepokojące, przesycone tajonemi żałami, wezbrane dławiającym uczuciem nędzy, motalo się między nimi. Nie spoglądali sobie w oczy, nie przemawiali, słowa więzły w strapieniach, uśmiechy zgasty, w oczach błyskały tłumione wyrzuty, a w bladych, wynędzniałych twarzach widniała gorycz, żale się snuły, a zarazem harda, żelazna nieustępliwość. Przeszło już trzy tygodnie od wypędzenia z ojcowej chałupy, i tyle dni długich, tyle nocy, a nie przepomnieli oboje jeszcze niczego, nie przeboleli krzywdy, ni opamiętali się w zawziętości — tak mocno czuli, jakby się to stało w tem oczymgnieniu.

Ogień trzaskał wesoło, ciepło się rozlewało po izbie aż lód na szybach topniał, i te smugi śniegu, nawianego szparami, tajaly pod przyciesiami, a gliniiany tok pocił się i odpływał rosą.

— Przyjdą te żydy? — spytała wreszcie.

— Powiedziały, że przyjdą.

I znowu ani słowa więcej. Jakże, któreż miało rzecz pierwsze i co? — Hanka?... kiej się bojała gemby oze wrzeć, by te żale nabrane w serce nie lunęły z niej choćby i poniewoli! — Nie, taila wszystko w sobie i powstrzymywała jak mogła. Antek? cóż miał powiadać? — że mu źle? i bez tego wiadomo, a do przyjacielstwa nie był nigdy skory i do ugwarzania się choćby i z kobietą swoją ochoty nie miał! Jakże tu i mówić, kiej duszę przeżerała nienawiść, kiej za każdym wspominkiem serce mu

się kurczyło z bolenia a pazury się rozczapierzały taką złością, że choćby na całą wieś, a gotów się był rzucić!

Już nie nosił słodkich wspominków o Jagnie, jakby jej nigdy nie miłował, jakby nie brał w te same ręce, którymi teraz gotów był ją rozdzierać. Ale żalu do niej nie miał.

— »Kobieta niektóra jest jako ten pies zwleczony, pójdzie za każdym, kto ino większą skibką przynęci, albo i kijem postraszy«. — Myślał o niej, nieczęsto jednak, bo mu ginęła w pamięci pod nawalą krwawiących, żywych i bolesnych uraz do ojca. Stary był winowaty, ociec to był tym krzywdzicielem, tym osękiem, któren się wbił w samo serce i bolał coraz ostrzej, przez niego to wszystko, przez niego!

I zbierał, zgarniał w siebie wszystko zło, wszystkie krzywdy, jakich doznał, i przepowiadał je jako ten pacierz niezapomniany! Różaniec ci to był bolesny i jątrzący, ale go sobie przewłóczył przez serce, by jeszcze lepiej zapamiętać!

O swoją biedę nie stał; chłop zdrowy, to byle miał dach nad głową, więcej mu nie potrza, o dzieciska niech kobieta zabiega, ale sama czysta krzywda go piekła kiej ogień i rosła wciąż, rozrastała się w nim niby ta parząca pokrzywa! Bo i jakże, trzy niedziele dopiero, a już się cała wieś odwróciła od niego, jakby go nieznali, jakby przybłąda był ze świata, omijali go kiej zapowietrzonego, nikt nie zagadał, do chałupy nie zajrzał, nie pożałował, dobrego słowa nie dał — a jak na tego zbója spoglądali.

Nie, to nie, napraszał się nie będzie, ale i po kątach krył nie będzie, ni ustępował nikomu z drogi. Kiej na

udry to na udry! Ale dlaczego to wszystko? Że się z ojcem pobił? Pierwszy raz to we wsi, czy co! Czy to Józek Wachnik nie bije się co dni parę?... Czy to Stach Płoszka nie przetrącił kulasa swojemu? a nikt im marnego słowa nie powiedział, ino jego postponują, bo na kogo Pan Bóg, to i wszyscy święci. Starego to robota, starego, ale zapłacone miał będzie za wszystko, zapłacone.

Jeno dychał odemstą i myśleniem o niej, a cały ten czas żył w gorączce i niepamięci: do roboty się nie brał, o biedzie nie myślał, w jutro nie patrzył, ino się po tych mękach ciężkich tulał i darł w sobie. Nieraz nocami zrywał się z pościeli i leciał na wieś, błakał się po drogach, w ciemnicach się krył i marzył zemstę srogą, poprzysięgał, iż nie daruje swojego.

Śniadanie zjedli w cichości, a on wciąż siedział osowiały i przeżuwał te wspominki kiej oset kolący a gorzki.

Dzień się już duży zrobił, ogień przygasł, a przez odmrożone nieco szybki biło białawe, zimne światło śniegów; lodowe, smutne brzaski roztrzęsały się po kątach i obnażały izbę, że stanęła w całej nędzy.

Mój Boże, Borynowa chałupa dworem się widziała przy tej ruderze; co chałupa, nawet obora ojцова sposobniejsza była la ludzi. Chlew to przegniły nie dom; kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgnilego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przymarzłego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród był gorszy, niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany spaczne, struchlałe, przegniłe, że wilgoć lała się po nich, a w kątach mróz trząsał siwą brodą; ściany pełne dziur pozapychanych

gliną a miejscami słomą z nawozem! A niski pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajęczonej więcej w nim było niżli desek. Jedne sprzęty i statki, co coś niecoś przykrywały tę nędzę, a te parę świętych obrazów na ścianach, zaś drąg z ubiorem rozwieszonym i skrzynia przysłaniały przegrodę chróścianą, za którą mieściły się krowy.

Hanka, chocia powoli, a rychło obrządziła gospodarstwo; juści niewiela tego było: krowa, jałowica, prosiak, gąsków parę i kurków, to i cała parada i bogactwo całe. Ubrała chłopaków, że wnet się przetoczyli do sieni zabawić z Weronczynemi dziećmi, wrychle też jazgoty a wrzaski szły stamtąd, a sama przygarniała się nieco, jako że kupcy przyjść mieli, i na wieś trza było iść.

Właśnie chciała się z mężem naredzić i coś niecoś pogadać przódzi o tej sprzedaży, ale nie śmiała zacząć, bo Antek wciąż siedział przed wygasłym kominem, zapatrzony gdziesik, ponury, aż strach ją obleciał.

— Co mu jest? Zezuła trepy, by go ino nie jątrzyć hałasem, ale coraz częściej spozierała na niego z trwożliwą czułością i niepokojem.

— Ciężej mu, bo nie taki kiej drugie, ciężej — myślała i okrutna chęć ją wzięła zagadać, popytać, uzałic się nad nim, już przystanęła z boku, już miała to dobre słowo w sercu wzruszonym — nie śmiała jednak. Jak tu i rzec było, kiej na nią nie zważa, jakby całkiem nie widział nic koło siebie! Westchnęła boleśnie; nie letko jej było na duszy, nie — nie drujkosę czuła ano w sercu miodową a ten gorzki piołun! Mój Jezu, inaczej mają drugie, choćby i te komornice, a lepiej. — A tu na jej

głowie wszystko leży, turbuj się, zabiegaj, starunek o wszystkim miej, kłopotcz się, ani zagadać do kogo, ni się przed kim wyzalić! Niechby ją skrzyczał, niechby nawet i zbił, wiedziałyby, że w chałupie jest chłop czujny, nie drewno. A ten nic, czasem burknie kiej pies zły, abo i spojrzy, że jakby kto mrozem oblał duszę — ani przemówić do niego, ni przystąpić z tem szczerem sercem, jak to zwyczajnie bywa w małżeńskim stanie abo i w przyjacielstwie. Hale, powiesz co, użalisz się, juści! Co mu ta kobieta, co żona — tyła by chałupy pilnowała, jeść uwarzyła i dzieciaków strzegła. Abo to dba o co? bo to kiej przyhołubi, popieści, dobrością zniewoli, przygarnie mocno, ugwarzy się? Nie stoi on o to wszystko, nie! imo się ciągiem myśleniem górno nosi, jak obcy zachowuje, że i nie wie, co się wedle niego dzieje! A ty człowieku sama bierz wszystko na swoją głowę, sama cierp, wydzieraj się, turbuj, a jeszcze ci i tem dobrem słowem nie odpląca!...

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żalności, ni lez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach, buchnęła głośną skargą...

— I ciebie zabraknie bydłatko, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą, żywicielko nasza... w cały świat!... — szeptała, obejmując ją za szyję i tuląc rozbolełą duszę do tego stworzenia ozującego. Nie powstrzymywała jęków, ni płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść niema co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młocki, choć proszą, nie idzie, a choćby i ten złoty groszy

dwadzieścia zarobil na dzień, na sólby było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

— Antek! — powiedziała ostro, śmieie, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrział smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew a serce zatłukło się litością...

— Mówiłeś, by przyszli po krowę? — rzekła cicho i dziwnie miętko.

— Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

— Ni, w Sikorowem obejściu naszczekują, — powiedziała wyjrzawszy.

— Przed południem się obiecali, to ino ich patrzeć.

— Musimy to przedać, co?

— Jakże, grosza potrzeba, paszy też la dwóch nie-starczy... musimy Hanuś, cóż poradzę... szkoda krowy... juści... ale kto niema grosza, nie umacza i nosa... — mówił cicho i z taką dobrocią, że Hance stajała dusza a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tem oczymgnieniu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udręki w tę twarz umiłowaną, a słuchała tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

— Juści, że trzeba. Jałowica ostanie, ocieli się jako w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy — powtórzyła, byle ino on mówił dalej.

— A jakby zabrakło paszy, to się dokupi.

— Owsianki chyba, bo żytniej starczy do zwiesiny Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć, czy ziemniaki nie przewiane.

— Siedźcie, za ciężka la was robota, ja odkopię. Podniósł się, zdjął kozuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom!

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobrą staję od drogi, a nie osłonięty ni płotem, ni sadem; kilka dzikich, pokręconych trześni rosło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce cho-rością poskręcane. Z przed okien, to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznać z pod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopca, a chociaż świeży, uleżał się już i stężał nieco, że trza go było krajać w cegły; zapocił się też niezgorzej, nim odwalil, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz wraz rzucał pecyną na dzieci, baraszkujące przed progiem, ino chwilami, gdy mu się przypomniały udręki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świecie. Wzdychał i znowu się błakał duszą, jak ta owca zgubiona w noc ciemną. A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kozuchem i leżały, jak okiem sięgnąć, modrawą i ogłuchłą, martwą równiną; mgliste i przejęte stężaleni szronami powietrze przesłaniało świat wszystkim niby przędzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórk, to wieś widniała kieby na dłoni, rzędy kopic albo i tych kre-

towisk śnieżnych siedziały wpodłe siebie i wiedły się wydłużonym wiankiem dookoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem. Kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowemi czapami, ino głosy rażno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głucho, jak gdyby z pod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła nic, ino ta przeogromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznac było nieba od ziemi, jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek niedługo się błakał po śnieżnem pustkowiu, nawrócił znowu oczy na wieś, za ojcową chałupą gonił, niezdażył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlaźła do dołu i stamtąd skrzeczała.

— Nie przemarzły! Wachnikom tak wiatry przeziębily, że z pół dołu musieli świniami spaść, a nasze zdrowe.

— A dobrze. Wyjdz no, widzi mi się, że idą żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

— Juści, że żydy a nie kto drugi, juści że te zapowietrzzone — zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez dróżkę do cna zasypaną i ledwie co poznaconą Stachowemi trepiskami, kopało się dwóch żydów, juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielgą uciechą i szczekaniem, a tak zajadle dobiebrały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obronił.

— Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi,

takie śniegi! ani przejść, ani przejechać, wiecie? —
A w boru to już szarwarkiem przekopują drogę!

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, oddoila mleko, co się jej tam od rana uzbierało i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie a przestąpiwszy próg, wyciągała gembulę, wachała, to śnieg ją zlizywać, aż ni stąd ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie i tak się rwała z postronka, że ledwo ją stary udzierzał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął srogi i tak świdrujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci, czepiając się matczynego wełniaka, uderzyły w krzyk i lament. — Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlarze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydłatka, co próżno się targało na uwięzi, darmo wykręcało do gospodarzy wybaluszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało glucho.

— Jezu!... Na tom cię krowko pasła, na tom zabięła, na tom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie... — lamentowała Hanka, tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły.

Ale po próżnicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu człowiecze nie przepiesz, doli nie przemożesz, ni tego, co być ma...

— Co chcecie? — spytał wreszcie starszy, siwy żyd.

— Trzysta złotych.

— Trzysta złotych, za tę chabaninę! Wy Antoni chory jesteście, czy co?

— Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna — wrzeszczała Hanka.

— Sza... sza... w handlu gniewu niema o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

— Powiedziałem swoje!

— I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no, trzydzieści jeden i pół... no, trzydzieści dwa — dajcie rękę... no, trzydzieści dwa i pół... zgoda!

— Rzekłem.

— Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! — powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

— Za telachną krowę... adyć bójcie się Boga ludzie... krowa kień obóra, sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce, Chrystobije... — jękał stary, oklepując krowę, jeno, że nikt nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi. Antek też stał twardo przy swoim, opuścił coś niecoś, ale nie wiele, bo po prawdzie krowa była dużo warta, i żeby tak na zwieszne i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli jak nic. — Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie — żydy dobrze o tem wiedziały i chocia wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili

w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po półrublu...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyczeć, handryczyć, a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la Bylicy.

Wyplacili zaraz, na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karozmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadziła krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gładziła po gembuli, to pokładała się na niej a odebrać się nie mogła od bydłatka ni przyciszyć frasunku i żalości...

Jeszcze na drodze przystanąła patrzeć za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych!

Tylą krowę stracić, to i niedziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

— Jakby kogo z chałupy na mogiłki wywieźli, tak pusto — rzekła z nawrotem i co trochę zaglądała do pustej zagródkki, to przez okno patrzyła na ścieżkę zdeptaną, poznaczoną lajnem i śladami kopyt, a raz wraz wybuchala płaczem i wyrzekaniem.

— Przestałabyś, a to jak to ciele buczy i buczy — krzyknął Antek, siedząc przed rozłożonemi na stole pieniądze.

— Kogo nie boli, temu wszystko powoli. Nie bolała cię bieda, kiejś krowę zmarnował i żydom na rzeź wydał!

— Hale, ozedrę się pewnie i z lelit ci pieniądze wypuszczę, co?

— Jak te ostatnie komorniki ostalim, jak te dziadki, ani tej kapki mleka, ani pociechy żadnej! Tylem się dorobiła na swoim, tyle! Mój Jezu, mój Jezu! Dru-gie zabiegają, jak te woły orzą i jeszcze coś do domu przykupują, a ten ostatnią krowę, com od ojców dostała, sprzedaje... Już chyba ostatnia marnacja przyjdzie, ostatnia! — zawodziła nieprzytomnie.

— Rycz, to ci ano odelba odciągnie, jakieś głupia i wyrozumienia niemasz! Naści pieniądze, popłać gdzieś winna, kup coć potrzeba a resztę schowaj! — podsunął kupkę pieniędzy, a pięć rubli papierowe schował do pu-laresu.

— Na co ci tyła pieniędzy?

— Na co! z kijem tylko nie pójdę.

— Gdzie się to wybierasz?

— We świat, roboty poszukam, gnit tutaj nie będę!

— We świat! Wszędzie psi boso chodzą, wszędzie biednemu wiater w kłęby wieje! Sama to ostanę, co? — podnosiła głos bezwiednie i groźnie się przysuwała do niego, nie zważał na to — przyodziął się w kozuch, pa-sem opasał i za czapką oglądał.

— U chłopów robił nie będę, żebym miał skapieć, nie będę! — powiedział.

— Organista potrzebuje do młocki!

— Hale, ciarach jeden, ciótek taki, co ino na chórze bękuje a gospodarzom w garście patrzy i żyje tem, co uprosi, lebo co wycygani, do takiego na wyrobek nie pójdę.

— Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci!

— Nie dogaduj! — wrzasnął ze złością.

— Mówię ci co kiedy, naprzykrzam się, a dyc robisz, co chcesz!

— Do dworów pójdę — mówił znów spokojnie — o służbie się jakiej przewiem, może od godów dostanę, choćby na rataja a pójdę, byle tutaj nie śmierdzieć i krzywdy na oczach nie mieć ciągiem, bo nie zdzierzę. Dość mi tego, dość mi tego ludzkiego politunku i tego patrzenia kiej na parszywego psa... We świat iść, gdzie oczy poniesą, byle ino zdala... byle ino prędko!... — zaczął krzyczeć i unosić się.

Hanka zamarła w przerażeniu i stała bez ruchu; jeszcze go takim nie знаła.

— Ostaj z Bogiem, za parę dni wrócę.

— Antek! — krzyknęła rozpaczliwie.

— Czego? — już z sieni nawrócił.

— A to nawet tego słowa dobrego żałujesz... nawet tego...

— Cóżto, ceckał się z tobą będą, może jamorował! Nie to mi w głowie — zatrzasnął drzwi i poszedł.

Poświstywał przez zęby, wspierał się kijem i szedł rażno, aż śnieg skrzypiał pod nogami, obejrzał się na chałupę. Hanka stała pod ścianą i zanosila się od płaczu, a przez drugie okno wyglądała Weronka.

— Ścierwa, buczy i buczy — do tego to rozum ma! — We świat! we świat — szeptał i rozglądał się dokoła, leciał z oczami wskrós przeszraniałych bielizn śnieżnych! Rwała go tęsknota jakaś, parła, rzucała przed się, że z radością myślał o innych wsiach, o ludziach

nowych i życiu innem. Niespodzianie mu to przyszło, samo z siebie nań spadło, i tak go porwało z nagłą, jak kieby wezbrana woda kierz słaby bierze, że ani oprzeć się temu, ni nawrócić. Doła go rzuciła we świat.

Jeszcze godzinę temu, ani myślał, że pójdzie, ani wiedział. Samo przyszło, ze świata, z wiatrem pewnie nawiała ta chęć i rozzarzyła mu serce niepowstrzyma-
nem pragnieniem ucieczki. Wyrobek nie wyrobek, byle ino stąd iść... Hej! uleciałby jako ten ptak, we wszystkich świat niósłby się, na bory, na te nieobjęte ziemnice... Juści, co mu tu kapieć, czego doczekać? Już go te wspominki przeżarły, że dusza na wiór wyschła, a co mu z tego?... Książd jest prawy, dobrze mu wyłożył, że w sądzie z ojcem nie wygra, a jeszcze sporo grosza dołoży. A z pomstą poczeka w sposobniejszy czas, w sposobniejszy; jeszcze takiego niema, któremuby darował krzywdy... A teraz ino iść przed się, gdzie bądź, byle zdaleka od Lipiec...

— Gdzieby najpierwej?...

Stanął na skrócie w topolową drogę i nieco waha-
jąco rozglądał się po zgubionych w omgleniu polach, zimno go przejęło, że zęby mu szczękały i trząśł się we środku.

— Przez wieś i drogą za młynem pójdę. — Zdecydował prędko i skręcił do wsi; nie uszedł jeszcze i pół staja, gdy usunąć się musiał w bok, pod topole — środkiem drogi, wprost na niego waliły jakieś sanie w kłębach kurzawy, a ostro i z dzwonieniem.

Jechał Boryna z Jagusią, sam powoził, konie rwały z kopyta, podrywając sankowem pudełkiem kiej piórkiem, a stary jeszcze podcinał batem, przwnaglał i coś ze śmie-

chem powiadał. Jaguś też w głos mówiła, urwała naraz, spostrzegłszy Antka, wpili się oczami w siebie na mgnienie, na ten jeden błysk i roznieśli w dwie strony, sanki przesunęły się wnet i utonęły w kurzawie, ale Antek z miejsca się nie ruszył, skamieniał zgoła, jeno patrzył za nimi... wychylali się czasem ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały, i ginęli, przepadali, jakby wskroś tej bielizny pędzili... pod dachem oszroniałych gałęzi, co splecione jakby sklepienie czyniły, jakoby ducht przebity w śniegach, a podstępowane czarniawemi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i pochylone, przyginały się niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze... Patrzył wciąż w jej oczy, stały przed nim, skrzyły się w śniegach kiej te nowe kwiatki, na drodze wyrastały wszędzie, a patrzyły zestrachane i żalodne, zdumione, a radosne zarazem, przejmujące i żywym ogniem rozbłysłe.

Przygasła mu dusza, omgłiła się, jakby te szrony przysypały go do dna i nawskroś przejęły, że ino te modre oczy same jedne w nim jaśniały. Zwiesił głowę i powlókł się wolno, odwracał się raz i drugi, ale już nic nie było widać pod topolami, czasem jeno dzwonek zajęknął woddali i kurzawa zamajaczyła.

Zapomniał o wszystkim, jakby znągła duszę zgubił, pamięć go odeszła, oglądał się bezradnie, nie wiedzący co począć... gdzie iść... co się stało? — jakby w sen na jawie się pogrążył i ocknąć nie mógł.

Prawie niewiedzący, nawrócił do karczmy, wymijając parę sań zapelnionych ludźmi, ale choć pilnie patrzył, nie rozeznał nikogo.

— Gdzie taką hurmą walą? — spytał Jankla, stojącego na progu.

— Do sądu. Sprawa z dworem o krowy, o pobicie pastuchów, wiecie! Ze świadkami jadą, a Boryna pojechał przodem.

— Wygrają to?

— Poco mają przegrać! Dziedzica z Woli skarżą, sądzi dziedzic z Rudki, to i dlaczego ma dziedzic przegrać? A ludzie się przejadą, drogi przetrą, zabawią się — w mieście też potrzebują nasi utargować. Wszyscy po trochu wygrają, wszyscy.

Antek nie słuchał przekpiwań, kazał dać okowitki, wsparł się o szynkwasy i stał tak zapatrzony przed się, nieprzytomny prawie, z dobrą godzinę, nie tknąwszy nawet kieliszka.

— Wam coś jest?

— I... coby zaś miało być... — puście do alkierza.

— Nie można, tam siedzą kupcy, wielkie kupcy, oni drugą porębę kupili od dziedzica, te na Wilczych dołach, to potrzebują spokojności, może nawet i śpią.

— A to parchów za brody powyciągam i na śnieg wyciepne — krzyknął i rzucił się zapamiętale ku alkierzowi, ale od drzwi zawrócił, zabrał butelkę i wcisnął się za stół, w najciemniejszy kąt.

Pusto było w karczmie i cicho, tyła co tam żydy coś zakrzyczały po swojemu, że Jankiel biegł do nich, albo ktoś wszedł na kieliszek, wypił i wynosił się.

Dzień się już przetaczał na drugą stronę a i mróz brać musiał, bo skrzypiały płozy sań na śniegu i chłód wiał po karczmie. Antek zaś siedział, popijał zwolna,

niby to medytował, a zgoła niewiedział, co się działo w nim i dookoła.

Pił kwaterkę po kwaterce, a te oczy wciąż morderzały przed nim, tak blisko były, tak blisko, że je powiekami prawie dotykał; wypił trzecią... jaśniały wciąż, jeno się jęły kołować, chwiać i po karczmie nosić jako te światła. Mróz go przeszedł ze strachu, zerwał się na nogi, trzasnął butelką o stół, że w kawałki się rozprysnęła i szedł ku drzwiom.

— Zapłaćcie! — krzyczał Jankiel, zabiegając mu drogę. — Zapłaćcie, ja wam borgować nie będę.

— Z drogi psiakrew żydzie, bo cię zakatrupię! — wrzasnął z taką mocą, że żyd zbladł i spiesznie się usunął.

Antek ino gruchnął w drzwi i wybiegł.

II.

Jakoś o samem południu dzień się nieco rozjaśnił, ale ino tyła, coby kto łuczywem przeciągnął po świetle, bo wnet zgasło i omroczało, jakby śnieg narastał i sobsobił się znowu.

W izbie Antków też było dziwnie mroczno, chłodno i smutnie; dzieci bawiły się na łóżku i zcicha do się krzeczorzyły, kiej te kurczątko zestraszzone, a Hanką tak podrzucała niespokojność, że rady sobie dać nie mogła. Chodziła z kąta w kąt, wyglądała przez okno, to przed domem stała i z rozpalonemi oczami wodziła po śniegach. Hale, ani żywej duszy nie ujrzał na drogach, ni na polach — parę sań przewlekło się od karczmy i zginęło pod

topolami, jakby się zapadły w tej śniegowej topieli, że ni znaku, ni głosu nie zostało po nich. Nic, jeno ta cichość zmartwiała i pustka nieprzejrzana!

— Żeby choć ten dziad jaki zajrzał, żeby choć z kim zagadać! — westchnęła.

— Kucusie! kucu, kucu, ku-cu! — zaczęła gonić po śniegach kury, bo się rozłaziły i szukały miejsc na trześniach. Pozanosila je na grzędy, a z powrotem, wywarła gembę na Weronkę, bo jakże, tamta wystawiła do sieni cebratkę z pomyjami dla gadziny, a te zapowietrzzone świntuchy rozlały na ziemię, że kałuża stanęła pod drzwiami.

— ...to świń pilnuj, kiej się za gospodynię masz, dzieciom przykaż... ja bez ciebie nie będę się taplała w błocie... — wykrzykiwała przez drzwi.

— ...sprzedała krowę, to głos tu będzie zabierać, ale, błoto już jej przeszkadza, wielka pani, a sama kiej w chlewie siedzi...

— ...Tobie wara, gdzie siedzę i wara ci do mojej krowy!

— ...To i do moich prosiaków ci wara, słyszysz!

Hanka ino trzasnęła drzwiami, bo co miała odpowiadać takiej piekielnicy — rzec jej to jakie słowo, to ona i na półkopku nie poprzestanie, a jeszcze i do bicia gotowa. — Przywarła drzwi na haczyk, wydobyła pieniądze i wzięła się biedzić nad rozliczaniem. Niemało się utrudziła nad tylachnem pieniędzy a i myliło się jej wciąż; zgiewana jeszcze była na Weronkę i niespokojna o Antka, to znowu widziało się jej często, że krasula

czegoś postępuje... albo ją zalewały przypominki ojcowego domu.

— ...juści, że jakby w chlewie siedzimy, juści! — szeptała, rozglądając się po izbie — a tam i podłoga, okna jak się patrzy, ściany bielone, i ciepło, i czysto, i wszystkiego po grdykę... Co oni tam robią?... Józka zmywa statki po obiedzie, a Jagna prządzie i przez czyste, niezamarzłe szyby na świat spogląda... brak jej to czego!... wszystkie korale dostała po nieboszczce, a tyle welniaków, tyle szmat, tyle chust... Nie narobi się, nie umartwi niczem, tłusto zje... Stacho powiadał przecie, że Jagustynka za nią robi, a ona do białego dnia się wyleguje pod pierzyną i herbatę popija... ziemniaki jej nie służą... a stary się ino przymila i kiej koło dzieciątka zabiega...

Gniew ją przejął nagły, aż się porwała od skrzynki i pogroziła pięścią.

— Złodziej, ścierwa, złodziej, lakudra jedna, tłuk! — wykrzyknęła w głos, aż stary, co był na przypiecku drzemał, zerwał się przestraszony.

— Ociec, przytkajcie ziemniaki ocipką i dół obwalcie śniegiem, bo na mróz się ma — szepnęła spokojniej, zabierając się znowu do liczenia.

Staremu coś niesporo szła robota, śniegu była kupa, a sił wiele nie miał, a i te dwa złote postronkowego nie dały mu spokoju, na stole świeciły się dwie złotówki, prawie nowe, dobrze pamiętał.

— Może i dadzą... — myślał — komuż to się przynależą?... aż mu kulas stergł od postronka, tak się krasuła wydzieriała... wstrzymał przecie... a kupcom to nie

zachwalał... słyszeli... cheba dadzą... Zarazby starszemu, Pietrusiowi na pierwszym odpuszcie kupił organki... młodszemu by też trza... Weronczynym dzieciom też... zbóje są i uprzykrzone, ale trza... a sobie tabaki... krzepkiej ino, jazby we wąpiach zawierciło, bo Stachowa słaba... ani człek nie kichnie od niej... — Rozliczał a tak zwawo robił, że gdy w godzinę jaką Hanka wyjrzała, to ledwie słoma była pokryta śniegiem.

— Za chłopca to zjecie, ale i za dziecko nie zrobicie...

— Adyc się śpieszę Hanuś, inom się zadychał ździebko, tom tego powietrza łapał... pierunem będzie... pierunem... — jąkał przestraszony.

— Wieczór już pod lasem, mróz bierze, a cały dół rozwalony, jakby go świnię spyskały. Idźcie do chałupy dzieci pilnować.

Sama się zabrała do śniegu i tak ostro, że w jakie dwa pacierze dół był przywalony i galanto oklepany.

Ale mroczeń już poczynało, gdy skończyła; w izbie chłód się podnosił przejmujący, gliniany, mokry tok tężał i dudnił pod trepami kiej klepisko, mróz brał z miejsca i znowu a wzorzysto pokrywał szybki, dzieci skwierczały zcicha, jakby przyglądne nieco, nie przyciszała ich, bo czasu nie było. A to sieczki musiała urznąć dla jałowicy, prosiaka nakarmić, bo pokwikiwał i cisnął się do drzwi, gąski napoić, a to jeszcze raz przepowiedziała sobie, ile i komu miała zapłacić, aż obrządziwszy wszystko, zabrała się do wyjścia.

— Ociec, napalcie ogień a miejcie baczenie na

dzieci, za parę pacierzy przyjdę, a jakby Antek wrócił, to kapusta jest w rynce na blasze...

— Dobrze Hanuś, napalę, przypilnuję, a kapusta jest w rynce, baczę Hanuś, baczę...

— A te postronkowe wzięłam, nie potrza wam przecież, jeść macie, szmaty macie, czegoż wam więcej?...

— Juści... wszystko mam Hanuś, wszystko... — szeptał cichutko, odwrócił się szybko do dzieci, bo łzy posypały mu się z oczów.

Mróz ją obwionął na powietrzu, że mocniej zaciągnęła zapaskę na głowę, śnieg skrzypiał pod nogami, na ziemię sypał się mrok modrawy, suchy i dziwnie przejrzysty, niebo było jasne, kieby szklane, odsłonięte w dachach i już kajś niekajś w wysokościach trzęsła się gwiazda jedna i druga.

Hanka raz wraz macała za pazuchą, czy ma pieniądze, a rozmyślała, że przepyta się tu i owdzie a może znajdzie, może uprosi robotę jaką dla Antka, a we świat mu iść nieda! Teraz dopiero przyszło jej do głowy, co był wygadywał, i aż ją zamroczyło to przypomnienie. Nie, póki życia na drugą wieś się nie przeniesie, pomiędzy obcych nie pójdzie, adyby uschnęła z tęsknicy!

Ogarnęła oczami drogę, zasypane domy, sady ledwie widne z pod śniegów i te szarzejące, nieskończone pola. Wieczór cichy i mroźny opadał coraz prędzej, gwiazd przybywało, jakby je kto rozsiewał pełną garścią, a na ziemi przygasłej wskrósł śnieżnych bielizn wybliskiwały światelka chałup, dymy czuć było w powietrzu, ludzie snuli się po drodze, głosy jakieś leciały nisko, nad śniegami.

— Z tegom wyrosła i jako ten wiater nie będę się tłucla po świecie, nie! — szeptała z mocą, zwolniła nieco, bo zapadała miejscami w chrupiący śnieg aż po kolana, że trepy trzeba było wyciągać!

— Tu mnie Pan Jezus dał na świat, to już tutaj do śmierci zostanę. Aby ino do zwiesny przetrzymać, to już łacniej będzie, lekciej. A nie zechce Antek robić, to i tak po proszonem nie pójdę, do przedzenia się wezmę, do tkania, do czegobądź, byle ino pazury zaczepić i biedzie się nie dać... prawda, dyć Weronika a tkaniem zarabia tele, że jeszcze i ten grosz zapaśny mają... rozważała, skręcając do karczmy. Pochwaliła Boga, Jankiel odrzekł: Na wieki, i kiwał się zwyczajnie nad książką, nie bacząc na nią, dopiero gdy położyła przed nim pieniądze, uśmiechnął się przyjaźnie, rozjaśnił więcej światło w lampie wiszącej, pomógł jej liczyć i nawet wódką poczęstował. O Antkowym zaś długu, ni o nim samym nie rzekł ni słowa; zmyślna jucha była, bo co ta kobiecie wiedzieć o chłopskich jenteresach, w głowe dobrze nie weźmie, nie wyrozumie, jak potrza, a ino z pyskiem wyjechać gotowa. Dopiero kiej się zabierała do wyjścia, powiedział!

— A wasz co robi?

— Antek... a poszedł szukać roboty!

— Bo to we wsi brak — we młynie tartak robią, ja też potrzebuję kogo sprawnego do zwózki drzewa.

— Hale, w karczmie mój robił nie będzie! — wykrzyknęła.

— Niech sobie śpi, niech wypoczywa, kiedy taki pan! Wy macie gęsi, podpaście trochę, kupię na święta.

— Zaśbym tam sprzedawała, ostawiłam ino tyła, co na chowanie!

— Kupicie na wiosnę młode, mnie potrzeba podpasionych. Chcecie, to możecie brać na bóg wszystko, a zapłacicie gęsiami, policzymy się...

— Nie, gąsków nie sprzedam.

— Sprzedacie, jak krasulę zjecie, to nawet tanio sprzedacie.

— Niedoczekanie twoje parchu jeden! — szepnęła wychodząc.

Mróz brał, aż w nozdrzach wierciło, niebo iskrzyło się już gwiazdami a od borów pociągał mroźny, szczypiący wiatr. Szła jednak wolną śródkiem drogi i ciekawie się rozpatrywała po chałupach: świeciło się u Wachników, którzy siedzieli ostatni przed kościołem; z obejścia Ploszków buchała wrzawa głosów i kwiki świń; w plebanji gorzały wszystkie okna i jakieś konie były niecierpliwie kopytami przed gankiem; u Kłębów zaś, co w podle księdza siedzieli, też jaśniało światło i ktosik chodził koło obór, bo słyhać było skrzywienie śniegu pod trepami a dalej, z przed kościoła, skąd wieś się rozchodziła kieby w te dwie ręce obejmujące staw, mało co było widać wskróż nocy, ino gdzie niedgdzie z mroczonej bielizny mżyło światelko jakieś, albo pies naszczekiwał.

Hanka popatrzyła ku ojcowej chałupie, westchnęła i zawróciła z przed kościoła w długie opłótki, wiodące między Kłębowym sadem a księżym ogrodem, do organistów. Dróżka była zasypana, ledwie co przetarta, wąska, a tak przysłonięta krzami obwisłymi pod śniegiem, że co chwila sypał się na nią z trąconych gałęzi.

Dom stał w głębi, w księżym podwórzu a ino wyjazd miał osobny, krzyki jakieś odeń szły i płacze, a przed sienią czerniała skrzynka, to leżały na śniegu porozrzućcane szmaty, pierzyna, rupiecie jakieś... Magda, dziewczka organistów, zanosila się płaczem i krzyczała w niebogłosy pod ścianą.

— Wygnali mię! Wypędzili mię! Jak tego psa na mróz, w cały świat! A gdzie ja się sierota podzieję teraz, gdzie!

— Nie krzycz mi tu, świnió jedna! — wrzasnął głos z sieni wywartej. — Wezmę kija, to wnet zmiłkniesz! A wynoś mi się w te pędy, do Franka idź, łajdusie jeden!

— Jak się macie Borynowa! Mościewy, a to już od jesieni wiadomo było... a mówiłam, prosiłam, zaklinałam, strzegłam — a bo to łajdusa ustrzeże! Wszyscy spać a ona we świat, wypacerowała teraz sobie bękartą! A bo to raz mówiłam: Magda, zastanów się, pomiaruj, on się z tobą nie ożeni... to mi się w żywe oczy zapierała wszystkiego. Juści, zobaczyłam, że dziewczka grubnieje i rośnie jak na drożdżach, to jej jak komu dobremu powiadam: idź, skryj się gdzie na drugą wieś póki czas, póki ludzie nie widzą jeszcze... A bo to usłuchała... Aż ją dzisiaj wzięły boleści w oborze przy dojeniu... cały skopek mleka wylała... a moja Frania przylata zestraszona i krzyczy, że Magdzie się coś stało! Jezus Marja, w moim domu, taki wstyd, a coby to i ksiądz proboszcz na to powiedział! A wynoś mi się z przed domu, bo cię na drogę wyrzucić każe! — wrzasnęła raz jeszcze, wyskakując przed dom.

Magda porwała się z pod ściany i z płaczem a wyrzekaniem zaczęła zbierać szmaty i wiązać w toboły.

— Chodźcie do mieszkania, bo zimno. Żeby mi tu i znaku po tobie nie zostało! — krzyknęła na odchodnem.

Powiedła Hankę przez długą sień.

Ogromną, niską izbę rozświetlał ogień płonący na trzonie komina. Organista rozdzielony, w koszuli tylko i z podwiniętymi rękawami, czerwony jak rak, siedział przed ogniem i piekł opłatki... co chwila czerpał łyżką z michy rozrobione, płynne ciasto, rozlewał je na żelazną formę, ścisnął, aż syczało, i kładł nad ogniem, wspierając na cegle sztorcem ustawionej, przewracał formę, wyjmował opłatek i rzucał na niski stół, przed którym siedział mały chłopak i obcinał nożyczkami do równa.

Hanka pozdrowiła wszystkich, a organiścinę pocałowała w rękę.

— Siadajcie, rozgrzejcie się, cóż tam u was slychać?

Juści, tak zaraz nie mogła się zebrać na to jakie słowo, nieśmiała, rozglądając się po stancji i zazierając ukradkiem do drugiego pokoju, gdzie wprost drzwi, na długim stole pod ścianą, bielily się stosy opłatków przyściśnięte deską, a dwie dziewczyny składały je w paczki, okręcając papierowymi paskami, zaś w głębi już niedojrzanej brzęczał monotennie głos klawikordu — muzyka snuła się jak pajęczyna, raz wyżej brała, górniej kieby w śpiewie, to znowu cichła, że ino to brzękliwe przebieganie było slychać, abo zasię cosik się rwało nagle i piskało przenikliwie, aż dreszcz Hankę przenikał, a organista wykrzykiwał.

— Te, trąba, zjadłeś fis, jak skwarek! — powtórz od Laudamus pueri...

— Na Gody to już? — spytała, że to nieobyczajnie było siedzieć jako ten mruk.

— Tak, parafja wielka, porozrzucana, a wszystkim przecież trzeba opłatki roznieść przed świętami, to i wczas zaczynać muszę.

— Z pszenicy to?

— Spróbujcie.

Podał jej jeszcze gorący opłatek.

— Zaśbym tam śmiała jeść!

Wzięła go przez zapaskę i przeglądała pod światło ze czcią i trwogą jakąś.

— Jak to na nim wyciśnięte historie różne, Jezus!

— Na prawo w pierwszym kółku, to Matka Boska, św. Jan, Pan Jezus, a w drugim kółku... widzicie... złób, drabinę, bydłatka... dzieciątko Jezus na sianie, św. Józef, Matka Boska, a tu klęczą trzej królowie... — objaśniała organiścina.

— Rychtyk prawda, jak to zmyślnie wszystko udane, prawda!

Obwinęła w chustkę opłatek i schowała za pazuchę, bo chłop jakiś wszedł i coś powiedział, że organista krzyknął.

— Michał! Do chrztu przyjechali, weź klucze i idź do kościoła, bo Jambroży posługuje na plebanji, ksiądz już wie...

Muzyka umilkła i przez izbę przeszedł wysoki, blady chłopak.

— Po bracie sierota, na organistę u mojego praktykuje, z łaski jeno mój go uczy, cóż robić, trza się i nadzarpnąć a krewniakowi pomóc...

Hanka się rozgadała, pomalu, jeżeliwie a dała upust żalom swoim i turbacjom. Od trzech tygodni, pierwszy raz mogła się wygadać do syta.

Słuchali jej. Powiadali swoje, a choć się strzegli, aby o Borynie nie powiedzieć słowa, użalali się nad nią tak pocziwie, aż się pobeczala, a organiścina, że to mądra kobieta, wnet zmiarkowała i pierwsza rzekła:

— Czasu może wam co zbędzie, tobyście oprzędli mi wełnę. Pakulinie miałam dać, ale weźcie wy; tylko na kółku oprzędźcie, bo na przęślicy nie wyjdzie nic równo.

— Bóg zapłać, adyc mi trza roboty, inom prosić nie śmiała...

— No, no, nie dziękujcie; człowiek powinien pomagać drugiemu. Wełna już grempłowana, a będzie jej ze sto funtów.

— Uprzędę, umiem dobrze, przecież u ojca samam dla wszystkich i przędła i tkala i farbowała, nie kupowali na przyodziewek, nie.

— Obaczcie, sucha i miętka.

— Musi być z dworskich owiec, śliczna wełna...

— A jakby wam było potrzeba mąki, kaszy, grochu, to powiedzcie, dam wam, policzymy się w robocie.

Wprowadziła ją do komory, gdzie pełno było worów i beczek ze zbożem; półcie słoniny wisiały na ścianie; przędza całemi pękami zwieszała się od belek, a płótno grubachnemi wałami leżało na kupie, a co grzybów su-

szonych, serów, słoików różnych, a na półkach cały rząd bochnów kiej koła, a inszego dobra toby i niezliczył.

— Równiuško oprzędę, na kółku, Bóg zapłać pani za wspomozienie, ale widzi mi się, co nieudźwignę sama wełny.

— Odeślę wam przez parobka.

— Dobrze, bo to i na wieś jeszcze mi potrza.

Jeszcze raz podziękowała, ale ciszej jakoś i chłodniej — zazdrość ją ugryzła w serce.

— Naród wszystkiego da, naniesie, przysposobi, to mają pełne komory; albo to i presentami nie zdiera! Kto ma owce, ten ma co chce! Niechby tak sami wyrabiali. Hale!... — rozmyślała, wychodząc w opłotki; po Magdzie nie było już śladu, tyła ino, że jakieś stare trepisko czerniało na śniegu, przyspieszyła kroku, bo późno już było, zasiedziała się nieco u organistów.

— Gdzieby to, u kogo przepytać się o robotę la Antka?

Jak gospodynią była, to i przyjacielstwo z nią trzymali wszyscy, ciągiem ktoś do chałupy zaglądał, czegoś potrzebował i w oczy dobrość świadczył... a teraz stoi oto w pośrodku drogi i biedzi się, gdzie iść, do kogo?... Nie, napraszała się nie będzie nikomu, radaby, no z kobietami pogwarzyć po dawnemu.

Postała przed Kłębami, postała przed Szymonową chałupą, ale wejść nie weszła, nie śmiała i przypomniało się jej, że Antek przykazywał zadawać się z ludźmi. — Nie poradzą, nie wspomogą, a użalać się będą nad tobą, jak nad zdechłym psem, mówił.

— Oj prawda, święta prawda! — szepnęła, przypominając organistów.

Hej, żeby to ona chłopem była, zarazby się jąła roboty i zaradziła wszystkiemu. Nie skomlałaby i ludziom przed oczy nie świeciłaby swoją biedą.

Poczuła w sobie taki wilczy głód pracy, takie rozpieranie sił, aż się przeciągnęła i mocniej stąpała, raźniej. Ciągnęło ją też, ciągnęło, by przejść obok ojcowej chałupy, by zajrzeć choćby ino w oplotki, by choć oczy nacieszyć, ale zawróciła z przed kościoła na ścieżynkę utorowaną środkiem zamarzłego stawu i biegnącą ku młynowi i szła prędko, nie rozglądając się na boki, tem ino zajęta, by się na śliskim lodzie nie pośliznąć i by prędzej przejść i nie widzieć, nie rozkrwawiać sobie duszy przypomnieniem, ale nie zdzierżyła, bo tak jakoś nawprost Borynów przystanęła nagle i nie miała mocy oderwać oczów od światel mżących w oknach.

— A przecież to nasze, nasze... jakże to iść we świat... Kowalby wnet zabrał... nie, nie ruszę się stąd... jak pies warowała będę, czy Antek chce czy nie... Ociec nie wieczny, a może co się jeszcze przemieni... dzieciaków na poniewierkę nie dam, ni sama nie pójdę... toć to ich... nasze... — marzyła, wpatrzona w ośnieżony sad, z którego występowały zarysy budynków, białe rozsrebrzone dachy, czerniały ściany, występował w głębi za szopą ostry szczyt brogu. Jakby jej wrosły nogi w lód, że ruszyć się nie mogła, ni oderwać oczów, ni serca rozkołatanego.

Noc cicha, mroźna, granatowa, osypana gwiazdami, jakoby tym piaskiem srebrnym, obtulała zaśnieżoną zie-

mię, drzewa stały bez ruchu, pochylone pod ciężarem śniegów, uśpione, niepojęte w tej cichości, jaka się rozlewała nad światem, niby białe cienie widm, niby stężałe opary, śniegi skrzyły się ledwie uchwytkie, głos wszelaki zamarł, że tylko coś, jakby szelest drgających gwiazd, jakby tętna ziemi przemarzłej, jakby senne dychanie drzew zmartwiałych — drżało w mroźnym powietrzu. A Hanka stała, wciąż nie pomna na czas biegnący, ni na szczypiące, ostre zimno. Przywarła oczami do domu, piła go, obejmowała sercem i brała w siebie z całą mocą głodu i marzenia.

Zbudził ją dopiero skrzyp śniegu, ktoś zeszedł z drogi na staw i kierował się ku niej, a po chwili spotkała się oko w oko z Nastką Gołębianką.

— Hanka! — wykrzyknęła zdumiona.

— Dziwujesz się, jakbym już storgła i po śmierci straszyla!

— Co wam też do głowy przychodzi, dawnom waju nie widziała, tom się zdziwiła. — W którą stronę idziecie?

— A do młyna.

— To i mnie droga, bo Mateuszowi niosę kolację.

— We młynie teraz robi, na młynarczyka praktykuje?

— Gdzieby tam zaś na młynarczyka się sposobił. Na tartaku, co go to postawili przy młynie, a pilno mają, że już i wieczorami robią.

Szły obok siebie, Hanka mało wtóre słowo rzekła, a ino Nastka trzepała wciąż, ale się strzegła, by o Bo-

rynie nic nie powiedzieć, juści, że o to Hanka nie spytała, nijako było, choć radaby posłuchała.

— Dobrze młynarz płaci?

— Po pięć złotych i groszy piętnaście bierze Mateusz...

— Aż tyle! Pięć złotych i...

— Przecież jego to głową wszystko idzie, to i nie dziwota.

Hanka milczała, ale przechodząc wprost kuźni, z której przez wybite szyby buchały czerwone światła i krwawiły śniegi, szepnęła:

— Ten judasz zawsze ma co robić.

— Czeladnika se przybrał, a sam ciągiem jeździ, pono z żydami spółkę trzyma w lesie i razem ludzi oszukują.

— Tną to już poręby?

— W lesie to siedzicie, czy co, że wam nie wiadomo?

— Nie w lesie, ale za nowinami nie biegam po wsi.

— Ato żebyście wiedzieli, rąbią, ale na przykupnem.

— Juści, naszego przecież nie pozwolą tknąć...

— Ino nie wiada, kto zabroni, wójt trzyma ze dworem, sołtys też i wszyscy, co bogatsi.

— Prawda, kto ta bogaczów zmoże, kto ich przeprze... A zajrzyj Nastuś do nas.

— Idźcie z Bogiem, przylecę którego dnia z kądzielą.

Rozstały się przed młynarzowym domem. Nastka poszła do młyna, na dół nieco, a Hanka przez podwórze do kuchni, ledwie się tam dostała, bo pieski się zleciały

i zaczęły doszczekiwać i przypierać ją do ściany, aż Jewka obroniła i powiedła, ale nim się rozgadaly, weszła młynarzowa i zaraz prosto z mostu rzekła:

— Do męża macie interes? Jest we młynie.

Nie czekała, ino poszła, ale spotkała się z nim w pół drogi, poprowadził ją do pokoju, zaraz też zapłaciła mu, co była winna za kaszę i mąkę.

— Krowę zjadacie! — powiedział, zgarniając pieniądze do szuflady.

— Cóż poradzić, kamieni przecie nie ugryzie.

Zła była.

— Wałkoń jest wasz chłop, to wam powiem.

— Jest wałkoń abo i nie jest! Cóż to będzie robił, gdzie, u kogo?

— Niema to młocki we wsi?

— Parobkiem ni wyrobnikiem nie był, to i niedziwota, że się do tego nie rwie.

— Przyzwyczajai się jeszcze, przyzwyczajai! Szkoda mi chłopca, choć wilkiem patrzy i nieustępliwy, rodzzonego nie uszanował, ale szkoda człowieka...

— A dyć mówili... że jest robota u pana młynarza... możeby pan Antka wziął do roboty... dopraszam się... — buchnęła płaczem, obłapiła go za nogi, całowała po rękach, a prosiła gorąco.

— Niech przyjdzie, prosił go nie będę, robota jest, ale ciężka, przy obróbce drzewa pod piły...

— Dyć poradzi, sposobny do wszystkiego, jak mało któren we wsi...

— Wiem, dlatego mówię, żeby przyszedł do roboty, ale swoją drogą źle wy swojego pilnujecie — źle.

Stała wystraszona, nic nie rozumiejąc.

— Chłop ma dzieci i żonę, a za drugimi się uganiam.

Zbladła i poczęła się trząść w sobie.

— Prawdę mówię, wałęsa się po wsi nocami, widzieli go ludzie nieraz jeden...

Odetchnęła z ulgą ogromną, wiedziała przecież o tem i dobrze rozumiała, że go tak pamięć krzywdy rzuca po nocach i spać nie daje... a ludzie zaraz to sobie farbują na swoje.

— Mógł się już wziąć do roboty, zarabzy mu wywietrzały z głowy kochania.

— Gospodarski syn to...

— Dziedzic jucha, w robocie będzie przebierał, jak ta świnia w pełnem korycie. Kiedy takie przebierny, to trzeba było żyć w zgodzie z ojcem, a za Jagusią nie latać... boć to i grzech niemały i wstyd...

— Co też panu w głowie powstało, co? — zawołała prędko.

— Mówię wam, jak jest, cała wieś o tem wie, spytajcie się — zawołał głośno i prędko, że to popędliwy był wielce i zawsze rad prawdę rzniął prosto z mostu.

— Czy to ma przyjść? — zapytała cicho.

— Niech przyjdzie, choćby jutro. Co to wam, czego becycie?...

— Nie, nie, to ino z mrozu...

Wolno powracała, ciężko, jakby ją przygniatało do ziemi, że ledwie nogi podnosiła. Ściemniał świat i śniegi tak poszarzały, że jakoś trafić nie mogła na ścieżkę, próżno przecierała oczy z lez marznących u rzęs, próżno,

nie odszukała, nie widziała nic i szła już w tej ciemnicy nagle a bolącej, Jezus jak bolącej.

— Za Jagusią lata, za Jagusią...

Tchu nie mogła złapać, a serce się jej tłukło jako ten ptak przetrącony, a w głowie kołowało, kołowało, aż wsparła się o jakieś drzewo nad stawem i cisnęła się doń mocno, do bólu.

— Może i nieprawda, może ino cyganil...

Uczepiła się tego ze strachem i oburącz trzymała.

— Mój Jezus, nie dość biedy, nie dość poniewierki, a tu jeszcze i to się zwala na moją biedną głowę, i to — jęknęła rzewnie i aby stłumić ból zaczęła biec prędko, aż do utraty tchu i przytomności, jakby ją wilki gonily, wpadła do izby zadyszana, ledwie żywa.

Antka jeszcze nie było.

Dzieci siedziały przed kominem na dziadkowym kozuchu, a stary strugał im wiatrak i zabawiał.

— Przywieźli wełnę Hanuś, we trzech workach przywieźli...

Rozwiązała wory i w jednym z nich, na wierzchu znalazła bochen chleba, kawał słoniny i z dobre pół garnca kaszy.

— Niech ci Pan Jezus odpłaci za dobrość — szepnęła rozrzewniona i zaraz też narządziła sutą kolację i rychło dzieci spać położyła.

Uciszyło się wnet w całym domu, bo u Weroniki już spali, a stary też wkrótce przyległ na przypiecku i zasnął, Hanka zaś wyporządziła kółko, siadła przed kominem i przędła.

Długo w noc siedziała, do pierwszych kurów,

a wciąż, jak ta nić, wilo się przez nią młynarzowe powiedzenie: za Jagną lata, za Jagną.

Kółko warczało zcicha, jednostajnie, nieustrudzenie, noc zaglądała w okno miesięczną, mroźną twarzą i jakby pobrzękiwała w szybki i wzdychający tulila się do ścian, a chłód wypelzał z kątów, za nogi chwycił i siwą pleśnią rozrastał się po glinianym toku; świerszcz strzykał za kominem, ino czasem przerwał, gdy które dziecko zakrzyczało przez sen, lubo rzuciło się na łóżko— i znowu stawała głęboka, przemarznięta cichość! Mróz brał coraz tęższy i kieby żelaznemi pazurami ścisnął, bo raz wraz trzaskały deski w szczycie, to pogięte stare ściany łupnęły, jakby kto strzelił, to belka niektóra pęczniała od mrozu, potrzaskując zcicha, to snadź ziąb przejął nawskróś przyciesie, że zadygotały zagnała boleśnie i cały dom kurczył się, przywierał do ziemi a drgał z zimnicy.

— Że mnie też do głowy nie przyszło! Juści, taka urodna, taka spaśna, taka przypochebna, a ja co?... Chuchro takie, skóra i gnaty, cóż ja! Czy to umiem go zniewolić do się, czy to śmiem! A choćbym i żyłę każdą wypruła la niego, nic to, kiej serca la mnie niema. — Cóż ja! cóż?...

Niemoc ją ogarnęła, niemoc ogromna, cicha i bolesna, tak strasznie bolesna, że nawet płakać nie mogła, nie miała sił, trzęsła się ino w sobie jako ta drzewina drętwiejąca z zimna, co ani uciecze od męki, ni poratunku uprosi, ni obronić się poradzi — jako ta drzewina skrzyt-wiała Hancyna dusza. Wsparła głowę na kółku, opuściła ręce i zapatrzyła się przed się, w swoją dolę nieszczęsną, w gorzką bezmoc swoją, i długo, długo tak trwała, ino

kiedy niekiedy z pod sinych powiek wysuła się łza jaka paląca i padała na welnę i zamarzała tam w krwawy różaniec boleści.

Ale nazajutrz wstała spokojniejsza nieco, bo i jakże, miała to czas na turbowanie jak jaka dziedziczka! Może tak jest, jak młynarz powiadał a może i nie jest! Opuści to ręce, płakać będzie i wyrzekać, kiej wszystko na jej głowie, i dzieci, i gospodarstwo, i bieda cała! Kto temu zaradzi jak nie ona? Tylko pomodliła się gorąco przed Matką Bolesną, i żeby Pan Jezus odmienił, to się ochfiarowała iść na zwiesnę do Częstochowy, na trzy msze dać i kiedyś, jak się zapomże, zanieść cały kamień wosku do kościoła, na światło przed wielki ołtarz.

Ulżyło jej bardzo, jakby się wypowiedała i ten sakrament święty wzięła, że ostro zabrała się do przędzenia, tylko dzień, chociaż był słoneczny i jasny, dłużył się jej niepomiernie i rozbierała ją troska o Antka.

Przyszedł dopiero wieczorem, na samą kolację, ale był taki zbiedzony, zmarnowany i cichy, a tak się witał pocziwie, dzieciom bułek przyniósł, że prawie zapomniała o podejrzeniach, a gdy jeszcze urznął siczki, i pomagał jej przy obrządku, jak mógł, rozczuliła się tak głęboko, że i wypowiedzieć trudno.

Nie mówił tylko, gdzie był i co robił, juścić nie śmiała o to pytać.

Po kolacji przyszedł Stach, jak to był często zaglądał, choć mu Weronka bronila, a w jakiś czas po nim, najniespodziewaniej, zjawił się stary Kłęb.

Nie mało się zdziwili, bo pierwszy to był człowiek

ze wsi, od czasu ich wygnania, i tak rozumieli, że z jakimś interesem przychodzi.

— Że to nikt ani się pokaże, tom umyślił waju odwieźć — rzekł prosto.

Dziękowali mu też ze szczerą i głęboką wdzięcznością.

Siedli se rzędem na ławie, blisko komina i pogadywali wolno, poważnie, a stary dorzucał gałązek na ogień.

— Mróz niegorszy, co?

— Że i młócić bez kozucha i rękawic trudno — powiedział Stacho.

— A co gorsza, że i wilki się pokazują.

Ze zdumieniem spojrzeli na Kłęba.

— Prawdę mówię, dzisiejszej nocy podkopywały pod wójtów chlew, musiało je coś spłoszyć, że prosiaka nie wzięły, a wygrzebały jamę aż pod przycieś, sam chodzę w południe oglądać, pięciu ich musiało być najmniej!

— To ani chybi, na ciężką zimę znak.

— Przecie mrozy dopiero co wzięły i tu już wilki wychodzą...

— Widziałem pod Wolą, na tej drodze za młynem, wiecie, gęsty ślad, jakby całe stado szło na ukos drogi, przyglądałem się, alem myślał, że to pańskie psy połowe, a to wilki musiały być... — powiedział żywo Antek.

— Byliście to i w porębie? — zagadnął Kłęb.

— Nie, powiadali ino ludzie, że tną ten przykupny las, przy wilczych dołach.

— Powiedział i mnie borowy, że dziedzic nikogo z Lipiec wołać nie będzie do roboty, pono przez złość, że się o swoje upominają.

— Któż mu to las wytnie, jak nie Lipczaki? — wtrąciła Hanka.

— Mościewy, tyła wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania. Mało to w samej Woli, mało to tych kołtunów w Rudce albo i tamtych smoluchów w Dębicy! Niech ino dziedzic krzyknie, to w jeden dzień stanie paręsto najzdatniejszego chłopca. Póki na przykupnem rąbią, niech sobie rąbią, niech się wspomogą, nie wiele tam tego a i dla naszych za daleko.

— A jak nasz bór złączą?... — zapytał Stacho.

— Nie damy! — rzucił krótko i mocno Kłab — Pobarujemy się, niech dziedzic zobaczy, kto mocniejszy, on czy cały naród, niech zobaczy.

Nie mówili już o tem, zbyt to leżało wszystkim na wątrobie i piekło, ino jeszcze Bylica powiedział jękajaco i nieśmiało.

— Znam ja to plemię dziedzicowe z Woli, znam, figla on wam wystroi...

— Niechaj stroi, nie dziecim, to nas nie zwiedzie — zakończył Kłab.

Pogadali jeszcze o wypędzeniu Magdy przez organistów, o czem Kłab rzekł swoje.

— Juści, po ludzku to nie jest, ale i szpitala trudno im było w chałupie zakładać, że to im przecież Magda ni swat ni brat.

Pogadali o tem i owem i rozeszli dosyć późno, a na odchodnem Kłab po swojemu prosto i krótko powiedział,

żeby do niego zachodzili, a jak im czego potrzeba, niech ino rzekną — to czy z leguminy, czy paszy dla jałówki a choćby i te parę złotych — znajdzie się po somszedzku...

Antkowie ostali sami.

Hanka po długim wahaniu, po wielu nieśmiałyeh wzdychach, spytała wreszcie:

— Znalazłeś jaką robotę?

— Nie, byłem we dworze jednym i drugim, przewidywałem się i u ludzi a nie znalazłem... — odpowiedział cicho, nie podnosząc oczów, bo choć prawda, że był tu i owdzie, ale o robotę się nie starał a ino cały ten czas przewalał.

Położyli się, dzieci już spały, ułożone w nogach łóżka dla ciepła; ciemność ogarnęła izbę, tylko księżycowe światło lało się przez zamarznęte, roziskrzzone szybki i przenikało wskroś izby świetlistym pasem, nie zasnęli jednak; Hanka przewracała się z boku na bok i medytowała: teraz powiedzieć o tartaku czy też dopiero jutro rano?

— Szukałem ale choćbym i dostał, nie pójdę ze wsi, nie będę się tłukł po świecie jak ten pies bezpański — szepnął po długim milczeniu.

— To samo umyśliłam, tak samo! — zawołała radośnie — poco szukać chleba po świecie, i we wsi trafia się niezgorszy zarobek, a to młynarz mi powiedział, że ma robotę la ciebie przy tartaku choćby i od jutra a płaci dwa złote i groszy piętnaście.

— Chodziłaś pytać? — krzyknął.

— Nie, płaciłam, com mu była winna a on sam

powiedział, że miał przysłać po ciebie; nawet i nie wspomniałam — tłumaczyła się zestraszona.

Nic już nie odrzekł a i ona milczała; leżeli koło siebie nieruchomie, bez słowa, sen ich odleciał zupełnie, roili coś w utajeniu głębokiem, czasem wzdychali, to roztapiali duszę w tej głuchej, martwej ciszy — psy jakieś naszcze kiwały we wsi, daleko, daleko i słabo, koguty były skrzydłami i piałły już z północks a szum cichy jakby wiatru zahuczał nad chałupą.

— Spisz to? — przysunęła się nieco bliżej.

— Kiej śpik mię odszedł.

Leżał wznak, z rękami nad głową, tak blisko przy niej a tak daleko sercem, daleko myślami — leżał nieruchomy, bez oddechu prawie, bez pamięci, bo Jagusine oczy znowu wyjrzały z ciemności i modrzyły się w księżycowej poświacie...

A Hanka przysunęła się bliżej jeszcze, przywarła gorącą twarzą do jego ramienia, przywarła sercem całym. — Nie, już w niej nie było podejrzeń żadnych, ni żalów, ni goryczy, a ino tem miłowaniem serdecznem, tą lubością duszną pełną dufności i oddania się cisnęła się do jego serca.

— Jantoś, pódziesz to jutro do roboty? — spytała drżąco, byle ino co rzec, byle ino uslyszeć głos jego i zgwarzyć się z jego duszą.

— Może i pójdę, juści, trzeba iść, trzeba... — odpowia dał, nie myśląc o tem.

— Idź Jantoś, idź... — prosiła miętko i zarzuciła mu rękę na szyję i szukała gorące ni ustami jego ust ledwie dyszących.

Ale on nie drgnął nawet, nie odpowiedział, nie poczuł jej uścisku, nie wiedział o niej, szeroko otwartemi oczami patrzył w tamtej oczy, w Jagusine modre oczy.

III.

Na dobrym już dniu, po śniadaniu, młynarz przywiódł Antka na robotę; ostawił go na zajeździe wśród kłoców zwalonych na wielkie kupy, a sam poszedł do Mateusza, którego akuratnie przyręchtowywał drzewo na tartaku i puszczał piły, pogadał z nim cosik i zawołał:

— Róbcie tu sobie a we wszystkim słuchajcie Mateusza, on tu za mnie rządzi — i poszedł zaraz, bo przykry, przejmujący ziąb ciągnął od rzeki.

— Pewnie topora nie macie? — zagadnął Mateusz, schodząc na dół i witając się z nim przyjaźnie.

— Z siekierą przyszedłem, bom nie wiedział.

— To jakbyście się z zębami wybrali, drzewo przemarzło i kruszy się kiej szkło, nicbyście siekierą nie zrobili, nie chyci albo tyła co zębem. Pożyczę wam na dzisiaj topora, trza go ino przyostrzyć a na płask więcej, widzicie... Bartek, weźcie no się do pary z Boryną i tego dąbka rychło wyręchtujecie, bo tam z pił zejdzie niedługo.

Z za olbrzymiego kłoca, leżącego w śniegu, wyprostował się suchy, wysoki a przygarbiony chłop z fajką w zębach, w baranicy siwej na głowie, w żółtym kożuszku, w trepach i czerwonych pasiatych portkach, wsparł się na błyszczącym toporze, strzyknął przez zęby i rzekł wesoło:

— Do mnie to się przyżenicie, nie bójoie się, zrobimy taką parę, co to w zgodzie żyje, bez wrzasków i bijatyk.

— Sielny las, drzewa kiej świece.

— Ale sękate juchy, że niech Bóg broni, jakby krzemieniem nabijane, rzadki ten dzień, w którym topór się nie wyszczerbi. Ino swojego nie ostrzcie do sucha i gładka, trzeba z włosem ciągnąć po kamieniu, w jedną stronę, to ostrze mocniejsze, z żelazem to jak i z drugim człowiekiem, utrafisz w co lubi, a powiedziesz kiej tego pieska na postroneczku, gdzie ino ci się uwidzi; taczalnik stoi w młynicy pod jaglakiem...

Może w jakiś pacierz Antek już stanął do roboty naprzeciw Bartka i jał odwalać szczapy a ociesywać drzewo wzdłuż, do ostrego kantu, wedle Bartkowego namolenia, nie odzywał się jeno, bo go mocno dotknęło, że taki Mateusz a przewodzi jemu, Borynie — ale kiej brzuch błądzi — koszula nie rządzi, to jeno spluwał w garście i przypinał się ze złością do topora.

— Niezgorzej wam idzie, niezgorzej! — zauważył Bartek.

Juści że poradzić poradził, nie dziwna mu była obróbka drzewa a i pomyślenie też miał niezgorsze, tylko że robota była ciężka dla niewłożonego, to się rychło zziajał i zapocił, aż kozuch zciepnął z siebie.

A mróz był tęgi, nie folgował, a że to wciąż trza było stać i grzebać się w śniegu, to ręce grabiały i przywierały do stęśiska i czas się tak dłużył, że ledwie się doczekał południa.

Ale w obiad przegryzł ino suchego chleba, popił

wodą prosto z rzeki i nawet pod dach, do młynicy nie poszedł z drugimi, bał się tam natknąć na znajomków, co byli przywieźli do mlyna i czekali swojej kolei. Jeszczeby wydziwiali nad nim a cieszyli się między sobą z jego poniżenia i biedy, niedoczekanie ich... Ostał na mrozie, przysiadł pod młynicą, gryzł chleb i wodził oczami po tartaku, któren stał nad samą rzeką, węglem ino przywarty do szczytu mlyna, że woda z czterech kół waliła pod niego grubym zielonym wałem i poruszała piły.

Ale i nie wytchnął jeszcze całkiem, ni odpoczął, jak się patrzy a już Mateusz, wracając od młynarza z obiadu, zdaleka krzyczał.

— Wychodź! Wychodź!

To chcąc niechcąc, postępując na krótkie przypołudnie, a trza się było dźwigać i do roboty stawać z drugimi.

A ruchali się żwawo, bo mróz prażył i poganiał galanto.

Mlyn turkotał wciąż, a woda z pod kół obrośniętych w lody, kieby w te klaki zielone i zwite w długie kołtuny, waliła z krzykiem pod tartak, piły trzeszczały bezustannie, jednako jakoby kto szkło gryzł, i pluły żółtemi trocinami. Mateusz zaś uwijał się niestrudzenie, rychtował kloce, zastawiał wodę, puszczał, przybijal drzewo kłamrami do burt, rozmierzał a wciąż hukał i poganiał ludzi, i wszędzie go było pełno, zwijał się jako ten szczygieł przy konopiach, ino migał jego czerwony w zielone pasy spencerek i siwa baranica po podjeździe, na podeptanych, zawiórzonych śniegach, gdzie obrabiali drze-

wo, to do mlyna biegł, to do ludzi zagadywał, rozrządzał, naganiał, śmiał się, przekpinki powiadał i pogwizdywał a siarczyście robił, ale najczęściej widny był na pomoście przy pilach, ile że tartak bokowych ścian nie miał i świecił na przestrzał, a wznosił się nad rzeką dość wysoko na czterech tęgich słupach, o które tak biła woda, że trzciny dach wsparty ino na szczytach drygał niekiedy, niby ta wiecha na wietrze.

— Sprawny jucha! — szepnął Antek z uznaniem, ale nie bez złości.

— Mało to bierze! — odmruknął Bartek.

Zabili ręce o ramiona, bo skrzytwa była coraz cięższa, i robili w milczeniu.

Narodu było dość przy robocie, ino że na pogwarę czasu nie było — dwóch warowało przy pilach, zwałało porzniete kloce na ziem a wciągało nowe, dwóch zaś drugich rozcinało niedorzniete końce i układało tarcice w szychty wielgachne albo co cieńsze i mokrzejšie chronili przed inrozem pod szopami, a jeszcze dwóch obluupywało ze skory dęby, jodły i świerki, że często gęsto, Bartek krzykał do nich, przekpiwając.

— Te, drzyki zapowietrzone, kiej się wyzwolita na hyclów!

Żli byli na to, boć nie psów łupili ze skóry, ale swarzyć się o przewisko nie było czasu, Mateusz tak popędział, że ledwie niekiedy, ukradkiem ino leciał kłóren do młynicy, by rozgrzać zgrabiałe ręce, a z nawrotem nieledwie w dyrdy pośpieszał, bo i sama robota poganiała.

O dobrym już zmroku Antek powlókł się do domu, a tak był przemarznięty, utrudzony i wyzbyty z sił, tak

go bolały wszystkie kości, że zaraz po kolacji poszedł pod pierzynę i zasnął kamieniem.

Hanka nie miała serca wypytywać się go o nic, ale dogadzała mu jak mogła, przyciszała wciąż dzieci, staro nagnała, by buciarami nie hałasował, sama boso chodziła po izbie, by go ino nie przebudzić, a na świtanu, kiedy się zabierał do roboty, uwarzyła mu garnuszek mleka do ziemniaków, by se podjadł i rozgrzał się lepiej.

— Psiakrótko, tak mię gnaty bolą, że ruchać się nie mogę! — wyrzekął.

— To ino tak zrazu, boście niezwyczajni, niewłóżeńi... — tłumaczył stary.

— Przejść przejdzie, wiem. Przyniesiesz to Hanuś obiad?

— Przyniesę, a gdziebyś to latał taki karwas drogi, przyniesę...

Poszedł zaraz, bo trzeba było równo z dniem stać na robocie.

I tak mu się zaczęły dnie ciężkiej, znoonej pracy.

I czy mróz choćby i największą skrzytwą prażył, czy zawierucha dęła i biła wichurą i śniegiem, że oczów nie było można ozewrzeć, czy odwilż przychodziła, że trzeba było stać dnie całe w rozmiękłym śniegu a przykry, wilgotny ziąb w kości wlaził, czy śniegi sypały, że topora własnego mało co widział — trzeba było zrywać się do dnia, biec i dnie długie pracować, aż gnaty trzeszczały i każda żyła zosobna pruća się z utrudzenia, a śpieszyć się do tego, bo cztery piły tak zażerały drzewo, że ledwie mogli nastarczyć, i Mateusz poganiał.

Ale nie to mu się mierzilo, nie ciężka praca, nie

wichry złe, skrzytwy, pluchy czy śniegi srogie, wzwyczajał się był do tego potrochu — bo jak się człek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej — powiedają mądre ludzie, jeno czego znieść nie mógł, to tego Mateuszowego przodownictwa i tych jego ciągłych doskwierań.

Inni już na to nie baczyli, a on za każdą razą kiej posłyszał, wrzał złością, a nieraz tak odwarknął, że tamten ino ślepiami błyskał, a znowu, jakby z rozmysłem do wszystkiego się czepiał, niby nie prosto w oczy, ale tak zawždy utrafił w słabiznę, aż skóra cierpła na Antku i pięście mu się zwierzały, hamował się jednak jeszcze jak mógł, przyciszał a tylko te przygryzki w pamięć zgarniał, czuł dobrze, że Mateusz na okazję czekał, by go z roboty wygonić...

Antkowi zaś tak o robotę nie chodziło wiele, a ino o to, by się nie dać przeprzeć i zmóc bele komu — takiemu łachmytkowi jak Mateusz.

Dość, że się zawzinali na się coraz srożej, bo na samem dnie złości, jak zadra boląca, tkwiła Jagusia. Obaj oni a już zdawna, jeszcze od wiosny, a może i od zapust, chodzili za nią na przyprzążkę, i przepierali jeden drugiego kryjomo, dobrze jednak wiedząc o sobie. Jeno Mateusz robił to prawie na oczach wszystkich i w głos powiadał o swoim miłowaniu, a Antek kryć się z tem musiał, to i głucha, paląca zazdrość parzyła mu serce.

Nigdy oni nie trzymali ze sobą przyjacielstwa a zawdy się boczyli na siebie i odgrażali przed ludźmi, że to i każdy z nich miał się za najmocniejszego chłopca we wsi, ale teraz, z dnia na dzień rosła w nich złość do

siebie i zawziętość, iż po jakimś tygodniu, to się już nie witali a przechodzili mimo, krzesząc ślepiami jako te dwa wilki rozsrożone.

Mateusz nie był zły, ni nieużyty a na sprzeciw serce miał wspomogliwe i szeroką rękę, jeno zbyt dufał w siebie, zbyt się wynosił nad drugie i za nic je sobie ważył, a i tę miał jeszcze wadę, że za takiego się miał kawalera, któremu żadna dziewczucha się nie oparła, lubił się tem puszyć, rozpowiadać, byle ino przodować we wszystkim. Więc i teraz w smak mu to szło i rad gadał, że Antek robi u niego i słucha się we wszystkim, a w oczy pokornie patrzy jak ta trusia, byle go ino z roboty nie wygonił.

Dziwno to było znającym Antka, ale tak miarkowali, że się chłop upokorzył i przygiął, byle ino roboty nie stracić, a drugie zasie dowodzili, że z tego wyjdą jeszcze historje, bo Antek nie daruje i nie dziś to jutro odbije swoje i gotowi byli nawet o zakład iść, że Mateusza spierze na kwaśne jabłko.

Juści, że Antek o tych gadkach nie wiedział, bo do chałup nie zaglądał, znajomków wymijał bez słowa a z roboty wprost do domu szedł i naodwrot, ale dobrze czuł, że tak być musi, bo niezgorzej przezierał Mateusza.

— Przyrychtuję ja cię ścierwo na taką kapustę, że cię psi nie zjedzą, zmięknie ci rura, nie będziesz się puszył i wynosił — wyrwało mu się jednego razu na robocie, aż Bartek posłyszał i rzekł:

— Ponechajcie go, płacą mu za to, by poganiał! — Nie rozumiał stary.

— Nawet pies mnie mierzi, kiej po próznicy szczeka.

— Za bardzo bierzecie do serca, jeszcze się wam zapiecze wątroba, a uważam, że i do roboty gorącuje-cie się...

— Bo mi zimno — rzucił byle co.

— Zwolna trza wszystko, po porządku, zwolna, a i Pan Jezus mógł świat stawić w jeden dzień, a wolał go robić bez cały tydzień, odpoczywający... robota nie ptak, nie poirunie, a narywać się la młynarza czy tam innego, jaka wam wola i mus... a Mateusz jest od tego, kiej ten piesek, co strzeże chudoby, będziecie się to nań złili za szczekanie?...

— Powiedziałem, jak to uważam. Gdzieście to la-tową porą bywali, żem was we wsi nie ujrzał? — za-pytał, aby zmienić rozmowę.

— Niecoś się robiło, niecoś świat Boży oglądało, oczy pasło i duszy rosnać pomagało... — powiadał wolno, obciesując drzewo z drugiej strony, prostował się czasem, rozciągał, aż mu stawy trzaskały, a fajki z zębów nie puszczał i rad prawil.

— Robilem z Mateuszem przy nowym dworze, ale że poganiał i zwiesna była na świecie, pachniało słonko, tom go rzucił, a szli natenczas ludzie do Kalwarji — poszedłem z nimi, by odpustu dostąpić i świata coś niecoś przejrzeć.

— Daleko to do onej Kalwarji?

— Dwa tygodnie szlim, aż za Krakowem, alem nie doszedł. W jednej wsi, gdzieśmy poledniowali, sta-wiał gospodarz chałupę, a tyle się na tem rozumiał, co

koza na pieprzu, zeźliłem się, skląłem juchę, bo drzewa namarnował i ostałem u niego, że to i prosił. Bez dwa miesiące wyrzyczowałem mu dom, że na dwór patrzył, aż mnie za to chciał swatać ze swoją siostrą, wdową, co w podle na pięciu morgach siedziała.

— Pewnikiem stara.

— Bogać ta młoda, ale niczego jeszcze, a jakże, tyła że ino łysawa ździebko, koślawa i świdrem patrzyła, ale na gembie gładka, kiej bochen, którego myszy bez parę niedziel obgryzały, galanta kobieta, dobra, wyżerkę miałem sielną — a to jajecznicę z kielbasą, a to gorzalka z tłustością, a to inne smaki były, a tak się znarowila do mnie, że dzień w dzień pod pierzynę była puszczać gotowa... ażem w nocy się wyniósł we świat...

— Nie było się to przyżeńić, zawždy pięć morgów...

— I zawszony kozuch po nieboszczyku. A mnie co po kobiecie? Zdawna mi już obmierzło to babie nasienie, zdawna! A to nic, jeno krzyczy, wrzeszczy, lata, jako te sroki na płocie, wy słowo a ona dwudziestu kiej grochowinami trzęsie... wy macie rozum a ona ino ozorem zamiata. Mówisz kiej do człowieka, a ta ni wyrozumie, ni rozważy, jeno bele co klepie. Powiadają, że Pan Jezus dał kobiecie ino pół duszy i musi być to prawda... a drugą połówkę djabeł miał narządzić...

— Są i mądre pono, są... — rzekł melancholijnie.

— To i białe wrony pono są, ino, że nikto ich nie widział!

— Nie mieliście to swojej kobiety, co?

— Miałem, miałem!... — urwał nagle, wyprostował się i zapatrzył siwemi oczami w dale, stary już był,

zeschły na wiór, żyłasty, prosty — ino się jakoś przygarbił teraz i fajka mu latała w zębach a typał powiekami prędko, prędko.

— Schodzi, wciągać! — wrzeszczał chłop od pił.

— Prędej tam Bartek, nie stójcie, bo i piły staną — wrzeszczał Mateusz.

— Hale, głupi, rychlej nie można, niżli poradzi. Wlazła gapa na kościół, kracze i myśli, że jest księdzem na ambonie — mruknął ze złością, ale musiało mu się cosik zrobić na wnętrzu, bo częściej odpoczywał, wzdychał i za południem się oglądał.

Dobrze, że zaraz przyszło, bo jakoś i kobiety się już pokazały z dwojakami, a Hanka wychodziła z za węgła młyń. Tartak stanął, poszli wszyscy jeść do młynicy. Antek zaś, że dobrze znał się z młynarczykiem, bo niejedną flachę wypili ze sobą, wpakował się do jego izdebki, nie uciekał już od ludzi, nie stronił od nich, ino im takie oczy pokazywał, że sami go omijali.

W gorącu takim, że ledwie można było dychać, siedziało paru chłopów w kozuchach i pogadywało wesoło, byli to ludzie z dalszych wsi, co do młyń przywieźli i czekali na zmielenie, dokładali torfu do czerwonego już piecyka, kurzyli papierosy, że cała izdebka tonęła w dymie i rajcowali.

Antek usiadł na jakichś workach pod okienkiem, dwojaki wziął pomiędzy kolana i łakomie pojadał kapustę z grochem, a potem kluski ziemniaczane z mlekiem, a Hanka ukucnęła mimo i z rozczuleniem wpatrywała się w niego. Wysechł był od pracy, poczerniał, a od tego robienia na mrozie twarz mu miejscami łuszczyła się ze

skóry, ale mimo to urodny się jej widział jak nikt drugi na świecie. Juści, że tak było, wysoki, prosty, śmigły, w pasie cienki, w barach rozrosły, gibki; a twarz miał długawą, suchą, nos kiej ten dziób jastrzębi jeno nie tak garbaty, oczy wielkie, siwo-zielone, a te brwie, to jakby kto węglem krychę pociągnął przez całe czoło od skroni prawie szły do skroni, że kiedy je w gniewie ściągnął, to aż straszno było patrzeć, a czoło miał wyniosłe ino na pół przysłonięte równo obciętemi, ciemnymi, prawie czarnymi włosami, i wasy golił do cna jak wszyscy, że mu ino te białe zęby grały w czerwonych wargach, jako sznur paciorków... urodny był całkiem, że nigdy dość napatrzeć się nie mogła na niego.

— Nie mógł to ociec przynieść, będziesz to codziennie tyle drogi biegała!

— Gnoju mieli urzucić z pod jałówki, a samam wolala ci przynieść!

Zawsze tak kierowała, by samej obiad przynosić i chociaż popatrzeć na niego.

— Cóż tam? — spytał, dojadając.

— A cóżby! — odprędałam już worek wełny i odniosłam organiścinej pięć proników. Kuntenta była wielce... Pietruś ino jakiś rozpalony, jeść nie je i maty-jasi ciągiem...

— Obżarł się i tyła.

— Pewnie że tak, pewnie... A i Jankiel zachodził po gęsi...

— Sprzedasz to?

— Hale, a na zwiesnę to kupowała będę!

— Jak uważasz tak zrób, twoja w tem głowa.

— A u Wachników znowu się pobily, aż po księdza chodzili, żeby rozbroił... a u Paczesiów ciele pono się udławiło marchwią.

— Co mi ta po tem — mruknął niecierpliwie.

— Organista jeździł po snopkach — powiedziała po chwili, ale już nieśmiało.

— Cóżś dała?

— Dwie przygarście lnu oczesanego i cztery jajka... Powiedział, że jak nam będzie potrzeba, to da wóz owsianki i poczeka na pieniądze do lata albo i na odrobek da. Nie wzięłam, pocóż nam brać od niego... przecież... należy się nam jeszcze paszy od ojca, wzielim ino dwa wozy a z tyłu morgów...

— Nie pójde się upominać i tobie zakazuję. Weź od organisty na odrobek, a nie, to się ostatnie bydłę sprzeda, a pókim żyw, ojca o nie prosił nie będę, rozumiesz...

— Rozumiem, od organisty wziąć...

— A może i zarobię tyła, że starczy, nie bucz ino przy ludziach!

— Dyć nie płaczę, nie... ale weź od młynarza z półkorczyka jęczmienia na kaszę, to taniej wyjdzie, niżli gotową kupować.

— Dobrze, powiem dzisiaj i zostanę na którym wieczór, to się zmiele.

Hanka wyszła, a on pozostał jeszcze, kurząc papierosa, nie wtrącając się do rozmów, jakie chłopci wiedli, a mówili właśnie o bracie dziedzicowym z Wólki.

— Jacek mu było, znałem go dobrze! — zawołał Bartek, wchodząc na ten czas do izdebki.

— To wiecie pewnie, że powrócił z dalekich krajów.
— Nie, myślałem nawet, że już dawno pomarł!
— Żywie, bo coś ze dwie niedziele temu jak przyjechał.

— Wrócił, ale powiadali, że coś niespełna rozumu. We dworze nie chce mieszkać i przeniósł się do lasu, do borowego, sam se wszystko narządza czy jadło, czy też ubiór, aż to dziwno wszystkim, a wieczorami na skrzypkach wygrywa, często gęsto to i po drogach go spotykają, po tych mogiłkach różnych, na których przygrywa...

— Mówili mi, że po wsiach chodzi i wszystkich się wypytuje o jakiegoś Kubę...

— O Kubę! nie jednemu psu lysek.

— Przewiska nie powiada, Kuby jakiegoś szuka, któren go miał pono z wojny wynieść i od śmierci uchronić!

— Był ci u nas Kuba, któren do boru z panami poszedł, ale ten pomarł! — rzucił Antek i podniósł się, bo już Mateusz wrzeszczał za ścianą.

— Wychodźta, co to, do podwieczorku będącietą poledniowali!

Antka porwała złość, że wybiegł i zawołał:

— Nie drzyj się po próznicy, słyszymy wszyscy.

— Obżarł się mięsem, to krzykaniem ulgę sprawia kałdunowi — powiedział Bartek.

— I... krzyczy, by się przed młynarzem zasłużyć — dorzucił któryś.

— Przy jadłe się wylegają, poradzają, gospodarzy juchy udają a całych portek nie pokażą... — mamrotał wciąż Mateusz.

— Do was pije, Antoni, do was!

— Zawrzyj pysk i weź ozór za zęby, bym ci go nie przyciął, a od gospodarzy ci wara! — wrzasnął Antek, gotowy już na wszystko.

Ale Mateusz zamilkł, ino jak ten zbój spoglądał a już cały dzień słowa nie przemówił do nikogo, ale za robotą Antkową pilnie baczył i stróżował go na każdym kroku, ino przyczepić się nie mógł, bo tamten tak robił rzetelnie, że sam młynarz, któren parę razy dziennie przychodził na robotę, to spostrzegł i przy pierwszej wypłacie tygodniowej postąpił mu na całe trzy złote.

Mateusz się wściekał potem, młynarzowi do oczów skakał, ale ten rzekł:

— Dobryś mi ty, dobry mi i on, dobry mi każdy, któren rzetelnie pracuje.

— To ino mnie przez złość pan jemu postąpił.

— Wart jest tyle co Bartek, a może i więcej, tom postąpił. Sprawiedliwy człowiek jestem, niech każdy o tem wie.

— A, bo cisnę wszystko do stu djabłów, i niech se pan sam staje do roboty — groził.

— A ciśnij, poszukaj bułek, kiedy ci chleb nie smakuje, idź, tartak poprowadzi Boryna i do tego za cztery złote na dzień! — powiedział młynarz ze śmiechem, bo ano tak z rozmysłem wszystko rychtował, by mieć taniej robotnika.

Pomiarkował się wnet Mateusz, że młynarz nie ustąpi i nie da się nastraszyć, to nie nastawał więcej, schował złość do Antka głęboko za pazuchę, że go tam żywym ogniem piekła, ale la ludzi zrobił się jakby mięk-

szym i wyrozumialszym, spostrzegli to w lot, a Bartek splunął na to i rzekł do drugich:

— Głupi jako ten psiak, co nie mógł zgryść buta, dostał w zęby, to się teraz do niego łasi. Myślał, że łaskę posiadał, a tak samo go przegonią, niech się tylko lepszy trafi... zawsze tak z bogaczami bywa...

Antkowi zaś zarówno wszystko było, ani rad był z podwyżki, ani cieszyło go zbytnio, że Mateuszowi zmięła rura, i że wieś z niego przekpiwała, o czym powiadali na robocie, tyle go to obchodziło razem, co ten łośński rok, albo i mniej. Nie dla płacy robił, to ino Hankę cieszyło, robił, bo mu się tak podobało, a gdyby zechciał brzuchem do góry wylegiwać — wylegiwałby się, choćby się tam nie wiem co stało. A że upodobał sobie w robocie, to się w niej prosto zapamiętał i chodził jak ten koń w kieracie, co i niepopędzany a w kółku biega, póki go nie zatrzymają.

I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem aż do samych Godów w ciężkiej i bezustannej pracy, aż mu zwolna przycichła dusza i jakby skrzepla na lód, że zgoła niepodobny był do tamtego. Dziwowali się temu ludzie i różnie o tem mówili. Ale to jeno było z wierzchu, dla ludzkich oczów, bo na wnętrzu całkiem było różnie — jako w tej wodzie bystrej i głębokiej, którą mróz w lody okuje i śniegi przysypią — a bełkocze ciągiem, szumi, huka, że ani człek się spodzieje, kiej pęknie powłoka i wody luną... Tak ci było i w nim; robił, harował, pieniądze co do grosza oddawał żonie, w domu przesiadywał wieczorami, a dobry był jak nigdy, cichy, spokojny, dzieci zabawiał, pomagał w gospodarstwie, marnego

słowa nie rzekł nikomu, nie wyrzekał i jakby o wszystkich krzywdach zapomniał — ale nie zwiódł tem wszystkim Hancynego serca, nie; juści, że radowała się tej przemianie i dziękowała za nią Bogu gorąco, a zabiegała koło niego, jak mogła, w oczy mu ciągiem patrzyła, by odgadnąć, czego potrzebuje, służką mu była najwierniejszą i najpamiętliwszą, ale i często łapała oczami jego smutne spojrzenia, często nasłuchiwała strwożona jego wzdychów cichych, często opadały jej ręce i z zamarłym sercem oglądała się dokoła, chcąc przewidzieć, skąd przyjdzie nieszczęście, bo dobrze czuła, że w nim waży się cosik strasznego, cosik, co ino przez moc zdierża, co ino przywarło, przytailo się a ssie mu duszę, ssie...

On zaś ani słowa nie rzekł, źle mu jest czy dobrze, z roboty wracał prosto do domu, o świtaniu się zrywał, kiedy przedzwaniiali na roraty; że co dnia przechodził koło oświetlonego kościoła, co dnia zatrzymywał się wprost kruchty posłuchać grania organów, tych muzyckich głosów, tych brzmień rozdzwonionych, cichych, przejmujących — co jakby z mrozów dźwięczały, jakby z tej przedświtowej szarości się rodziły, jakby z tych zórz miedzianych pobrzękiwały, z lodowych przysłon i z ziemi przemarzłej niosły się tęsknem, łamiącym marzeniem długiego snu, ciężkiego snu zimy, i co dnia przyspieszał kroku, by go nie ujrzeli zasłuchanego, i biegł drugą stroną stawu, dłuższą, byle ino nie przechodzić koło ojcowego domu i nie spotkać nikogo.

Nikogo!

Dlatego też i w niedzielę przesiadywał kamieniem w domu, mimo próśb Hanki, by szedł z nią do kościoła.

Nie i nie. Bał się spotkania z Jagną, dobrze wiedział, że nie zdzierży, nie wytrzyma!

A przytem wiedział od Bartka, z którym się nie-
zgorzej stowarzyszył, i sam czuł, że wieś wciąż się nim
zajmuje, że go pilnują i śledzą na każdym kroku jak złodzieja,
jakby się zmówili na niego — nieraz bowiem spostrzegał
przyczajone za węglami oczy, nieraz czuł jak się oglądają
za nim, jak lecą ciekawe, chwytnie spojrzienia, co radeby do dna
duszy sięgnąć i wypatroszyć ją z każdego zamysłu i przejrzeć
nawskróś. Bolały go te oczy, bo jakby świdrem szły przez dusze,
srodze bolały.

— Nie przegryzicie ścierwy, nie przegryzicie — szeptał nienawistnie,
zacinając się w coraz sroższym gniewie na wszystkich, że
jeszcze bardziej unikał ludzi.

— Nie potrzeba mi nikogo. Tyle mam ze sobą
przyjacielstwa, że ledwie temu poradzę — powiedział
Kłębowi, któren mu wyrzucał, że nigdy do niego nie zajrzy.

I prawdę rzekł, że ledwie ze sobą poradził, prawdę; wzięt
się był mocno w garść, skielznał duszę niby w ten kantar
żelazny i trzymał krzepko, nie popuszczał z uwięzi — ale już
mu coraz częściej mdlała dusza z utrudzenia, i coraz częściej
chciało mu się ciepnąć wszystko i zdać na dołę. — Zła będzie
czy dobra — zarówno mu było, bo życie mu mierzło i przeżerał
go smutek — głęboki smutek, co jak ten jastrząb wczepił się
w serce pazurami i darł i ozdierał.

Ciężko mu było w tem jarzmie, ckno, ciasno i duszno,
jak temu spętanemu koniowi w zagrodzie, jak temu psu na
łańcuchu, jak.. że i nie wypowiedzieć!

Czuł się jako to drzewo rodne, obłamane przez wichry i na zagładę skazane, a schnące powoli w samym środku kwitnącego, zdrowego sadu.

Boć wokoło żyli ludzie, była wieś, życie wrzało zwykłym głębokim belkotem, pluskało jako ta woda bieżąca, rozlewało się wciąż jednakim, bujnym, rzeźwym strumieniem. Lipce żyły zwykłym, codziennym życiem: a to chrzciny wyprawiali u Wachników; zrekowiny odbywały się u Kłębów, choć i bez muzyki, ale zabawiali się jak na adwent przystało; to znowu zmarło się komuś, bodaj że temu Bartkowi, którego to po kopalniach zięcia-szek tak pobił, że chyrlał, kwękał, aż się i przeniósł do Abramka na piwo; to Jagustynka zapozwała znowu dzieci do sądów o wycugi; to insze jeszcze sprawy szły, drugie, a w każdej niemal chałupie coś nowego, że naród miał o czem radzić, z czego się śmiać albo i markocić; a zaś po różnych chałupach, w długie wieczory zimowe zbierały się kobiety z kądzielą na oprzęd — co tam śmiechu było, mój Jezus, co zabawy, co gadek, co krzykań, że aż po drogach szły te gzy wesole. A wszędy co swarów, przyjacielstw, zmawiań, zalecanek, wystawiań przed chałupami, krętaniny, bijatyk, przemawiań ucieśznych — jakoby w tem mrówczem albo pszczelnem rojowisku — że ino huczało w chałupach.

A każdy żył po swojemu, jak mu się widziało, jak mu sposobniej było a społecznie z drugimi, jak Pan Bóg przykazał.

Kto biedował, zabiegał, kłopotał się, kto się zaba-wiał i rad w kieliszki przedzwaniał z przyjaciół, kto się puszył i wynosił nad drugie, kto za dzieuchami się uga-

niał, kto chyrlał i na księżą oborę poglądał, kto na ciepłym przypiecku legiwał — komu radość była, komu smutek, komu zaś ni jedno ni tamto — a wszyscy żyli gwarno, z całej mocy, duszą całą.

Ino on jeden był jakby poza wsią, poza ludźmi, i czuł się jako ten ptak obcy, strachliwy a głodny, — że choć się tłucze koło jarzących okien, choć wzdycha do pełnych brogów, choć radby duszą całą do ludzi — a nie wleci; kołuje ino, zagląda, nasłuchuje, męką się żywi, tęsknicę pije, a nie wleci.

Chyba, żeby Pan Jezus co przemienił... a na dobre.

Ale bał się jeszcze myśleć o takiej przemianie.

Jakoś na dni parę przed Godami spotkał się rano z kowalem, chciał go wyminąć, ale tamten zastąpił mu drogę, pierwszy wyciągnął rękę i rzekł miętko, jakby z żalem.

— Czekalem, że przyjdiesz jak do rodzzonego... poradziłbym, pomógł, chociaż i u mnie się nie przelewa.

— Mogłeś przyjść i pomóc!

— Jakże, pierwszy to miałem się napraszać, żebyś mnie wygonił jak Józkę...

— Juści, kogo nie boli, temu zawsze powoli.

— Nie boli! Jednaka nas krzywda spotkała, to i bolenie jednakie.

— Nie cygań w żywe oczy, hale, myśli, że z głupim ma sprawę...

— Jak tego Pana Boga kocham, tak czystą prawdę rzekłem.

— Lis jucha; leci, wywachuje, kręta się a ogonem

śląd zaciera, żeby nawet wiatru za nim nie złapać i szkody nie pomścić.

— Że na weselu byłem, otoś widzę krzyw na mnie! Prawda, byłem, nie wypieram się, musiałem ano pójść, sam ksiądz namawiał i niewolił, żeby obrazy boskiej z tego nie wyszło, że dzieci osobno a ociec osobno.

— Z namowy księdza poszedłeś — powiedz to drugiemu, uwierzy, ale nie ja. Drzesz ty starego za to przyjacielstwo, jak się ino da, z próżnemi rękami nie odchodzisz...

— Ino głupie nie bierą, jak im dają, ale przeciw tobie nie nastaję, nie, niech cała wieś powie, spytaj się Jagustynki, ona ciągiem przesiaduje u starego, już nawet mówiłem ojcu o zgodzie z tobą... zrobi się to... uładzi... wyrychtuje na glanc...

— Psów se zgódź, nie mnie, słyszysz! Nie prosiłem cię o wojnę, to mnie i ze zgodą nie żeń, widzisz go, jaki mi przyjaciel! Zrobiłbyś zgodę, byś ino mógł mi zwlec z grzbietu choćby ten kozuch ostatni... Mówię ci raz jeszcze, całkiem mnie poniechaj i z drogi mi schodź, bo jak mnie kiedy złość rozbierze, to ci tych wiewiórczych kudłów nadrę i żeber pomacam, nie obronią cię i strażniki, choć z nimi trzymasz. Zapamiętaj to sobie.

Odwrócił się i poszedł, nie obejrzawszy się nawet na tamtego, którego z rozdziawioną gembą na środku drogi ostał.

— Cygan ścierwa, ze starym trzyma i do mnie z przyjacielstwem występuje, a obuby nas z torbami puścił, by ino mógł.

Nie uspokoił się rychło po tem spotkaniu, bo do

tego nie wiedło mu się jakoś dzisiaj od samego rana; ledwie był wziął się do ciesania, wyszczerbił się topór na sęku, a potem zaś, zaraz z przypołudnia, drzewo przygnetło mu nogę, cud prawdziwy, że nie pękła, ale musiał but zezuwać i okładać lodem, bo napuchła i srodze bolała... A do tego i Mateusz dzisiaj był rozżarty jak ten pies, klócił się ze wszystkimi, wciąż mu było źle, wciąż mało, krzyczał, poganiał, a z nim to jakby wyraźnie zwady szukał, że ino, ino do czego gorszego nie przyszło.

Tak się już dziwnie składało, bo nawet tej kaszy, którą miał Franek zrobić na dzisiaj, a o którą Hanka mu co dnia głowę suszyła, nie zrobił i zastawiał się brakiem czasu.

W chałupie też było niezwyčajnie. Hanka chodziła strapiona i zapłakana, bo Piotruś leżał w gorączce jakoby w ogniu, że musiała wołać Jagustynki, aby chłopca okadziła i przemierzyła, bo obsunąć się musiał.

Właśnie przyszła podczas kolacji, przysiadła przed kominem, rozglądała się kryjomo po izbie i dziwną ochotę miała gadać, ino że mało wiele odpowiadali oboje, to zaraz wzięła się oglądać chłopca i lekować..

— Pójdę do młyna, przypilnuję, bo inaczej nie zrobią! — powiedział, biorąc za czapkę.

— Ociec nie mogliby to iść zasypywać!..

— Sam pójdę, to pewniej kasza będzie! — I poszedł śpiesznie, zły był, wzburzony i tak na wnętrzu rozciepany, jako to drzewo samotne na wichurze, a przytem drażniło go wszystko w chałupie, micierpliwiło, a najbardziej te obmacujące, złodziejskie oczy Jagustynki.

Wieczór był cichy, nie mroźny, bo jakoś od rana słońcało mocno, gwiazd było niewiele, ino gdzie niedzie, jak przez zasłony, drgała jaka w dalekościach, wiatr pociągał od lasów, a z nim szedł daleki szum, głuchy, jakby przed odmianą, psy gęsto naszczekiwały po wsi, a co trochę suły się kurzawą śniegi otrząsane z drzew... dymy tłukły się po drodze — a powietrze było wilgotnawe, przejmujące.

We młynie, że to przed świętami, sporo było ludzi; ci, których zboże się męło, warowali przy gankach, reszta siedziała w izdebce młynarczyka, a w pośrodku nich Mateusz snadź coś ceikawego powiadał, bo co chwila wybuchali śmiechem.

Antek cofnął się prawie z progu izdebki i poszedł na młyn szukać Franka.

— Rozprawia się na grobli z Magdą, wiecie, tą wypędzoną od organistów.

Młynarz chciał go wygonić, jeśli dziewczkę raz jeszcze spotka w młynie, a przesiadywała tu całe noce, bo i gdzież się podzieje biedota! — objaśnił go chłop jeden.

— Kto na zwiesnę za czem bryka, od tego zimną umyka! — dorzucił ze śmiechem inny.

Antek przysiadł pod cylindrem, gdzie się najprzedejszą mąkę robiło, a tak jakoś wprost wywartych drzwi izdebki, że widział Mateuszowe plecy i głowy innych pochylonych ku niemu i zasłuchanych, mógł był słyszeć nawet co mówili, bo niedaleko było, ino turkot młyna nie pozwalał, a i sam słuchać nie chciał.

Uwalił się prawie na worach i jakby drzemał nieco ze znużenia.

Młyn turkotał bez przerwy, trząsał się cały, dygotał i pracował wszystkimi gankami, koła trzepały się tak mocno, jakby sto kobiet pralo kijankami a bez przerwy, woda z bełkotliwym krzykiem waliła się przez nie, rozbijała w piany wrzące, w śnieżyste drzazgi i waliła z rykiem do rzeki.

Antek czekał może z godzinę na Franka, ale podniósł się wreszcie, by iść go poszukać na dworze, a zarazem by się orzeźwić nieco, bo śpik go morzył. Drzwi wychodne prowadziły tuż przy izdebce, przeszedł i biorąc już za kłamkę, przystanął nagle, posłyszał prawienie Mateusza.

— ...a stary sam warzy mleko, to herbatę i do pie-rzyny jej nosi... — mówili, że nawet sam koło krów chod-zi i z Jagustynką wszystko obrządza, byle ino ona se raczków nie powalała... pono kupił w mieście porcelenę, by się nie przeziębila za stodołę wychodzić...

Gruchnęli śmiechem ogromnym i dowcipy jak grad się posypały. Antek, sam nie wiedząc dlaczego, cofnął się na dawne miejsce, padł na worki i bezmyślnie patrzył w długą, czerwoną smugę światła, bijącą przez wywarte drzwi izdebki. Nie słyszał nic, turkot przygluszał roz-mowy, młyn dygotał bezustannie, szary tuman pyłów mącznych przysłaniał młynice, lampki wiszące u sufitu gdzie niegdzie migotały z kurzawy białej, żółciły się jak te kocie oczy zaczażone i drygały raz po raz na sznurach. Ale nie mógł wysiedzieć, podniósł się znowu i cicho, na palcach podsunął się pod same drzwi i słuchał.

— ...wszystko mu wytłumaczyła — mówił Ma-teusz — bez plot pono się śpieszyła i bez to — Domini-

kowa przytwierdziła, jako się to często przytrafia dzieuchom, że i ją to samo spotkało w panieństwie... Każda teraz może zganiać na przelaz ostry... a stary baran uwierzył. Taki mądrała a uwierzył...

Śmiali się tak, aż ten rehot po młynicy się rozlegał, aż się pokładali.

Antek przysunął się bliżej, prawie w progę stanął a blady jak trup z zaciśniętymi pięściami, skurczony w sobie, gotowy do skoku.

— A to, co o Antku powiadali — podjął znowu Mateusz, gdy się wyśmiali — że się tam z Jagusią dobrze znali, nie prawda, wiem najlepiej. Sam słyszałem, jak skamlał u drzwi komory niby ten pies, aż go mietlą musiała odganiać. Przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona, ale go przeganiała...

— Widzieliście to, inaczej na wsi mówili... — zapytał któryś...

— Jakże, raz to byłem u niej w komorze, raz mi się to żaliła na niego!

— Łiesz jak ten pies! — krzyknął Antek, przestępując próg.

Mateusz się porwał w ten mig do niego, ale nim mógł zmiarkować cobądź, już Antek skoczył jak ten wilk wściekły, chycił go jedną ręką za orzydle, przydusił, aż tamten dech i głos stracił, drugą ujął za pas, wyrwał z miejsca jak kierz, nogą drzwi wywalił na dwór i poniosł go prędko za tartak, do rzeki ogrodzonej płotem i cisnął go z całej mocy, aż cztery żerdki trzasły kiej słomki, a Mateusz niby kloc ciężki padł we wodę.

Rejwach się uczynił i krzyk wielki, bo rzeka w tem

miejscu bystra była i głęboka, rzucili się ludzie na ratunek i wyciągnęli go rychło, ale był nieprzytomny, ledwie się go docucili. Przyleciał wnet młynarz, przywiedli w parę pacierzy Jambroża, naszło się ludzi ze wsi, aż go przenieśli do młynarzowego domu, bo ciągiem mdlał i żygał krwią. Po księdza nawet posłali, tak się źle z nim widziało, myśleli, że i ranka niedoczeką.

Antek zaś, kiedy Mateusza wynieśli, siadł spokojnie na jego miejscu przed kominem i grzał sobie ręce i pogadywał z Frankiem, który się znalazł — a skoro ludzie powracali i uspokoiło się nieco, rzekł tak głośno, by wszyscy słyszeli, a mocno sobie każdy zapamiętał.

— Kto ino będzie mnie szarpał i nastawał na mnie, każdemu tak zrobię, albo jeszcze lepiej!

Nikt się nie odezwał, patrzyli na niego z głębokim podziwem, z szacunkiem, bo jakże, żeby takiego chłopca jak Mateusz wziąć tak lekko niby ten snopek słomy, ponieść i rzucić do wody! Jeszcze nikt o takim mocarzu nie słyszał!... No, bo żeby się pobili, zmagali i jeden drugiego przemógł, poprzetrącał mu kości, zabił nawet — rzecz zwyczajna! Ale nie, ino wziąć kiej tego szczeniaka za uszy i ciepnać do wody! Że mu ta żebra popękały od żerdeń, nic to, wylekuje się, ale taki wstyd, taki wstyd, tego chyba Mateusz nie przeniesie!... Tak owstydzić człowieka na całe życie!...

— No, no, wicie, moiściewy, tego jeszcze nie było — szęptali między sobą.

Ale Antek na nich nie zważał, zmełł kaszę i koło północkska poszedł do domu; świeciło się jeszcze u młynarza w tej izbie, gdzie złożyli Mateusza.

— Nie będziesz się ścierwo przechwalał więcej, żeś u Jagny w komorze bywał! — szepnął nienawistnie i splunął.

W domu nic nie powiedział, choć Hanka jeszcze nie spała, zajęta przedzeniem, ale rano nie poszedł do roboty, był pewny, że go odprawią, zaraz jednak po śniadaniu przyleciał sam młynarz.

— Chodźcież do roboty, co macie z Mateuszem, to wasza sprawa, nic mi do tego, a tartak stać nie może. Dopóki nie ozdrowieje, prowadźcie robotę, cztery złote i obiad będę wam płacił.

— Nie pójdę, da pan tyle, co Mateuszowi, stanę i nie gorzej poprowadzę.

Młynarz się wściekał, targował, ale przystać musiał, bo nie było rady, zaraz go też zabrał i poszli.

Hanka nic z tego jeszcze nie pojęła, bo o niczem nie wiedziała.

IV.

W wigilję przed Godnemi świętami, już od samego świtania wrzał przyśpieszony, gorączkowy ruch w całym Lipcach.

W nocy, czy też dopiero na odedniu mróz był znowu krzepko chycił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sadią jakby temi szklanemi stróżynami, albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wyłupało i świeciło na modrem, jakby oprzędzonym w cieniuśkie, przejrzyste

mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe, kiej ta hostja w monstrancji utajona, nic nie grzejące, a naprzeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytwą, że dech zapierało i stworzenie wszekkie chodziło w parach oddechów niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozslonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto djamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzzone, a głuche i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wśród bielizin mieniących, że ino cień jego czarny migotał po zagonach, albo to stadko kuropatw skrzykiwało się pod zasypanemi krzami i płochliwie, czujnie ciągnęło chyłkiem ku ludzkim siedzibom, pod brogi pełne; gdzie znów, ale nie często, zajaczek jaki zaczerniał, kicał po śniegach, stawał słupka i drapał stwardniałą skorupę, dobierając się do zboża, ale spłoszony szczekaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawalonych śniegiem, zmartwiałych z zimna. — Pusto i głucho się czyniło na tych nieobjętych okiem równinach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siwiały sady, mrozczały gąszcze, połyskiwały zamarzłe strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brzasków świetlisty wionął światem całym i przenikał nawskróś zlodowaciałą ciszę.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos żywy nie zadrgał, ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych roziskrzonych śniegach —

ledwie niekiedy, czasami, od dróg zgubionych w zaspach tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sanic, ale tak słabo i odległe, że jeszcze nie chylił całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiało i zgoła przepadło w cichościach.

Ale po Lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydłatkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwym, mroźnym powietrzu, kieby muzyka, śmiechy rozgłośnie, wesołe leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy, jak oszalałe, tarzały się po śniegach, czekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukąciami około domów, po stajniach rżały konie, z obór wrywały się przeciągle, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami, płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy były modremi słupami, a prościuteńko, jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło — a wszędzie pełno było wrzawy, dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsi, co się trzepały po przyrębłach, nawoływań; pełno było po drogach ludzi, przed domami, w opłotkach, a wskrós ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po raz trącane w biegu drzewiny i krze sypały strugami okiści niby ta srebrna kurzawa.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i w oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami

wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szurowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami świeżem igliwem, a gdzie niegdzie to i bielono poczerniałe kominy, a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle święteczne, oprawiano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do klusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego dzieciątka święto, radosny dzień cudu i zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odrętwienia, otrząsała się z szarzyzny, podnosiła się i szła radosna, czująca mocno, na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borynów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

Stary jeszcze był do dnia pojechał do miasta po zakupy z Pietrkiem, którego przyjął do koni, na Kubowe miejsce.

A w chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewwała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach. A Jagna, z zakasanemi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pyłowej

mąki — a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to zaglądała za Józinią robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, któren wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień!

Witek miał przykazane, aby pilnował ognia i dokładał polan, ale tyle go ino widzieli co przy śniadaniu, bo zaraz się gdziesik zapodział. Próżno Józka, to Dominikowa szukały go po obejściu i nawoływały, ani się odezwała jucha; siedział ano za brogiem w szczerem polu pod krzami i zakładał sidła na kuropatki, a gęsto je przesypywał plewami dla niepoznaki i przynęty. Łapa z nim był i ten Bociék, którego to był w jesieni chorego przygarnął, wykurował, ochraniał, żywił, sztuk różnych wyuczył i tak się z nim pokumał, że niech ino zagwizdał nań po swojemu, to ptak chodził za nim niezgorzej od Łapy, z którym był w wielkiej zgodzie, bo razem wyprawiali się na szczury w stajni.

Rocho zaś, którego na całe święta Boryna do chalupy przyjął, siedział już od rana w kościele i tam do spółki z Jambrożym przystrajali ołtarze i ściany jedliną, jakiej nawiózł księży parobek.

Południe już dochodziło, gdy Jagna skończyła z chlebem, ułożyła bochenki na desce i jeszcze oklepywała i smarowała je białkiem, by zbytńio w ogniu nie popekały, gdy Witek wraził głowę w drzwi i krzyknął:

— Kolendę niesą!

Jakoż już od rana starszy organiściak, Jasio, ten,

co był w szkołach, roznosił opłatki do spółki z młodszym bratem.

Dojrzała ich Jagna już przed gankiem, że czasu nie było nawet coś uprzętnąć, gdy do izby weszli z pochwalonym.

Zafrasowała się wielce, że to w izbie rozgardjasz był taki, to ino schowała pod zapaskę gołe ręce i zapraszała, by siedli odpocząć, bo kosze mieli wielkie, a młodszy dźwigał niezgorsze torbeczki i niepróżne.

— Jeszcze mamy pół wsi obejść, a czasu nie wiele!... — wzbraniał się.

— Niech pan Jasio choć się ogrzeje, zamróż taki!

— A może ździebko gorącego mleka, to uwarzę — proponowała Dominikowa. Wymawiali się, ale przysiedli pod oknem, na skrzyni. Jasio zaś tak się wpatrzył w Jagnę, aż poczerwieniła i jęła śpiesznie ściągać na ręce rękawy, że i on pokraśniał jak burak i wziął w koszu szukać opłatków, a wyjął lepszą i grubszą paczkę, bo w złoty pasek okręconą i poprzekładaną kolorowemi opłatkami. Jaguś wzięła ją przez zapaskę i położyła na talerzu, pod pasyjką, a potem wyniosła z dobry garniec siemienia lnianego i sześć jajek.

— Pan Jaś dawno przyjechał?

— Dopiero w niedzielę, trzy dni temu!

— Pewnikiem cknij się im w tych szkołach? — zapytała matka.

— Nie bardzo, ale to już niedługo, bo tylko do wiosny!

— A mówiła pani organiścina jeszcze w moje wesele, że pan Jasio na księdza idzie...

— Tak, od Wielkiej nocy, tak! — rzekł ciszej i spuścił oczy.

— Mój Boże, to dopiero pociecha się ojcom ściele, to dopiero radość, że oni księdzem ostaną, a może da Bóg, to i w naszej parafji.

— Cóż tu u was słyhać? — zapytał, aby przerwać pytania niemile.

— A cóżby, dał Bóg, że nic złego. Pomaluśku wszystko, pomaluśku a dookoła, kieby w tym kieracie, jak zwyczajnie w chłopskim stanie.

— Chciałem przyjechać na wasze, Jaguś, wesele, ale mnie nie puścili.

— A taka zabawa była, że bez cale trzy dni tańcowali! — wykrzyknęła Józka.

— Kuba podobno w tym czasie umarł!

— A zmarło mu się, zmarło chudziaczkowi, krew go uszła i nawet bez świętej spowiedzi skończył. Mówią po wsi, że pokutuje, że widzieli, jak się cosik nocami po drogach tłucze, na rozstajach jęczy, to pod krzyżami wystaje i zmiłowania Boskiego czeka!... Kubowa dusza to być musi, nie druga!

— Co wy też mówicie!

— Juści, prawdę mówię, nie widziałam sama to i nie przysięgnę na to, ale może być, może, są takie sprawy na świecie, że człowiekowi rozum, choćby i największy a nie wyrozumie, nie przejrzy — Boskie to ano są urządzenia, nie ludzkie, nie, bo co my chudziaki możemy, to możemy, a resztę Bóg może!

— Szkoda Kuby, sam ksiądz, jak mi opowiadał o jego śmierci, to aż płakał z żalu.

— Bo poczciwości to był parob, że i drugiego nie znalazę, a cichy, pobożny, pracowity, cudzego nie ruszył, a z biednym to gotów się był kapotą ostatnią podzielić.

— Tak się zmienia ciągle w Lipcach, że co przyjadę, poznać się nie mogę. Byłem dzisiaj u Antków, dziecka im chore, bieda u nich aż skrzypi, a on sam tak się zmienił, tak wychudł, że ledwiem go poznał!

Nie odezwały się na to ani słowem, jeno Jagna odwróciła szybko twarz i zaczęła nakładać chleb na łąpatę, a stara lypnęła oczami, że zaraz pomiarkował, jako w tem jest dla nich coś przykrego, chciał naprawić, myślał o czemby dalej mówić, gdy Józka przystąpiła zapłonioma i jęła prosić, aby dał parę kolorowych opłatków.

— Na świąty mi potrzebne, były z łośkiego roku, ale się we wesele do cna pomarnowały.

Juści, że dał jej kilkanaście i coś aż w pięciu kolorach.

— Aż tyle! Mój Jezus, adyc to starczy i na świąty, i na księżyce, i na gwiazdy! — wołała ucieszona, poszeptaly z Jagną i zesromana, przysłaniając twarz zapaską, wyniosła mu za nie coś sześć jajek.

Boryna na ten czas powrócił z miasta i wchodził do izby, a za nim wciskał się Łapa z Boćkiem, bo Witek też się zjawił równo z gospodarzem.

— Zawierajcie prędko drzwi, bo się ciasto oziębi — krzyczała stara.

— Jak kobiety zabierają się do porządków, to chłopom trza komornego szukać choćby w karczmie, by przy pieczeniu nie zwalili na nas zakalca! — śmiał się Boryna, rozgrzewając skostniałe ręce. — Droga jak po szkle

i sanna sielna, ale i taki mróz, że trudno w saniach wysiedzieć! Daj Jaguś Pietrkowi choćby chleba, bo prze-marzył na kość w tym soldackim szynelu. Jasio na długo do domu?

— Aż do Trzech Króli.

— Ojciec ma z Jasia niezgorszą wyrękę, bo to i przy organach i w kancelarji! juści staremu żał puścić pierzyny na taki mróz.

— Nie dlatego, a tylko, że krowa się dzisiaj ocie-lila, to został w domu i pilnuje.

— W dobry czas, będzie mleko na całą zimę.

— Hale, Witek, dałeś pić źrebięciu?

— Samam nosiła, ale nawet i po palcu pić nie chciał, baraszkuje ino, a do klaczy się tak wydziera, że przeprowadziłam do większej gródki.

Chłopcy wyszli, ale Jasio jeszcze z opłotków się odwracał za Jagną, bo też jakby jeszcze urodniejszą była, niżli na jesieni przed weselem.

Nie dziwota też, iż starego całkiem zawojowała, iż świata za nią niewidział. Dobrze na wsi powiadali, że całkiem zgłupiał z tego kochania, bo choć kwardy był i nie-ustępliwy la wszystkich po dawnemu, ale Jagusia mogła z nim robić, co ino zechciała, słuchał się jej ze wszystkim, jej oczami patrzył, jej się radził a i Dominikowej też, że do cna go opanowały! Dobrze mu z tem było, gospodarstwo szło, wszystko było w porządku, wygodę swoją miał, a uzalić się przed kim i poradzić, że już o niczem nie myślał i o nic nie stojał, co ino nie było Jagusią, w którą, jak w ten obrazek święty, patrzył.

Nawet teraz oto wygrzewał się przed kominem,

a ciągiem chodził za nią rozmiłowanemi oczami i kieby przed weselem, słodkie słówka wciąż prawił, a jeno o tem myślał, czemu się jej jeszcze więcej przypodchlebić.

Ale Jagna tyle dbała o jego kochanie, co o ten śnieg z łońskiego roku, jakaś mroczna była, zniecierpliwiona jego amorami, zła, wszystko ją drażniło, że jak ten luty wicher nosiła się po izbie — robotę spychała na matkę, to na Józkę, a często i starego do niej zaganiała cierpkimi słowy, a sama szła, niby to zajrzeć na drugą stronę do pieca albo do żrebaka w stajni, a głównie po to, by ostać samej i zamyślać się o Antku.

Jasio go jej przypomniał, że jak żywy stanął przed nią, jak żywy...

Prawie trzy miesiące go niewidziała, bo jeszcze na długo przed ślubem, tyła ino, co wtedy przejazdem na drodze pod topolami... juści, czas płynął jak ta woda; a to ślub, przenosiny, kłopoty różne, gospodarstwo, że i kiej to miała o nim pomyśleć! Nie widywała go, to i na myśl nie przychodził, a ludzie też wagowali się mówić o nim przed nią... A teraz, nie wiada dlaczego, tak nagle stanął przed oczami i patrzył z taką żalnością, z takim wyrzutem, aż się jej dusza zatrzęsała ze zgryzoty.

— Nicem ci nie winowata, nie, to czemu stajesz przede mną jak ta dusza pokutująca, czemu straszysz! — myślała żalnością, broniąc się przed wspominkami... ale dziwno jej było, czemu się tak mocno przypominał, czemuż to ani Mateusz, ani Stacho Płoszka, ni inni?... Nikto drugi, tylko on jeden! Zadać jej cosik musiał, że się biedzi teraz i wydiera z siebie i w męce się pławi, bo taka tęskność ją rozpierała, aż ją w dołku gnietło, a tak cosik

we świat duszę niesło, że poszłaby, gdzie ino oczy poniesą, na bory i lasy.

— Co on tam chudziak porabia, co se myśli? I ani sposobu, by z nim pomówić, ani sposobu i... nie wolno! Prawda, nie wolno, Jezus kochany, adyóby to był śmiertelny grzech, śmiertelny! — mówił to ksiądz na spowiedzi, mówił... — inoby z nim pomówiła raz jeden, choćby przy świadkach, choćby... a to już ani dziś, ani jutro, ani nigdy! Borynowa jest na wiek wieków amen...

— Jagusia, a chodźże, chleb trzeba przesadzić! — wołała stara.

Pobiegła do domu, zwijała się jak mogła, ale myśli o nim nie zatraciła, wciąż jej wracał na oczy i wszędzie przypominały się jego niebieskie ślepie i te brwie czarne i te wargi czerwone, słodkie, łakome!

Próżno zapamiętała wzięła się do roboty, paliło się jej w rękach, uprzątała izbę, wzięła się pod wieczór do obrządku krów, czego prawie nigdy nie robiła, nic to jednak nie pomogło, bo ciągle stał przed nią i tęsknica rosła w niej i rozdzierała duszę, co ją tak strasznie rozdrażniło, że przysiadła na skrzyni przy Józce, czyniącej pośpiesznie światy i buchnęła płaczem.

Uspokajała ją matka, uspokajał mąż wystraszony, chodzili koło niej jak koło tego dzieciątka rozgrymaszonego, głaskali, patrzyli w oczy, nic nie pomogło, wyplakała się dowoli i wnet się w niej cosik przemieniło znagła, bo się podniosła ze skrzyni prawie wesola, pogadywała ze śmiechem, śpiewać nawet była gotowa, gdyby to był nie adwent!

Popatrzył zdziwiony Boryna, popatrzała matka, a potem na siebie długo i ważne spoglądali, wywiedli się do sieni, coś tam poszeptali i wrócili rozradowani, weseli, roześmiani i nuż ją brać w ramiona, całować, a tacy byli dobrzy, że stara zakrzyknęła gorąco:

— Nie dźwigaj dzieży, Maciej wyniosą!

— Abo to mi nowina brać i cięższą!

Nic nie rozumiała.

Ale stary nie pozwolił, sam wyniósł, a potem przy sposobności przyparł ją gdzieś w komorze, srodze całował, a radośnie coś szeptał, by Józka nie usłyszała.

— Wam z matką we łbach się poprzewracało, nie prawda co powiadacie, nie!..

— Oboje z matką znamy się na tem, już ja ci mówię, że tak jest. Zaraz, co to mamy. Gody... toby dopiero na Lipca wypadło, w same żniwa... Czas nie rychtowny, gorąc, roboty, ale cóż poradzi, trza i za to Panu Bogu podziękować... — I znowu chciał ją całować, wyrwała mu się ze złością i pobiegła do matki z wymówkami, ale stara potwierdziła stanowczo.

— Nie prawda, zdaje się wam ino! — zaprzeczala gorączkowo.

— Nie cieszy cię to, widzę?

— Coby zaś miało cieszyć, mało to kłopotów, a tu jeszcze nowe utrapienie.

— Nie wyrzekaj, by cię Pan Jezus nie pokarał.

— A niechta, a niechta!

— Czemuż to się tak wyrzekasz tego, co?

— Bo nie chce i tyle!

— Przecież, gdyby było dziecko, to w razie śmierci

starego, czego Boże broń, do zapisu i jego części przy-
szła, a porównano z drugimi może i na całym grunciebyś
ostała...

— Wam ino jedno w głowie: grunt i grunt, a la
mnie to tyła stoi, co nic...

— Boś młódka jeszcze i głupia, a pleciesz bele co!
Człowiek przez gruntu, to jak bez nóg, tula się ino, tula,
a donikąd nie zajdzie. Nie powiadaj tylko nasprzeciw
Maciejowi, bo mu markotno będzie...

— Nie będę wstrzymywała w sobie, co mi tam
Maciej!

— To pyskuj-że sobie choćby przed całym światem,
kiej nie masz rozumu, a mnie daj spokojnie chleb wysa-
dzić, bo się na węgiel spieczę; zajmij się lepiej robotą,
śledzie ano przelóż z wody do mleka, to więcej soli stracą,
Józka niech maku utrże, jeszcze tyła do zrobienia a wie-
czór ino, ino.

Jakoż i prawda była, wieczór już stał u proga,
słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się
po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zda-
wały, jakby zarzewiem posypane — ale wieś głuchła
i przycichała; nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa,
to ktoś się śpieszył saniami, aż koniom śledziony grały,
biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzie nie-
gdzie, zrywały się tu i owdzie głosy różne, ale zwolna,
wraz z gaśnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się
sypała na świat, ruch zamierał, przycichały obejścia
i pustoszały drogi. Dalekie pola zapadały w mrokach,
zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc
swoją, a mróz się podnosił i tak ścisnął, że głośniej grały

śniegi pod trepami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne!...

Więś zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, plotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy.

X W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiono w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy. ✕

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinemi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

✓ Juści że była, tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho uklęknął na śniegu a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty, pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, skrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą plachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździami.

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało!—
rzekł Roch.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całemi, a potem przyszły śledzie w mące obmażane i smarzone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a naostatek, podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie — tylko Boryna raz po raz rwał się pomagać Jagusi a wyręczać, aż go stara skarciła.

— Siedźcie, nic się jej nie stanie, daleko jeszcze do czasu, a pierwsze święta na swoim, to niechaj się wkłada!...

Ale Łapa skomlał zcicha, trykał łbem o zady, łasił się a przypochebiał, by mu prędzej dali, a Bociiek, który miał swoje miejsce w sieni, to często gęsto kuł dziobem w ścianę, to klekotał, aż się kury odzywały na grzędach.

Nie skończyli jeszcze, gdy ktosik zapukał do okna.

— Nie puszczać i nie obzierać się, to złe, wciśnię się i na cały rok ostanie! — wykrzyknęła Dominikowa.

Opuścili łyżki i słuchali strwożeni, pukanie znowu się ponowiło.

— Kubowa dusza! — szepnęła Józka.

— Nie pleć, ktosik potrzebujący; w ten dzień, nikt

nie powinien być głodny, ni ostawać bez dachu — odezwał się Roch, podnosząc się drzwi otwierać.

Jagustynka to była, stanęła pokornie u proga i przez łzy, co się jej jak groch sypały, prosiła cicho:

— Dajcie kąt jaki i choćby to, co psu wyrzucicie! Zmiłujcie się nad sierotą... Czekałam, że mnie dzieci zaproszą... czekałam... w chałupie mróz... na darmo wyziębłam... na darmo... Mój Jezus... a teraz, jak ta działówka... jak... rodzone dzieci... samą mię zostawiły i bez tej okruszyny chleba... gorzej niżli tego psa... a tam u nich gwarno, pełno ludzi... chodziłam koło węglów... w okna zaglądałam... na darmo...

— Siadajcie z nami. Trzeba było przyjść wam zaraz z wieczora a na dziecińską łaskę nie czekać... jeno do trumny to ochotnie wbiją gwoździe ostatnie, by się upewnić, że nie wrócicie już po nie.

I z wielką dobrością zrobił jej miejsce wedle siebie.

Ale nie mogła nic przełknąć, choć jej Jagusia niczego nie żałowała i szczerem sercem zniewalala do jadła, cóż, kiej nie mogła, siedziała cicho, skulona i zaparta w sobie, że jeno po dryganiu pleców było widno, jaka ją męka ozdierała.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświecił całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamarznęte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali zwolna...

Aż Rocho wyjął z zanadrza książkę okręconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

»jako, to stała się nam nowina, panna porodziła syna; aż w Judejskiej ziemie, w Betleem, nie bardzo podłem mieście, narodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej były mu bratami. — A ta sama gwiazda, co i dzisiaj świeci, splonęła wówczas dla tej świętej dzieciny — i drogę wskazywała Trzem królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, z za mórz nieprzejrzaných, z za gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo«.

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzma-gał i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanję wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnem, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerzem odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcymi, między żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto prze-najświętsza, o dziecineczko słodka!... Myśleli i serca były współczuciem a dusze się zrywały i niesły we świat, jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nó-

żek dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś, wsparłszy twarz na dłoniach, też płakała, aż jej lzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, któren z otwartą gembą wpodle słuchał, a tak się wielce dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

— Cie!... słuchasz to Szymek! — ale wnet milknął, karcony srogim wzrokiem matki.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zamarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć!

Powiadali rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

— Bo ino ochfiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby Zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

— Rządzi on tu i tak nie mało — szepnęła Jagustynka.

— Grzech panuje, to złość rządzi, a to są kumy złego!

— I... co tam rządzi, co panuje, komu tam wiada, jeno to jest pewne, że nad człowiekiem zła dola ma moc swoją i to cierpienie.

— Nie powiadajcie, złość na dzieci was ślepi, byście nie zgrzeszyli!...

Postrofiował ją surowo, ale się już nie przeciwiała,

pomilkli też wszyscy i rozważali, a Szymek powstał z miejsca i chyłkiem chciał się wynieść.

— Gdzie ci tak pilno! — syknęła stara, bacząca na wszystko.

— Na wieś pójdę, gorąc mię rozbiera... — bełkotał zestraszony.

— Do Nastki cię niesie, na gzy, co?

— Zabronicie to, przytrzymacie!... — mówił ostrzej, ale już czapkę cisnął na skrzynię.

— Do chałupy idźta z Jędrzychem, dom na boskiej Opatrzności został, zajrzycie do krów i czekajcie, przyjdę po was i razem do kościoła pójdziemy. — Zarządziła, ale chłopaki wołały pozostać, niżli w pustej chałupie siedzieć, nie wyganiała ich też więcej, ale się zaraz podniosła i wzięła ze stołu opłatek.

— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc narodzenia i każde bydłátko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z nimi czujące, więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić...

Ruszyli wszyscy do obory a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, gła miąc powoli, ale na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania a odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie cho-

rować; jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i, przychylając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawalku w gembulę, na szerokie ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby a Roch mówił:

— Kuźde stworzenie, trawka kuźda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie — że Pan się narodził.

— Jezus kochany! Wszystko! to i ta ziemia, i te kamienie! — wykrzyknęła Jagna.

— Prawdę rzekłem, tak ci to i jest — wszystko ma swoją duszę. Co ino jest na świecie, czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się zmiłuje i rzeknie:

— Wstań duszo, ożyj, zasługuj się nieba! — Bo i robaczek najmniejszy i ta trawka chwiejna, wszystko się po swojemu zasługuje i po swojemu chwały Pańskiej dostępuje. A w tę noc jedną na rok cały wszystko się podnosi, przecyka, nasłuchuje a czeka tego słowa!

Dla jednych ono przychodzi, la drugich jeszcze nie kolej, to łęgna potem w mrok, cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, drzewem, kto jeszcze czem innem, jak tam któremu Pan naznaczył!...

Zamilkli, rozważając co powiedział, bo mądrze był rzekł, prosto do serca, ale się to Borynie ni Dominikowej

nie widziało czystą prawdą, bo ją sobie w głowie przekładali i tak i owak a pojąć tego nie mogli. Juścić moc Boska jest nieodgadniona a cuda czyniąca, ale żeby kamienie i wszystko duszę swoją miało... nie mogli tego wymiarkować. I nie myśleli już nad tem dłużej, bo przyszli kowalowie z dziećmi.

— U ojca razem posiedzim i społem pójdziem na pasterkę — tłumaczył kowal.

— Siadajcie, siadajcie... milej będzie w kupie, a toć wszystkie będziemy razem, Grzeli ino brak.

Józka srogo spojrzała na ojca, bo się jej Antkowie przypomnieli, ale bała się rzec o tem.

Obsiedli znowu ławy przed ogniem, tylko Pietrek ostał na podwórzu i rąbał drzewo, aby nie brakło opału na święta, a Witek nosił naręczami i układał drwa w sieni.

— Ale, o, tobym zapomniał! Dogonił mnie wójt i prosił, byście Dominikowa zaraz szli do niej, już tam krzyczy i wydziera się, że pewnie tej nocy zlegnie!

— Do kościoła chciałam ze wszystkimi, ale kiedy mówicie, że już krzyczy, to polecę zajrzeć. Byłam rano, myślałam, że jeszcze parę dni przetrzyma.

Pogadała pocichu z kowalową i pobiegła do chorej, że to znająca była na chorobach i niejednego lepiej wylekowała niżli dochtory.

A Rocho ją opowiadać historie różne, przygodne na dzień dzisiejszy, a między drugimi i taką:

— »Dawno już temu będzie, bo tyle roków, co ich jest od Narodzenia, chłop jeden, gospodarz bogaty, szedł był sobie z jarmarku, gdzie sprzedał parę tęgich ciołków; talary miał dobrze schowane w cholewie, kij niezgorszy

w garści i krzepki też był, że może we wsi najmocniejszy, ale się śpieszył, aby przed nocą do domu się dostać, bo podówczas zbóje kryły się w lasach i pocziwym ludziom drogę zastępowały.

Latową porą musiało to być, bo bór był zielony, pachnący i żywemi głosami rozbrzmiały, a wiater był duży, to drzewa się kołysały i szum srogi szedł górą. Pośpieszał chłopina, jak ino mógł, a rozglądał się strachliwie dookoła, ale nic nie dojrzał... chojary ino stały przy chojarach, dęby przy dębach, sosna przy sośnie, a nigdzie żywej duszy, tyle co te ptaszyska przeciągały między pniami. Strach go brał coraz bardziej, bo przechodził koło krzyża, przez taki gąszcz, gdzie się i oczami nie przecisnął, a kędy właśnie najczęściej zbóje następowali, to się przeżegnał, pacierz w głos mówił i w dyrdy pobiegł...

Już się szczęśliwie wydostał z wysokiego lasu, już ino tą karłowatą sośniną a jałowcami się przebierał, już nawet widział pole zielone, rozkołysane, już mu plusk szedł od rzeki, skowronki śpiewały, już ludzi zoczył przy pługach, a nawet boćki, jak kluczem ciągnęły na bagniska, a nawet poczuł z wiatrem sady wiśniowe, co były kwitły... gdy wtem z tych krzów ostatnich wyskoczyli zbóje! Dwunastu ich było i wszyscy z nożami! Bronił się, ale wnet przemogli, a że pieniędzy oddać po dobrości nie chciał, a krzyczał, to powalili go na plecy, przygnietli nogami, podnieśli noże i już, już mieli go zgnąć... a wtem skamienieli z nagła i zostali tak z podniesionemi nożami, zgarbieni, srodzy a nieruchający się — i wszystko się w ten mig zatrzymało w miejscu... Ptaki pocichły i wisiały w powietrzu... rzeki stanęły... słońce jakby zakrzepło...

wiatr zmartwiał... drzewa ostały, jak je był wicher przygiął... zboża także... bociany zaś kieby wrosły w niebo z rozłożonymi skrzydłami... nawet ten chłop orzący stał z podniesionym batem — świat się cały załął w to oczymgnienie i skamieniał.

Jak to długo było, niewiadomo — aż rozległ się nad ziemią anielski śpiew:

— »Bóg się rodzi, moc truchleje!«

Ruszyło się naraz wszystko, ale zbóje poniechali chłopą, widząc w tym cudzie przestrogę i razem już poszli za temi głosami anielskimi do stajenki onej, pokłonić się Narodzonemu! wraz z nimi, co imo żyło na ziemi i w powietrzu.

Dziwowali się wielce temu, co Rocho opowiadał, ale potem Boryna, to i kowal też opowiadali różne różności.

A wkońcu Jagustynka, która cały czas w cichości siedziała, rzekła cierpko:

— Mówicie, mówicie, a tyle jest z tego, że wam czas się nie dłuży! Hale, prawda to była, że przódzi z nieba przychodziły opiekuny różne, co biednemu i uciśnionemu zmarnieć nie dawały. Czemuż teraz takich nie uwidzi? Mniej to biedy, mniej mizercacji, mniej tego dusznego skrzybotu?... Człowiek jest jako ten ptak bezbronny na świat puszczony — a to go jastrząb, a to go zwierz, a to głód, a wkońcu i ta kostucha dodusi — a ci prawią o miłosierdziu i głupie żywią i mamią obietnicami, że zbawienie przyjdzie! Przyjdzie, ale Antychryst i ten sprawiedliwość wymierzy, ten się zmiłuje, jak ten jastrząb nad kurczątkiem.

Porwał się Rocho i zaczął wielkim głosem wołać:

— Nie bluźnij kobieto, nie grzesz, nie słuchaj pod-
mów djabelskich, bo na potępienie się wiedziesz i wieczny
ogień! — Ale upadł na ławę, lzy mu załaly głos, trząsł
się cały ze zgrozy świętej, z bólu nad tą duszą zgubioną,
a gdy nieco przyszedł do siebie, z całej mocy duszy wie-
rzącej wykladał prawdę i na dobrą drogę wyprowadzał.

I długo, długo mówił, że lepiej i ksiądz na ambonie
nie potrafił.

A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami,
że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał pocichu
Józkę i poszli oboje do obory.

Trzymając się za ręce i dygocząc ze strachu a że-
gnając się raz po raz, wsunęli się do obory, pomiędzy
krowy.

Przyklęknęli przy największej, jakby przy matce
całej obory; tchu im brakowało, dusze się trzęsły, lzy na-
biegały do oczów, serca przenikał strach święty, jakoby
w kościele podczas podniesienia, ale dufność serdeczna
i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego
ucha i szepnął drżąco:

— Siwula, siwula!...

Nie odrzekła ni tem słowem jednym, postękiwała
ino, żuła, ruchała gembulą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może
za karę.

Przyklęknęli przy drugiej i znowu Witek zapytał,
ale już z płaczem prawie...

— Łaciata! Łaciata!...

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamartłym
tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grześniśmy pewnie, to nie usłyszymy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne... Mój Jezus... prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... a i te... — nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała i tak płakali spolem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje a grzechy wszystkie...

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku, śpiewali teraz pieśni pobożne, że to nie czas przed północnym na kolendy.

Na drugiej zaś stronie mył się i pucował do czysta Pietrek a przebierał całkiem, bo mu Jagna nowe przyobleczenie, które miał w komorze, wynieśla.

Aż krzyknęli z podziwu, gdy wszedł potem do izby; pozbył się bowiem szynela i tych żołdackich ubiorów, a stanął przybrany zwyczajnie po chłopsku.

— Śmieli się ze mnie, burkiem przezywali, tom się i przeodział! — wybełkotał.

— Mowę odmień, nie szmaty! — rzuciła Jaguśtynka.

— Sama mu powróci, sama, bo duszy widno jeszcze nie stracił całkiem.

— Pięć roków we świecie był, mowy swojej nie słyszał, to i niedziwota!...

Umilkli naraz, bo ostry, przenikliwy głos sygnaturki przedzierał się do izby.

— Sygnują na pasterkę, trza się nam zbierać!

Jakoż w pacierz może wyszli wszyscy prócz Jagustynki, która ostala domu pilnować, a głównie by dać folgę uciśnionemu sercu.

Noc była mroźna, roziskrzona gwiazdami, modrawa.

Sygnaturka wciąż dzwoniła i jako ten ptaszek świergotała zwołujący do kościoła.

Naród też już wychodził z chałup, gdzie niegdzie otwieranemi drzwiami lunął potok światła i zamigotał jak błyskawica, gdzie niegdzie gasły okna, czasem głos jakiś się podniósł w mrokach, kaszel, skrzyp śniegu pod nogami, to słowo Boże, którem się pozdrawiali, a coraz gęściej majaczeli w tej szaro-modrawej nocy, tłumami walili, że ino tupot rozlegał się w suchem powietrzu.

Kto był żyw, do kościoła ciągnął, ostaly ino po chałupach całkiem stare, chore albo kaleki.

Już zdaleka widniały rozgorzałe okna kościelne i główne drzwi narozcież wywarte a światłem buchające, naród zaś płynął przez nie i płynął jak woda, zwolna zapelniając wnętrze przystrojone w jodły i świerki, że jakby gęsty bór wyrósł w kościele, tulił się do białych ścian, obrastał ołtarze, z ław się wynosił i prawie sięgał czubami sklepień, a chwiał się i kołysał pod naporem tej żywej fali, i przysłaniał mgłą, parami oddechów z za których ledwie migotały jarzące światła ołtarzów.

A naród wciąż jeszcze nadchodził i płynął bez końca...

Nadeszli hurmą całą aż z Polnych Rudek, a szli ramię w ramię, ostro i ciężko, bo chłopcy były ogromne,

rozrosłe, w granatowe kapoty przyodziane, białasy same, jakby włosy mieli ze lnu uprzedzone, a kobiety ich urodne co do jednej, w podwójnych zapaskach i w czepcach pokręcanych w czerwone chusty.

Nadciągali zrzadka, kapaniną, po dwóch, po trzech i ci z Modlicy, cherlaki i mizerota sama, w łatanych siwych kapotach, z kijami, bo na piechty wędrowali; po karczmach szły o nich przekpiewy, że samemi piskorzami się żywią, bo to na niskich rolach siedzieli, wśród błot, a dymem torfowym od nich wiało.

I z Woli nadchodził naród, a wiedli się całemi familjami, jak te krze jałowcowe, co zawsze zwartą kupą rosną; nie wyrosłe, średniaki same, a pękate kiej wory, prędkie jednak, wyszczekane, sielne procesowniki, zabiłaki niemale, a szkodniki leśne, w szare kapoty ze sznurami czarnemi przybrani i pasami czerwonemi okręcenii.

Nadciągnęła i szlachta Rzepecka, co to wedle gadki: »worek ino a płachta«, albo, że się ich pięciu krowiego ogona trzyma a we trzech jedną czapkę mają — ci szli kupą, milczkiem, z podelba patrzący i zgóry, a kobiety swoje, jakoby dwórki jakie wystrojone i wielce urodne, białe na gembie, świergotliwe, wiedli w pośrodku i mocno uważali.

A zaraz po nich walili ludzie z Przyłęka, szli zaś jak ten bór sosnowy wyrośnięci, śmigli i mocni, a postrojoni aż oczy raziło; kapoty mieli białe, kamizele czerwone, wstęgi u koszul zielone i portki żółto-pasiaste, a pchali się środkiem nieustępliwie, nie bacząc na nikogo, przed sam ołtarz.

Za nimi zaś, prawie już na ostatku, jak jakie dzie-

dzice wchodziły chłopy Dębickie, niewiela ich było, a każdy z osobna szedł, z paradą, a puszył się, wynosił i po ławkach przed wielkim ołtarzem zasiadał, i pierwszeństwo brał przed innymi, dufny w bogactwo swoje — a kobiety ich były z książkami, w czepeczkach białych, wiązanych pod brodę i w katanach z cienkiego sukna... a potem jeszcze szli z wsi dalszych, z przysiołków różnych, z domów w lasach rozsypanych, z trackich bud, ze dworów, że ktoby tam zapamiętał i wyliczył!...

A między tym gąszczem zwartym, kolebiącym się i szumiącym jak bór, gęsto się bielily kapoty Lipczaków i czerwieniały chusty kobiet.

Kościół był zapchany do cna, aż do tego ostatniego miejsca w kruchcie, że którzy byli ostatni, to już na mrozie pod drzwiami pacierze mówili.

Ksiądz wyszedł ze mszą pierwszą, organy zagrały a naród się zakołysał, pochylił i na kolana padł przed majestatem Pańskim.

I już cicho było, nikt nie śpiewał a modlił się każdy wpatrzony w księdza i w tę świeczkę, co płonęła wysoko nad ołtarzem, organy huczały przyciszoną a tak tkliwą nutą, że mróz szedł przez kości, czasem ksiądz się odwrócił, rozkładał ręce, powiadał w głos łacińskie święte słowo, to naród wyciągał ramiona, wzdychał głęboko, pochyłał się w skrusze pobożnej, bił się w piersi i modlił żarliwie.

Potem zaś, gdy się msza skończyła, ksiądz wlaź na ambonę i prawil długo, nauczał o tym dniu świętym, przestrzegał przed złem, gromił, rękami wytrząchał, i grzmiał tem słowem palącym, że jaki taki westchnął

ciężko, kto się bił w piersi, kto się w sumieniu z win kajał, kto się zamedytował, któren znów co miętszy, a kobiety zwłaszcza; płakał — bo ksiądz mówił gorąco a tak mądrze, że każdemu to szło prosto do serca i do rozumu, juści, że tym ino, co słuchali, bo wiewa było takich, których śpik morzył z gorąca.

A dopiero przed drugą mszą, kiej już naród skruszał nieco modleniem się, huknęły znowu organy i ksiądz zaśpiewał:

— »W żłobie leży, któż pobieży«.

Naród się zakolysał, powstał z klęczek, wraz też pochwycił nutę i pełnemi piersiami a z mocą ryknął jednym głosem:

— »Kolendować małemu!«

Zatrzęsły się drzewa i zadygotały światła od tej serdecznej wichury głosów.

I już tak się zwarli duszami, wiarą i głosami, że jakby jeden głos śpiewał i bił pieśnią ogromną, ze wszystkich serc rwiącą aż pod te święte nóżeczki Dzieciątka.

Gdy już i drugą mszę wysłuchali, organista jął wycinać kolendy na taką skoczną nutę, że ustoić było trudno, to się kręcili, przedeptywali, odwracali do chóru i wesoło pokrzykiwali kolendy za organami.

Jeden ino Antek nie śpiewał z drugimi, przyszedł był z żoną i ze Stachami, puścił ich naprzód, a sam ostał przy ławkach, nie chciał już zabierać dawnego miejsca pomiędzy gospodarzami przed ołtarzem, właśnie się był rozglądał, gdzieby przysiąść, kiedy spostrzegł ojca wraz z całym domem, przepychali się środkiem a Jagna szła na przedzie.

Usunął się pod świerk i już z niej oka nie spuścił, bo widna była zdała przez wzrost, siadła w ławce z brzegu zaraz, przy przejściu — nawet nie myśląc o tem i nie wiedząc, cisnął się przez gęstwę uparcie, aż dostał się obok niej, a gdy podczas mszy przyklękali, uklęknął i tak się przychylił, że głową dotykał jej kolan.

Nie spostrzegła go odrazu, bo stoczek, przy którym modliła się na książce, rozkręcał tak mdle światło i gałęzie świerków tak przysłaniały, że nic pobok nie dojrzała, dopiero w czasie podniesienia, gdy uklękła i bijąc się w piersi, pochyliła głowę — spojrzała w bok bezwiednie — zamarło jej serce, skamieniała z radości, nie śmiała się ruszyć, nie śmiała spojrzeć po raz drugi, bo snem się jej wydało to widzenie, majakiem, niczem więcej... Przywarła oczy i długo, długo klęczała pochyłona, zgięta do ziemi, nieprzytomna prawie ze wzruszenia... aż usiadła raptem i spojrzała mu prosto w twarz.

Tak, on ci to był, Antek, on, wymizerowany wielce, poczerniały, wynędzniały, że łącno nawet w tym mroku dojrzała, a te jego wielkie, napastliwe i harde oczy tak się słodko patrzyły, a tak żalości były pełne, że ścisnęła się jej dusza trwogą i współczuciem, a łzy same napływały do oczów.

Siedziała sztywno jak i drugie kobiety, w książkę patrzyła, ale ani jednej litery nie rozeznała, ni kart nawet, nic, bo te jego oczy smutne, oczy żalodne, oczy patrzące blaskami stały przed nią, jaśniały jak gwiazdy, świat cały przysłoniły, że zatraciła się całkiem, przepadła zgoła — a on wciąż klęczał, słyszała jego krótki i gorący oddech i czuła tę moc słodką, tę moc straszną, jaka była

od niego, szła jej prosto do serca, krępowała niby powrozami i przejmowała strachem a słodkością, dreszczem, od którego rozum odchodził, miłowania krzykiem tak potężnym, że trzęsła się w niej każda kosteczka a serce tłukło się jako ten ptak, gdy mu dla swywoli skrzydła przybiją do ściany!...

Msza się odprawiała, kazanie było, druga msza przeszła, naród śpiewał spolem, modlił się, wzdychał, płakał — a oni byli jakby poza światem całym, nie słyszeli nic, nie widzieli nic, i nie czuli nic prócz siebie.

Strach, radość, miłowanie, przypomnienia, obietnice, zaklęcia i pożądanja paliły się w nich naprzemian, szły z serca do serca, wiązały ze sobą, że jednako już czuli, jednako im serca były, jednakim ogniem grały im oczy.

Antek przysunął się jeszcze bliżej, wsparł się ramieniem w jej biodro, aż ją przytomność odchodziła i rumieńce oblewały, a podczas gdy znowu przyklęknęła, szepnął jej gorącemi jak węgiel ustami, w same ucho:

— Jaguś! Jaguś!

Wstrząsnęła się iomal nie padła ze wzruszenia, tak głos ten przeszył ją lubością, jako tem ostrzem przed-słodkiem i radością.

— Wyjdź którego dnia za bróg... o każdym wieczorze czekał będę... nie bój się... pomówić mi z tobą pilno... wyjdź... — szeptał namiętnie, i tak blisko, tak blisko, aż ją twarz paliła od jego oddechów...

Nie odpowiedziała, sił jej zbrakło, głos uwiązał w gardle, serce dygotało i tak biło, że chyba słyszeć musieli dokoła — ale uniosła się nieco, jakby już iść chciała

tam... gdzie prosił... gdzie miłowaniem nakazywał...
za bróg...

Wczas jakoś gruchnęli pierwszą kolendę, kościół
zatrząsał się od śpiewów, że ona opamiętała się nieco
i usiadła, rozglądając się po ludziach i po kościele...

Ale Antka już nie było, odsunął się nieznacznie
i zwolna wycofał aż na cmentarz.

Długo stał na mrozie, pod dzwonnicy, rzeźwił się
i nabierał powietrza, przytomniał... ale taka radość roz-
pierała mu serce, taki krzyk miał w sobie, taki wichur
mocy, że nie słyszał śpiewu, jaki bił z drzwi kościelnych
i szedł na świat, ni jakichś cichych, skamłających głosów,
rozlegających się w dzwonnicy... Nic, o niczem nie wie-
dział, nabrał garść śniegu i polykał chciwie, a potem
skoczył przez mur, na drogę — i poniósł się jak wichur
na pola.

V.

Borynowie dopiero na samem świtaniu powrócili
z kościoła i ledwie w pacierz potem już cały dom chrapał
aż się rozlegało, tylko jedna Jagusia, choć była wielce
utrudzona, nie zasnęła; próżno się wciskała w poduszki,
próżno oczy przywierała i nawet pierzyną zasłaniała
głowę — nie pomogło, sen nie przychodził a jeno jakby
zmora zwała się na nią i na piersi padła takim cięża-
rem, że ani odetchnąć mogła, ni krzyknąć, ni się porwać
z łóżka; leżała nieruchoma, w odrętwieniu takiego pół
snu, pół jawy, w którym rozum niczego nie rozeznaje,

a imo sama dusza się wyprzedza ze wspominek, jak gdyby z kądzieli, i omotuje sobą świat cały, cudności różne patrzy, nad ziemią się nosi, w słońce się ubiera — a tyle sama jest, co te odbicia na wodzie czystej a zwi-chrzonej... Tak było z Jagną, że chociaż nie zasnęła a szczezło z jej pamięci wszystko i jako ten ptak niesła się duszą po cudeńkach — po onych dniach pogastych, po czasach pomarłych a we wspomnieniach jeno żywią-cych... w kościele się być czuła... Antek klęczał pobok... mówił wciąż i parzył ją oczami, parzył ją słowami, przejmował słodką męką i strachem zarazem... to śpiew jakiś się rozlegał i organy huczały tak przenikliwie, aż każdą nutę zosobna czuła w sobie... to czerwona groźna twarz księdza się jej widziała i wyciągnięte nad narodem ręce... to światła... to potem inne, dawne wspominki przycho-dziły... spotkania się z nim... całunki... uściski... aż gorąc ją przenikał i taka lubość, że się prężyła, cisnąc mocno do poduszek... to znowu wyraźnie, głośno słyszała: wyjdź! wyjdź!... aż się podnosiła i jakby szła w sobie, szła... chyłkiem pod drzewami, w mrokach... a strach w niej dygotał, krzyk jakiś leciał za nią, przerażenie wiało z ciemności.

I tak wciąż w kółko, to jedno, to drugie, to dziesiąte przychodziło na nią, że się opamiętać ni wyrwać z pod tego nie mogła — nic, tylko zmora musiała ją dusić albo Zły nagabywał i do grzechu sposobił.

O dużym już dniu podniosła się z pościeli, ale czuła się jak z krzyża zdjęta, wszystkie kości ją bolały, blada była, roztrzęsiona i strasznie smutna.

Mród był sfolzał nieco, ale poczerniało jakoś na

świecie, śnieg chwilami pruszył, a czasem znów mocny wiatr powiewał, targał drzewami, że stawały w śnieżnej kurzawie, i po drogach prześwistywał, ale mimo to wieś huczała świąteczną radością, pełno ludzi snuło się po drogach, często saniami ktoś walił, to gromadami wystawali w opłotkach, poredzając, to odwiedzali się po sąsiedzku, a dzieci całym stadem, kiej te źrebaki na paśniku, baraszkowały na stawie, aż na wieś całą roznosiły się wrzaski.

Ale Jagusi nie było w sercu wesoło ni drujko, nie: ziąb ją przejmował, chociaż ogień wesoło buzował na kominie, głucho jej jakoś było, mimo ciągłego gwaru i Józynych śpiewek dzwoniących po chałupie, obcą się czuła w pośrodku swoich, tak obcą, że ze strachem patrzyła na nich i jakby wśród zbójów się czuła.

A często, nie mogąc się oprzeć, zasłuchiwała się w tych gorących szeptach Antkowych, co wciąż, z jednaką siłą dzwoniły w sercu...

— »Gniew boski i potępienie wieczne na takie« — usłyszała wyraźnie głos księdza i jego czerwoną twarz i wyciągnięte, grożące ręce, widziała przed sobą.

Zalękła się srodze, struchlała w głębokim poczuciu winy. — Nie, nie wyjdę! Grzechby był śmiertelny, śmiertelny! — powtarzała, krzepiąc się tem słowem i odzeganając od zła, ale dusza jej krzyczała w żalu i męce, bo rwała się do niego, rwała całą mocą, całą potęgą życia, jak to drzewo, przywalone zwałami, rwie się o wiośnie do słońca, jak ta ziemia prężąca się pod pierwszym tchnieniem ciepła...

Ale strach grzechu przeważył jeszcze, że zmogła

się w sobie i usiłowała zapomnieć o nim, zapomnieć na zawsze... nie wychodziła z chalupy, bała się wychylić w opłotki, bo może tam gdzie przyczajony czeka i zawoła na nią... a oprze mu się to wtedy, wstrzyma duszę, nie poleci za tym głosem!...

Ostro się wzięła do gospodarstwa, cóż, kiedy nie było wiele do roboty; Józka już obrządziła wszystko, a do tego stary chodził za nią ciągiem i niczego się tknąć nie pozwalał.

— Odpocznij, nie narywaj się, by ci się przed czasem nie stało co złego.

To i nie robiła, a ino tłukła się po izbach bez celu, wyglądała na świat bez potrzeby, w ganku stawała a coraz większa cność ją przejmowała i rozdrażnienie zarazem, bo gniewały ją te stróżujące mężowe oczy, gniewała radość i gwar całego domu, gniewał nawet ten bociek łączący po izbie, że z rozmysłem potrącała go welniakiem, aż nie mogąc już wytrzymać a upatrzawszy sposobną chwilę, pobiegła do matki, ale stawem poleciała, na przelaj i jeszcze się trwożnie rozglądała, czy gdzie nie stoi za drzewem zaczajony.

Matki nie było, rankiem pono zajrzała i powróciła do wójtowej, Jędrych zaś dym puszczał w komin, a co trochę wybiegał przed dom, patrzeć na drogę, bo Szymek przystrajał się w komorze.

Odmieniło się w niej, opadły wszystkie zgryzoty, skoro jeno poczuła się po dawnemu, w swojej izbie, na starych śmieciach, poweselała całkiem i bezwiednie prawie zaczęła się krzątać, zajrzała do krów, przecedziła mleko, które od rana jeszcze stało w skopkach, rzuciła

kurom ziarna, zamietła izbę, uprzątnęła, co było potrza i wesoło pogadywała z chłopakami, bo Szymek, wystrojony w nową kapotę, wyszedł był na izbę i przyczesywał się przed lusterkiem.

— Kędy się to szykujesz?

— A na wieś, u Płoszków zbierają się chłopaki.

— Da ci to matka iść, co?

— Pytał się ciągiem o przyzwolenstwo nie będę, swój rozum też mam i swoją wolę... i co mi się jeno uwi-dzi — zrobię!...

— Pewnikiem to zrobi, pewnikiem! — dogadywał Jędrzych, trwożnie wyglądając na drogę.

— A żebyś wiedział, zrobię, na złość zrobię, do Płoszków pójdę, do karczmy pójdę, z chłopakami pił będę! — wykrzykiwał hardo.

— Daj głupiemu wolę, to jak ten cielak w cały świat się poniesie, choć mu ino do cycka iść potrza! — rzekła cicho, nie przeciwiąc mu się w niczem, choć wygadywał na matkę i wygrażał się srodze, nawet mało wiele słyszała, bo ano wracać było potrzeba do domu, wracać, a jej tak było żal wychodzić stąd, że prawie z płaczem się podniosła i wolno a ciężko poszła.

A w domu gwarniej jeszcze było i weselej, niżli przódzi. Nastka Gołębianka przyleciała i gziły się z Józką, aż na drodze było słyhać.

— Wiecie, a to moja różga zakwitła! — krzyknęła do wchodzącej Jagny.

— Jaka różga?

— A tom ją uciela w Jędrzejki, zasadziłam w piasek, trzymałam na piecu i zakwitła! Zaglądałam wczoro-

raj, nie było jeszcze ani jednego kwiatuszka, a przez noc całkiem zakwitnęła, patrzcie!

Przyniosła ostrożnie garnczek wypełniony piaskiem, w którym tkwiła spora gałąź wiśniowa, obsypana delikatnym kwiatem.

— Trześnia, kwiatuszki różowe i pachnące! — szepnął Witek poważnie.

— A prawda, trześnia!

Obstąpili dokoła i z dziwną radością a podziwem poglądali na okwieconą, woniejącą gałąź, na to weszła Jagustynka, ale dzisiaj była już po dawnemu, dufna w siebie, wrzaskliwa, harda i bacząca, aby ino dogryźć komu a dobrze.

— Zakwitła różga, prawda, ale nie la ciebie Józia, tobie jeszcze rzemień potrzebny, abo i co twardsze! — rzekła zaraz na wstępie.

— A la mnie zakwitła, samam w noc Jędrzejkową ucieła, samam...

— Młódka jeszcze jesteś, to pewnie la Nastki ślub wróży! — tłumaczyła Jaguś.

— W garnczek wsadzałyśmy razem, ale sama uci-
nałam, to la mnie zakwitła... — wrzeszczała i aż na
placz się jej zbierało, że nie przytwierdzają.

— Jeszcze ci czas ganiać za parobkami i wysta-
wać na przelazach, starszym przódzi pora, starszym! —
mówiła, nie patrząc na nikogo a uśmiechała się ku
Nastce — cicho no Józia. Wiecie, a to w nocy Magda
od organistów zległa w kruchcie!

— Cudeńka prawicie!

— Żeby to cudeńka, ale prawdziwą prawdę! Jambroży szedł dzwonić i nastąpił na nią...

— Mój Jezus! I nie przemarzła!

— Bogać ta nie, dziecko na śmierć zamarzło! a Magda ledwie zipie. Wzięli ją na plebanję i cucą jeszcze... a lepiej, żeby nie docucili... co jej za niewola żyć, co za dobro ją czeka: cierpienie ano i harowanie.

— Powiadał Mateusz, że jak ją organisty wypędziły, przychodziła ciągiem do młynarza i tam przesiadywała, ale potem Franek ją sprzał i wygonił, pono z młynarzowego przykazu.

— Cóż to miał z nią zrobić, w ramki oprawić i na ścianie powiesić! Chłop on jest jak i drugie, przysięgał jak sięgał, a dostał, zaprzestał! Juści, bez winy on nie jest, ale najwięcej winowate organisty! Póki zdrowa była, to orali w nią kiej w te dwa woły, sama jedna robiła wszystko, a małe to gospodarstwo mają! samych krów pięć, a dzieciaków tyle, świń, gadziny, pola tyle! A jak zachorowała, to ją wyгнаły, ścierwy nie ludzie!

— A pocóż się zadawała z Frankiem! — wykrzyknęła Nastka.

— To samobyś zrobiła nawet z Jaśkiem, byś ino wierzyła, że na zapowiedzi poniesie!

Zaperzyła się o to Nastka i jęła przegadywać, ale wszedł Boryna, więc obie przycichły.

— Wiecie o Magdzie! Już żywie, domacali się w niej ducha, Jambroży powiada, że jeszcze z pacierz, a jużby pięty pokazała światu; Rocho trze ją śniegiem i poi, ale pono lekować się będzie musiała długo.

— A gdzie się to podzieje biedota, gdzie?

— Chyba Kozły muszą ją wziąć do siebie, boć to ich krewniaczka!

— Kozły! Same tem ino żyją, co gdzie urwią, wy-cyganią albo i ukradną, to za co będą ją lekowali! Tyle gospodarzy we wsi, tyle bogaczy, a nikt z poratunkiem nie śpieszy!

— Juści, gospodarze to mają studnie nieprzebrane, samo im z nieba leci, że ino rozdawać na wsze strony! Każdy ma dosyć swojego, co mu do obcych! Jeszczeby, żebym każdego, komu potrza, z drogi zbierał, do dom zwoził, jeść dawał, lekował i może jeszcze dochtarów płacił! Stara jesteście, a w głowie wama przewiewa.

— Prawda, że musu nikt nie ma pomagać drugim, ale człowiek też nie bydlę, żeby zdychał pode płotem.

— Takie już jest i będzie urządzenie na świecie, zmienicie to?

— Baczę, że dawniej, przed wojną, jeszcze za pańskich czasów, był we wsi szpital dla biednych, w tym domu, gdzie teraz organista siedzi, dobrze baczę, iż z morga płacili.

Boryna się zniecierpliwił i nie chciał o tem mówić więcej.

— Gadanie nasze tyle zrobi, co umarłemu kadzenie! — zakończył chmurnie.

— Pewnie, że nie pomoże, pewnie! Kto nie ma serca miłosiernego la ludzkiego skrzybotu, temu i płakania są zbędne! Komu jest dobrze, temu się widzi, że wszystko się dzieje na świecie jak przynależy, jak Pan Bóg przykazał!

Ale już na to Boryna się nie odezwał, więc Jagu-
stynka zwróciła się do Nastki.

— Jakże tam Mateuszowe boki, lepiej?

— Mateusz, cóż mu się to stało?...

— Nie wiecie?.. — zawołała Nastka. — A to
przed świętami jeszcze, we wtorek, widzi mi się, wasz
Antek go pobił; za orzydle wziął, wyniósł z młynicy i tak
ciepnął o plot, że cztery żerdki pękły, wpadł do wody
i ledwie się nie utopił. Choruje teraz, krwią pluje, ruchać
się nie może. Jambroży powiadają, że mu się macica
przewróciła i cztery żebra pękły! A tak jęczy ciągiem,
tak stęka!

Rozplakała się.

Jagna porwała się na pierwsze słowa, jakby ją kto
zgnął w samo serce, bo zaraz jej przyszło do głowy, że
to pewnie o nią, ale wnet przysiadła znowu na skrzyni,
i jęła przyciskać lypiące powieki do wiśniowych kwiatów
a chłodzić...

Wszyscy w domu byli zdumieni, bo o niczem nie
wiedzieli, po całej wsi mówiono o tem od początku, a do
Borynów nie doszło.

— Trafił swój na swego, zbój na zbója, nie ukrzyw-
dzą się zanadto! — mruknął stary, ale zły być musiał,
bo się namarszczył i jął drewna rzucać do komina.

— O co się pobili? — spytała później Jagna.

— O ciebie! — warknęła ze złością stara.

— Juści, mówcie prawdę.

— Rzekłam! Mateusz się chwalił we młynie przed
chłopami, że często bywał u ciebie w komorze, Antek to

posłyszał i pobił go! Jak te psy o sukę, tak się o ciebie zagryzają.

— Nie powiedajcie do śmiechu, bo mnie słuchać nie letko.

— Rozpytaj się na wsi, kiej mnie nie wierzysz, każdy ci to samo przytwierdzi, przeciech nie prawie, że Mateusz prawdę gadał, a ino co mówił ludziom...

— Cygan paskudny, cygan!

— Ochroni cię to chto od pleciuchów! i za grobem często nie darują:

— Dobrze, że go pobił, dobrze, jeszczebym sama dołożyła! — syknęła zawzięcie...

— Widzisz ją, jak to kurczęciu pazury jastrzębieją.

— Za nieprawdę, tobym zabiła zaraz! Cygan ścierwa!

— To samo wszystkim mówię, ino że nie wierzą i na zęby cię biorą.

— Jak im Antek przytnie ozory, to zmilkną!

— Hale, z całym światem zawiedzie wojnę o ciebie, co? — skrzywiła się złośliwie.

— A wy jak ten Judasz, podpowiadacie swoje, a cieszycie się z cudzej biedy.

Jaguś srodze się rozeźliła, może pierwszy raz w życiu do tego stopnia, taka była zła na Mateusza, że gotowa była lecieć i drzeć go choćby temi pazurami! Nie zniesłaby tej złości, gdyby nie wspominki o Antku i o jego dobroci! Zalewała ją wielka czułość, niewypowiedziana wdzięczność gorzała w jej sercu, że ją obronił i okrzywdzić nie dał. Ale mimo to tak się ciskała po domu, tak o byle co krzyczała na Józkę i Witka, aż się stary za-

niepokoił, przysiadł do niej, zaczął głaskać po twarzy i pytał:

— Co ci to Jaguś, co?

— A cóżby, nic. Odsuńcie się, przy ludziach będą się umilali!

Odsunęła go szorstko.

— Hale, będzie ją głaskał i wpół jeszcze brał, dziadga jakiś, niedojda! — myślała ze złością, bo pierwszy raz spostrzegła jego starość, pierwszy raz obudził się w niej wstręt do niego i głęboka niechęć, nienawiść prawie. Z przyczajoną a radosną wzgardą przyglądała mu się teraz, bo istotnie, w ostatnich czasach postarzał się mocno, powłóczył nogami, garbił się i ręce mu się trzęsły.

— Dziad ten, niezguła!

Otrząsnęła się z obrzydzenia, i tem usilniej myślała o Antku, i już się nie bronila przed wspominkami, i nie uciekała od tych kuszących, słodkich szeptów.

A dzień się dłużył ogromnie, nie do wytrzymania, że co chwila wychodziła na ganek, to do sadu za dom i przez drzewa patrzyła na pola... albo wspierała się o chróściany płot, dzielący sad od drogi biegnącej za wsią, wzdłuż sadów i zabudowań, i tęskliwemi oczami leciała we świat, na białe śnieżne pola, do borów ciemniejących jeno, że nic nie rozeznawała, tak ją całą przejmowała głęboka radość, że za nią się ujął i skrzywdzić nie dał.

— Taki dałby radę wszystkim! Mocarz ci on, mocarz! — myślała z tkliwością. — Gdyby się zjawił teraz, w tem oczymgnieniu! nie oparłaby mu się, nie!...

Bróg stał niedaleczko, zaraz za drogą, w połu

nico, wróble w nim świerkały i całemi bandami chroniły się do wielkiej dziury, jaka była wybrana w sianie; parobkowi nie chciało się włączyć i z wierzchu zrucać, choć tak Boryna przykazywał, to skubał se po ździebku, kłakami, aż i jamę wyskubał, że parę ludzi mogło się w niej pomieścić.

— Wyjdz! za bróg wyjdz — powtarzała bezwiednie Antkową prośbę.

Uciekła do chałupy, bo zaczęli dzwonić na nie-szpory, a jej się zachciało samej iść do kościoła, w głuchej, niejasnej nadziei, że go tam spotka.

Juści, że nie było go w kościele, ale zato spotkała się zaraz przy wejściu, w kruchcie, z Hanką, pochwaliła Boga, wstrzymując rękę przed kropielnicą, by tamta pierwsza umaczała palce, Hanka zaś nie odrzekła pozdrowieniem i nie sięgnęła po wodę święconą, a przeszła mimo i tak ją uderzyła oczami jakby kamieniem.

Aż jej lzy stanęły w oczach z tego spostponowania i jawnej złości, ale siedziała w ławce i nie mogła oczów oderwać od jej zmizerowanej, bladej twarzy.

— Antkowa kobieta, a takie chuchro, taka mizerota, no, no! — snuło się jej po głowie, ale rychło zapomniała o niej, bo śpiewali na chórze i organy tak pięknie przygrywały, tak cicho a uroczyście, że się zatopiła całkiem w muzyce. Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze i słodko w kościele, przeniгда; nie modliła się nawet, książka leżała nie otwarta, różaniec tkwił w palcach niezaczęty, a ona wdychała ino, chodziła oczami po mrokach zwolna płynących z okien, po obrazach, po skrzeniach światła i złości, po tych farbach ledwie wi-

dnych i niesła się duszą w zaświaty, w te cudności i nieba obrazów, w przygasłe cichnące dźwięki, w rozmodlone śpiewy, w święty spokój ekstazy i piła takie zapomnienie wszystkiego, że już nie baczyła, gdzie jest, jeno się jej widziało, że święci zstępują z obrazów, że idą ku niej z uśmiechem przenajsłodszym, że te błogostawiające ręce wyciągają się nad nią i dalej idą, nad całym narodem aż się przechylił jako ten łan, a nad nim wieją szaty błękitne, szaty czerwone, spojrzenia miłosierne, grania niewypowiedziane, pieśni dziękczynne — że już i nie wypowiedzieć!

Ocknęła, gdy się nieszpory skończyły i umilkły organy, cisza ją zbudziła z tego sennego rozmarzenia, z żalem się podniosła i wychodziła z drugimi, ale przed kościołem znowu się spotkała z Hanką, która przystała nawprost, jakby chciała co rzec, ale ino spojrzała nieawistnie i poszła.

— Wytrzeszcza ślepie i myśli, że mnie tem nastraszysz, głupia — pomyślała Jagna, wróciwszy do domu.

Wieczór też już był zapadł, wieczór cichy, omdlały jakiś, świąteczny; mroczno było na świecie, światłości gwiazdne pomdlały w mętnej niebie, że ino gdzie niegdzie tryskał promień jaki, śnieg prószył, opadał zwolna, bez szelestu, migotał za szybami i snuł się nieskończonem, kłaczącem przedziwem.

W izbie było cicho również i nieco sennie. Przyszedł Szymek zaraz z wieczora niby w odwiedzin, a głównie, by się z Nastką spotkać; siedzieli też wpodłe i ciche wiedli rozmowy. Boryny jeszcze nie było. Jagustynka siedziała przed kominem, obierając ziemniaki, a po dru-

giej stronie Pietrek przegrywał z cicha na skrzypicy, ale tak jakoś żałośliwie, że Łapa czasami skomlał i wyl przeciagle. Witek też tam siedział z Józką, aż Jagna, którą rozbierało to granie, krzyknęła przez drzwi:

— Przestań, Pietrek, a to się aż na płacz zbiera z tej muzyki.

— Ja tobym zaś spała najlepiej przy graniu — zaśmiała się Jagustynka.

Ale skrzypki ucichły, dopiero po czasie jakimś ozwały się cichutką, ledwie dosłyszana nutą, z za stajni, bo tam się przeniósł Pietrek i długo w noc grał. Kolacja się też dogotowywała, gdy powrócił stary.

— A to wójtowa zległa, rwetes tam niemały, aż Dominikowa przepędza ludzi, tyła się naszło. Trzebaby ci Jaguś zajrzeć do niej jutro.

— A zaraz polecę, zaraz! — zawołała skwapliwie, a w ogniach cała.

— Możesz i zaraz, pójdę z tobą.

— E... to już jutro może... powiadacie, że tyła tam narodu, wolę po dniu, śnieg pada, ćma!... — tłumaczyła zniechęcona nagle, a on i na to się zgodził i nie nastawał, ile że i weszła akuratnie kowalowa z dziećmi.

— A gdzież to twój?

— Zepsuła się młockarnia we Woli, to go pozwal, bo dworski kowal nie umie sobie poradzić...

— Coś często teraz jeździ do dworu! — rzuciła znacząco Jagustynka.

— Przeszkadza to wama.

— Coby zaś, uważam ino, miarkuję i czekam, co z tego wyjdzie...

Ale na tem się skończyło, bo nikomu nie chciało się wieść głośnej rozmowy la drugich, każdy pogadywał zcicha i leniwie, senność ogarniała wszystkich bez mała z wczorajszego niewywczasowania, że nawet kolację jedli bez smaku, a ino ten i ów z podziwem spoglądał na Jagusię, która gorączkowo uwijała się po izbie, zapraszała do jadła, choć już łyżki pokładli, buchała ni z tego ni z owego śmiechem, to znowu przysiadła się do dziewczyn i rajcowała trzy po trzy, a niedokończywszy, leciała na drugą stronę, ale już z sieni nawracała z powrotem. Była w gorączce męczącej, bo pełnej obaw i niepokoju. Wieczór włókl się wolno, ociężale, sennie, a w niej rosła i wzmagala się nieustępliwie chęć wybieżenia za dom... do brogu... Ale nie mogła się zdecydować, bała się, że spostrzegą... bała się grzechu... powstrzymywała się całą mocą i dygotała z męki, skowyczała w niej dusza jak ten pies na łańcuchu, rwało się serce... nie, nie mogła, nie mogła... a on może już tam stoi... czeka... wypatruje... może koło chałupy błądzi... może gdzie w sadzie przyczajony w okna zagląda i patrzy teraz na nią... i prosi... i truchleje z żalości, że nie wyszła... Polecí chyba, nie wytrzyma dłużej... ino na tę minutkę, na to jedno słowo, by mu rzec: idź, nie wyjdę, grzech... Już się za zapaską oglądała, już szła ku drzwiom... szła... ale cosik jakby ją ułapilo za kark i przytrzymało na miejscu... bała się... i Jagustynki oczy chodziły za nią w ślad, jak te psy tropiące, Nastka też dziwnie spoglądała... stary również... Wiedzą co?... miarkują?... Nie, nie wyjdę dzisiaj, nie...

Zmogła się wreszcie, ale czuła się tak zmordowaną,

że ani wiedziała, co się dzieje dokoła. Przecknęła dopiero, gdy Łapa zaczął szczekać przed domem; w izbie było prawie pusto, jedna Jagustynka drzemiała pod kominem, a stary patrzył w okno, bo pies szczekał coraz zajadlej.

— Pewnie Antek, nie doczekał się i... — porwała się zestraszona.

Ale to stary Kłęb stanął we drzwiach, a za nim wchodzili wolno, otrzepując się i objijając o próg buty ze śniegu — Winciorek, kulawy Grzela, Michał Caban, Franek Bylica, brat Hanczynego ojca, Walenty z krzywą gembą i Józef Wachnik...

Dziwował się tej procesji Boryna, ale juści, że pary z gemby nie puścił, na pozdrowienia odpowiadał, rękę podawał, siedzieć zapraszał, ławki podsuwał i tabaką częstował...

Usadzili się rzędem, tabakę ochotnie zażywali, ten kichnął, ów nos ucierał, tamten zaś oczy, bo tabaka była krzepka, jenszy rozglądał się po izbie, któren znów to jakie słowo rzucił, drugi zaś rozważnie i z namysłem odrzekł — tamten o śniegach prawił, kto z turbacjami wyjeżdżał, kto ino wzdychał a kiwaniem przytwierdzał — a wszystkie razem mądre dyskursy wiedli i zwolna prowadzili do tego, z czem przyszli...

Boryna się kręcił na ławie, w oczy im patrzył, za języki pociągał i z różnych stron zabiegał.

Nie dali się jednak wywieźć; siedzieli w rząd, siwi wszyscy, wyschli, wygoleni, równiaki latami, czerstwi jeszcze choć już starością i pracą przygięci do ziemi, niby te glazy polne omszali, surowi, kwardzi, nieprzystępni

a mądrale, to się strzegli wymówić przed czasem i kłotali po miedzach sprawy, jako te zmyślne psy owczarskie, kiedy chcą owce zagnać we wrota.

Aż wkońcu Kłęb odchrząknął, splunął i rzekł uroczyście:

— Co tu marudzić i zwlekać; przyślim się dowiedzieć, czy trzymacie z nami?...

— Bez was stanować nie mogę...

— Boć pierwszym we wsi jesteście.

— A rozumu też wam Pan Jezus nie poskąpił.

— I choć przez urzędu, a gromadzie przewodzicie...

— Kuźden się na was ogląda.

— Ile, że o wszystkich krzywdę chodzi. — Powiedział każdy swoje, a przypoehlebnie, że Boryna poczerwieniał, ręce rozłożył i zawołał:

— Ludzie kochane, kiej nie miarkuję, z czem przychodzicie?

— A wedle naszego lasu, mają go rąbać po Trzech Królach!

— Przecie już na tartaku rzną jakieś drzewo.

— Rzną żydoskie z Rudki, nie wicie to?

— Nie wiedziałem, czasu niema chodzić pomiędzy ludźmi i przepytywać...

— A samiście najpierwsi pomstowali na dziedzica...

— Bom myślał, że nasze poręby sprzedał...

— A czyjeż to sprzedał, czyje? — zakrzyczał Caban.

— Juści, że na przykupnem.

— Sprzedał i na przykupnem, ale sprzedał i na Wilczych dołach i ma ciąć...

— Bez naszego przyzwolenstwa ciał nie będzie.

— Juści, drzewo już wycechowali, las rozmierzyli i po Trzech Królach rąbać zaczną.

— Kiedy tak, trzeba jechać ze skargą do komisarza — rzekł Boryna po namyśle.

— Od zasiewów do żniw, nie każdy będzie żyw! — mruknął Caban.

— A jak kto na śmierć chory, na nic mu i doctory! — dodał Walenty z krzywą gębą.

— Skarga tyle sprawi, że nim urząd zjedzie i zabroni, to już i pniaków nie zostanie po naszym lesie, a jak to było w Dębicy, baczycie?

— Z dworem, to jak z wilkiem, niech ino jedną owcę spróbuje, wnet całe stado wybierze.

— Nie trza dać, by się znarowił.

— Rzekliście mądre słowo, Macieju; jutro po kościele, mają się gospodarze zebrać u mnie, by cosik postanowiła gromada, tośwa przyszli waju zaprosić na naradę.

— Wszystkie przyjdą?...

— Wszystkie, a zaraz po kościele...

— Jutro... Cóż kiej koniecznie muszę jutro jechać do Woli, prawdę mówię, dzielą się tam gospodarką krewniaki, a swarzą i procesują, obiecałem się rozsądzić, by się sierotom krzywda nie stała, jechać muszę, ale co postanowicie, to tak wezmę, jakbym uradzał społem.

Wyszli markotni nieco, bo chociaż wszystkiemu przytwierdzał i zgadzał się na wszystko, co mówili, dobrze poczuli, że z nimi szczerze nie trzyma.

— Hale, uradzajcie sobie, ale bezemnie! — myślał — wójt, ni młynarz, ni co pierwsi nie pójda z wami!

Niech się dwór dowie, że nie nastaje na niego, prędzej zapłaci za krowę... i będzie się chciał godzić z osobną... Głupie... do ostatniego chojaka pozwolić mu ciąć... a potem dopiero w krzyk, do sądów, areszt położyć, przycisnąć — dałby więcej niżli zgoda. Niech se radzą, poczekam na boku, nie pilno mi, nie!...

Dom już cały legł spać, a Maciej siedział, kredą na ławce pisał, liczył i długo w noc deliberował.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, nakazał parobkowi rychtować sanie.

— Jakom wczoraj powiedział, pojedę do Woli, pilnuj tu domu, Jaguś, a jakby się kto dowiadywał, rozgłaszaj, że musiałem jechać i do wójtowej zajrzyj.

— Późno to wróćcie? — pytała z przyczajoną w sercu radością.

— Na odwieczerzu, a może i później.

Przyodziewał się świętecznie, a ona znosiła mu z komory ubrania, wiązała wstążkę u koszuli pod szyją, pomagała we wszystkim i z gorączkową niecierpliwością przynaglała Pietrka, by prędzej konie zakładał, trzęsła się cała, nie mogła ustać na miejscu, radość w niej krzyczała, radość, że pojedzie na cały dzień, późno wróci, może dopiero w nocy, a ona zostanie sama i o zmroku — o zmroku wyjdzie za bróg... Wyjdzie! Hej! Rwała się już jej dusza do wylotu, śmiały się oczy, wyciągały ręce, prężyła pierś i ognie błyskawicami upalnymi chodziły po niej i słodką męką oblewały... Ale znagła, niespodziewanie chwycił ją dziwny lęk i ścisnął za serce, że zmiłkła, przycichła w sobie i jak błędna patrzyła za Boryną, gdy się okręcił w pas, nadział czapę i wydawał jakieś przykazania Witkowi.

— Weźcie mnie ze sobą! — szepnęła cicho.

— Hale. Któż w chałupie ostanie? — zdziwił się mocno.

— Weźcie mnie, św. Szczepan dzisiaj, roboty wiele niema, weźcie mnie, tak mi się markoci, weźcie — prosiła tak gorąco, że chociaż się dziwował, ale się nie oparł i przyzwolił.

W parę chwil już była gotowa i ruszyli zaraz z przed domu ostro, z kopyta, aż sanie zamietły.

VI.

— Myślałech, żeś gdzie w śniegach uwięzła! — szepnął przekąśliwie.

— Hale, można to przyśpieszyć na taką wieję, po omacku szłam całkiem, bo tak ciepie śniegiem, że oczów nie można ozewrzeć, a takie zaspy na drogach, taki mąt, że i na dwa kroki nic nierozezna przed się.

— Matka w chałupie?

— A juści, gdzieby ta szli na taki psi czas: rano byli u Kozłów, ale z Magdą jest krucho, na księżą oborę patrzy, to i nic poradzić nie poradzili — odpowiadała Jagna, otrzepując się ze śniegu.

— Cóż tam na wsi? — zagadnął naśmieszliwie.

— Idźcie pytać, to wiedzieć będziecie, po nowinki nie latałam!

— Dziedzic przejechał, nie wiesz to?

— Psu wytrzymać trudno na takiej wiejbie, a dziedzicowiby się tam chciało...

— Kogo mus pędzi, ten i na zakurki patrzył nie będzie.

— Pewnie, jak komu mus... — uśmiechnęła się wąpiąco.

— Sam się obiecał, nikt go nie prosił — powiedział Boryna surowo, odłożył ośnik, wstał z kobylicy i podszedł do okna wyrzeć, ale na świetcie była taka kurzawa, tak kotłowało, że ni płotów, ni drzewin widać nie było.

— Widzi mi się, że śnieg już nie sypie — powiedział łagodniej.

— A nie, kręci ino, rwie, zamiata i tak kurzy, tak ciepie, że drogi nie rozezna — rzekła Jagna, rozgrzała ręce i wzięła się do motania nici z wrzecion na motowidło, stary zaś powrócił do roboty, ale coraz niecierpliwiej spoglądał w okno i nasłuchiwał.

— Gdzie to Józka? — spytał po chwili.

— Pewnikiem u Nastki, ciągiem tam przesiaduje.

— Lofer dzieucha, że tego pacierza w chałupie nie usiedzi.

— A bo jej się cni, powiada.

— Ale, zabawy se będzie szukała.

— Tak powiada, by ino się od roboty wykręcić.

— Nie możesz to przykazać.

— Juści, raz to mówiłam abo dwa, pysk na mnie wywarła jak na tego psa; jak wy jej nie przykróćcie, to ona ma gdzieś moje przykazy.

Ale stary puścił mimo uszów te skargi, bo coraz niecierpliwiej nasłuchiwał, cóż kiej żaden głos ludzki nie dochodził ze dworu, wichura ino wyla, przewalała się po świetcie, biła niby barami w ściany, aż dom trzeszczał i pojękiwał.

— Pójdziecie to? — spytała cicho.

Nie odrzekł, bo dosłyszał otwieranie drzwi do sieni, jakoż w tej chwili wpadł zziębnięty Witek i krzyknął z progu.

— Dziedzic już przejechał!

— Dawno? Przywieraj drzwi prędko.

— Adyć jeszcze słyhać brzękadła!

— Sam jechał?

— Kiej takie zakurki, żem ino konie rozeznał.

— Bieżyj w ten mig i dowiedz się, gdzie stanął!

— Pójdziecie do niego? — zapytała cicho, z tchem przytająnym.

— Poczekam, aż zawołają mnie, napraszał się nie będę, ale beze mnie przecie nic nie uradzą...

Umilkli oboje, Jagna motała, licząc nici i przewijając je w pasma, a stary, że mu robota leciała z rąk z niecierpliwości, rzucił wszystko i zaczął się przybierać do wyjścia, nim jednak skończył, przyleciał Witek.

— Dziedzic siedzą u młynarza w izbie ode drogi, a konie stoją w podwórzu.

— Cóżes się tak utyłł?

— A bo mię wiater przewrócił w zaspę...

— Pewnie — dobrze się musiał z chłopakami za łby po śniegu wodzić...

— Wiater mię obalił...

— Drzyj obleczenie, drzyj, jak cię jucho rzemie-
niem pogrzeję, to zapamiętasz.

— Kiej prawdę mówię... tak wieje, tak ciepie, że
ustoić trudno...

— Puść komin, w nocy się dość wygrzejesz, po-

wiedz Pietrkowi, niech się do młocki weźmie, pomóż mu, nie ganiaj po wsi jak ten psiak z wywieszonym ozorem.

— Idę, ino jeszcze drewek przyniesę, bo gospodyni kazała... — szeptał żałośnie i markotnie, że nie mógł opowiadać, co widział na wsi, zakręcił się po izbie, gwiznął na Łapę, ale pies zwinął się w kłębek i ani chciał słuchać, więc sam poszedł, Boryna zaś ubrany do wyjścia, laził z kąta w kąt, poprawiał w kominie, zachodził do stodoły, to oknem wyglądał, to przed dom wychodził i coraz niecierpliwiej czekał, ale nikt po niego nie przychodził.

— Może zapomnieli... — zauważyła Jaguś.

— Jakże, o mnieby zapomnieli...

— Bo wy kowalowi wierzycie, a on cygan najpierwszy...

— Głupiaś, nie powiadaj, na czym się nie rozumiesz...

Zamilkła obrażona, próżno zagadywał łagodnymi słowy, aż wkońcu sam się zeźlił, nadział czapę i z trzaskiem poszedł.

Jaguś narządziła kądziel, przysiadła się pod okno i przędła, spoglądając od czasu do czasu w śnieżycę, srozącą się za oknem.

Wiatr huczał przeraźliwie, śnieżne tumany kłębami jak domy, abo jak te drzewa wielgachne, rozstrzępione, taczały się po świecie i raz po raz biły w chałupę, aż wszystko w izbie dygotało, szczękały miski poustawiane w szafce i kolebały się u pułapu opłatkowe świąty. Zimno przejmujące, wiejne tak ciągnęło od okien i drzwi, że

Łapa wciąż szukał cieplejszego legowiska a Jagna przyokryła się w zapaskę.

Witek wsunął się cicho i rzekł nieśmiało:

— Gospodyni!

— Czego?

— Wiecie, a to dziedzic w ogiery przyjechał! Cuganty kiej hamany, kare całkiem, w siatkach czerwonych, z piórami na łbach, a brzękadła na pasach, to łysnią się cd złota kiej te obrazy w kościele! A jak szły, to niczem ten wiater!

— Nie dziwota, dworskie przecież, nie chłopskie!

— Jezus, jeszcze takich smoków nie widział!

— Jeszczeby, nic nie robią i na czystym owsie stoją!

— Pewnie że tak, ale żeby naszą źrebicę wypaść, ogon jej obciąć, grzywę zapleść i sprząc z wójtową siwką, toby tak samo rwały, co? gospodyni...

Pies się zerwał nagle, nastraszył i zaczął szczekać.

— Wyjrzyj-no, ktosik jest w ganku.

Ale nim zdążył, jakiś obwalony śniegiem człowiek stanął w progu, pochwalił Boga, otrzepywał czapkę o buty i rozglądał się po izbie.

— Pozwólcie się ogrzać i wytchnąć nieco! — rzekł prosząco.

— Siadajcie, Witek przyrzuc na ogień — zarządziła zmieszana.

Nieznajomy siadł przed kominem, ogrzał się nieco i zapalił fajkę.

— Borynowy to dom, Macieja Boryny? — zagadnął, odczytując z papierka.

— Juści, Borynowy — przytwierdziła ze strachem, bo się jej uwidziało, że to jakiś z urzędu.

— Ojciec w domu?

— Mój poszli na wieś.

— Poczekam, pozwólcie, że posiedzę przed ogniem, przemarzłem.

— A siedźcie, przecie ławki ni ognia nie ubędzie.

Nieznamy zdjął kozuch, ale snadź zimno mu było, bo wstrząsał się cały, zacierał ręce i coraz bliżej przysuwał się do ognia.

— Ciężka zima latoś — szepnął.

— Pewnie, że nie letka. A może mleka zgotować na rozgrzewkę.

— Dziękuję, gdybyście mieli herbatę!...

— Była ci, była, jeszcze jesienią, kiej mój chorzał na brzucho, przywiezłam z miasta, ale wyszła, a nie wiem, u kogoby na wsi znalazł...

— A dobrodziej pono ciągiem arbatę piją — wtrącił Witek.

— Hale, polecisz to do niego pożyczać, co!

— Nie potrzeba, nie, herbatę mam ze sobą, zagotujcie mi tylko wody...

— Wrzątku niby!

Przystawiła garnczek z wodą do ognia i siadła z powrotem do kądzieli, ale nie przędła, tyła co czasem furknęła wrzecionem dla niepoznaki i spozierała na niego pilnie, pełna głuchego niepokoju i ciekawości; co za jeden, czego chce, może z urzędu, po jakim spisie, bo ciągiem zaglądał do książeczki?... Ubiór też miał prawie pański, szary z zielonem, jaki to noszą strzelcy dworscy!

a to znowu kozuch chłopski i czapkę też! Cudak ci jakiś abo ten obieżyświat! A może i co drugie! Rozmyślała, porozumiewając się oczami z Witkiem, któren niby podkładał na ogień a głównie oglądał nieznanomego i mocno się dziwował, że ten cmoknął na Łapę.

— Ugryzie, pies zły! — szepnął mimowoli.

— Nie bój się, mnie psy nie gryzą — uśmiechnął się dziwnie i gładził tulący mu się do kolan psi łeb.

Przyszła wkrótce Józka, a za nią zaraz zajrzała Wawrzonowa, to któryś z sąsiadów, bo się już było roznieśli w sąsiedztwie, że jakiś obcy siedzi u Borynow.

A on wciąż się nagrzewał, nie bacząc na ludzi, ni ich szepty i uwagi, dopiero gdy się woda zagotowała, wydobyl z jakiegoś papierka herbatę, zasypał, sam wziął z półki biały garnuszek, nalał wrzątku i przegryzając kawałkiem cukru, popijał i chodził po izbie, a przyglądał się obrazom, sprzętom, to stawał na środku i tak przenikliwie spoglądał w oczy, że ludziom miętko robiło się w dołku.

— Kto to lepił? — wskazał na światy, wiszące u sufitu.

— To ja! — pisknęła rozczzerwieniona Józka.

Chodził znowu długo a Łapa krok w krok za nim.

— Kto tak wymalował? — zawołał zdumiony, przystając przed wycinkami, jakie były nalepione na ramach obrazów, a gdzie niegdzie i wprost na ścianie.

— Kiej to nie malowane, ino wystrzyżone z papierów!

— Nie może być! — wykrzyknął.

— Samam strzygła, to juści wiem!

— I samiście to wymyślili, co?

— Sama, adyć każde dziecko we wsi to potrafi.

Umilkł znowu, nalał sobie drugi raz herbaty, usiadł przed kominem i z dobre parę pacierzy nie rzekł ani słowa.

Ludzie się porozchodzili, bo wieczór nadchodził i zamieć się uciszała, że ino czasami zrywał się jeszcze ostry wichur, zakręcał, mącił i bił w chałupy, ale coraz rzadziej i słabiej się trzepotał, niby ten ptak wyzbyty z sił dalekim lotem.

Jagna też wkońcu odstawiła kądziel i wzięła się do wieczorowych obrządków.

— Służył u was Jakób Socha? — zagadnął nieznajomy.

— Niby Kuba! Juści, że służył, ale się pomarło chudziakowi jeszcze na jesieni.

— Mówił mi ksiądz o tem. Mój Boże, szukałem go od lata po wszystkich wsiach okólnych i znalazłem po śmierci...

— Naszego Kuby szukaliście? — zawołał Witek wzruszony.

— A to pan muszą być dziedzicowym bratem z Woli?

— Skądże mnie znacie?

— Powiadali nieraz ludzie, że dziedzicowy brat wrócił z dalekich krajów i szuka po wsiach jakiegoś Kuby, ale nikt nie miarkował którego.

— Sochy, dopiero dzisiaj się dowiedziałem, że służył u was i że umarł.

— Postrzelili go, krew go uszła i pomarł, pomarł! — wołał Witek przez lzy.

— Długo był u was?

— A zawsze, jak ino pamięcią sięgnę, to zawsze służył u Borynów.

— Poczciwy był podobno? — pytał nieśmiało.

— I jak jeszcze, cała wieś może przyświadczyć, wszyscy, nawet dobrodziej płakali na pochowku i nic nie wzięli za nabożeństwo.

— A mnie pacierza uczył i strzylać uczył i kiej rodzony ojciec opiekę trzymał nade mną! i po dziesiątku czasem dawał i... — wybuchnął płaczem na przypomnienie.

— A pobożny był, cichy, pracowity parobek, że nieraz dobrodziej sam go chwalił...

— Na waszym cmentarzu pochowany?

— Zaśby indziej?

— Ja wiem gdzie, pokażę. Jambroży mu krzyż dostawił a Rocho wypisał na deseczce wszystko, że choć zawiane śniegiem, trafię i doprowadzę — zawołał Witek.

— A to zaraz pójdźmy, aby przed nocą zdążyć.

Nieznajomy odział się w kozuch i przez długą chwilę stał na środku izby, gdzieś przed się zapatrzony. Stary już był, przygarbiony nieco, siwy, suchy jak wiór; twarz miał poradloną i ziemistą, dziurę w prawym policzku — stary ślad od kuli, a czerwoną, długą krychę nad okiem, nos długi, krzaczastą, rzadką bródkę i ciemne oczy, głęboko wpadnięte i jarzące mocno; fajki z zębów nie popuszczał ani na chwilę i ciągiem ją zapalał. Poruszył się wreszcie i chciał jakieś pieniądze dać Jagusi, ale cofnęła ręce za siebie i poczerwieniała.

— Weźcie, za darmo nic na świecie nie dają...

— Hale, we świecie może taka moda; żyd to jestem albo ten handlarz, co za wodę i ogień każe sobie płacić! — szepnęła obrażona.

— Bóg wam zapłać za gościnność! Powiedzcie waszemu, że był Jacek z Woli. Przypomni mnie sobie, zajrzę tu jeszcze do was kiedy, teraz mi pilno, bo noc nadchodzi, zostajcie z Bogiem.

— Panu Bogu oddajem!

Chciała go pocałować w rękę, ale wyrwał się i zwa-wo ruszył z chałupy.

Na ziemię sypał się pierwszy, ledwie dojrzany mrok, wicher ustał, jeno z ząsp, co groblami leżały wpoprzek drogi, kurzył suchy miałki śnieg, kieby kto pytle wytrzepywał z mąki, ale ino dołem szła mątwa i kur-niawa, bo górą już było przycichło, że domy i sady wychyliły się na jaśnieję i stały widne w omdłałym, sinawym tumanie mroczenia.

A wieś jakby przecknęła z odrętwienia, zaroiły się drogi, zawrzały głosami opłotki, gdzie niegdzie brali się do odwalania śniegów z przed chałup, rąbali w stawie przeręble, nosili wodę, wywierali wrótnie do stodół, że bicie cepów donośniej rozlegało się po drogach, gdzie niegdzie już i sanie z trudem torowały sobie drogę, nawet wrony pokazały się w obejściach, co było niechybnym znakiem, że szło na odmianę.

Pan Jacek rozglądał się ciekawie dokoła, czasem pytał o ludzi spotykanych, to o chałupy a szedł tak rażno, że Witek ledwie nadążył, ino Łapa biegł przodem i wyszczekiwał radośnie.

Przed kościołem piętrzyły się tak srogie zaspę, że całkiem ogrodzenie przywałyły i prawie po gałęzie drzew sięgały, musieli obchodzić drugą stroną pobok plebanji, naprzeciw której cała hurma chłopaków ganiała się z wrzaskiem i biła śniegiem, a że Łapa czekał na nich, chycił go któryś za grzbiet i rzucił w puszystą, dymiącą jeszcze zaspę. Witek skoczył na ratunek, ale i jemu dostało się niezgorzej pecynami, że ledwie się wygramolił, coś niecoś oddał i poleciał chybcikiem, bo pan Jacek nie czekał.

Ledwie się przekopali na cmentarz, a i tam śniegu było na dobrego chłopca, tyła, że ino ramiona krzyżów czerniały się nad groblami i garbami śniegów; miejsce zaś było nieco otwarte, to wiatr jeszcze przeciągał czasami i kurzawa raz po raz przysłała wszystko mgławicą, że ino drzewa nagie targały się w niej i majaczyły pniami. Pola zaś naokół zasnute były bielmem, osleple zgoła i sine mrocnością, że nic nie rozeznał, ni drzew, ni kamionek, ni borów, — jeno tuż za cmentarzem, na dróżce zasypanej ciągnęło kilkanaścioro ludzi, ciężko obrzemienionych i przygiętych do ziemi, kurzawa ich przysłała co trochę, że przepadali całkiem, ale gdy się przyciszyło, coraz bliżej czerwieniały wełniaki kobiet i widni byli pojedynczo.

— Co to za ludzie, z jarmarku wracają?

— Hale, komorniki, po drzewo chodzili do lasu.

— I na plecach je noszą!

— A juści, koni nie mają, to muszą na plecach dygować.

— Dużo takich we wsi?

— Przecie nie mało. Ino gospodarze mają gronta, a insze na komornem siedzą i na wyrobki chodzą, abo do służby się godzą.

— I często po drzewo chodzą, co?

— A raz w tydzień dwór pozwala każdemu przychodzić z kulką, bo co se szuszu oblamie a zbierze w płachtę i udźwignie, to jego, ino gospodarze mają prawo z wozem jeździć i z siekierą do lasu... Myśwa z Kubą jeździli ciągiem i nieraz jeden z dobrą duszą we wozie wracalim... bo Kuba umieli tak ściąć jakiego grabka i schować pod gałęzie, że ani borowy poznał — zawołał z dumą.

— Długo Kuba chorował, opowiedz wszystko.

Juści, że Witek prosić się nie dał i opowiedział, co ino wiedział. Pan Jacek przerywał mu pytaniami, przystawał aż z gorącości, rozkładał ręce, cosik w głos wołał, ale chłopak nie wymiarkował; o co mu szło i dlaczego się tak dziwował, bo po prawdzie nie baczył dobrze, strach go ździebko przejmował, że to już mrocząło i cały cmentarz jakoby się w śmiertelne gżło przyodziewał i różnemi głosami gadał, więc biegł przodem i zestrachanemi oczami wypatrywał Kubowego krzyża; odnalazł go wreszcie, stał pod samym parkanem, wpodłe tych rozwianych mogiłek, pobitych na wojnie, przy których modlił się w Zaduszki.

— A dyc tutaj, na krzyzie stoi wypisane, Jakób Socha! — przesyłabizował, wodząc palcem po białych, wielkich literach! — To Rocho wypisali, a krzyż sprowadził Jambroży!

Pan Jacek dał mu dwie złotówki i kazał śpiesznie wracać do domu.

Chłopak w dyrdy uciekał, a ino jeden raz się odwrócił, by gwiznąć na Łapę i spojrzeć, co tamten robi.

— Jezus! Dziedzicowy brat a klęczy przy Kubowym grobie — szepnął zdumiony, ale że mrok zapadał i przygięte drzewa trzęsły się jakoś strasznie, strach go przejął taki, że galopem i na przelaj poleciał do wsi. Dopiero koło kościoła się zatrzymał, by złapać nieco powietrza i popatrzeć na pieniądze trzymane mocno w garści, pies go też właśnie dopędził, że wracali już razem i wolno do chałupy.

A koło stawu natknął się na Antka wracającego z roboty, pies się rzucił do niego przyłaskać, szczekać i skomleć radośnie, aż go Antek jął głaskać.

— Dobry pies, poczciwy dobry! Skąd to wracasz, Witek?

Witek opowiedział wszystko, juści, że o pieniądzach nie rzekł.

— Zajrzałbyś do dzieci kiedy.

— Przyletę, przyletę, nawet la Pietrusia zrobiłem wózik i jednego cudaka...

— Przynieś go, naści dziesiątkę, byś nie zabaczył!

— A to chybcikiem przylecę, obaczę ino, czy gospodarz nie przyszli...

— Niema ich to w domu? — rzekł niby obojętnie, ale aż zadygotał.

— A u młynarza radzą cosik z dziedzicem i z drugimi!

— Gospodyni w domu? — zapytał ciszej.

— W domu, obrządzają. To ino obaczę i zaraz przylecę...

— Przychodź, przychodź! — szepnął, chciał go pytać, dowiadywać się, ale nie śmiał, ludzie się kręcili dokoła, choć już mrocząło, a przytem chłopak głupi, wygadalby jeszcze, rozgłosił. Poszedł prędko ku domowi, ale przed kościołem rozejrzał się uważnie, czy kto nie patrzy i skręcił w bok, na drózkę biegnącą za stodołami!

Witek zaś pobiegł do chałupy.

Boryny jeszcze nie było, w izbie panował mrok, bo ino na kominie żarzyły się głownie. Jagna zwijała się koło obrządków wieczornych, ale zła była, gdyż Józka znowu gdzieś przepadła, a roboty było tyle, że niewiada, za którą przódzi się imać! Nie słuchała nawet opowiadań Witka, dopiero gdy wspomniał o Antku, przystała nagle i nadstawiła uszów...

— Nie powiadaj nikomu, że ci dał dziesiątkę.

— Kiej przykazujecie, to i pary nie puszcze.

— Naści drugą, a zapamiętaj sobie. Do domu poszedł?...

Nie, nie czekała już jego odpowiedzi, porwała się z miejsca nagle, jakby ze strachem wybiegła na ganek i zaczęła wołać Pietrka, a zalęknionym i czatującym wzrokiem przebiegała sad i opłotki. Nawet za szopę, pod bróg zajrzała, nie było nikogo... Uspokoila się wnet, ale ją taka markotność rozebrała, że zaczęła krzyczeć na Józkę i pędzać ją, by rychlej szykowała krowom picie, a wymawiać, że się ciągle po chałupach włóczy i nic nie robi, juści, że dzieucha też nie zmiłkła, harda była, pyskata i zawzięta, to się zęb za zęb klóciła.

— Pyskuj, pyskuj, ociec przyjdą, to cię wnet rzemieniem przyciszą! — pogroziła Jagna, zapalając lampę i biorąc się znów do przędzenia, nie odpowiadała już na mamroty Józczyny, bo się jej wydało, że ktoś chodzi za szczytowem oknem...

— Witek, wyrzyj-no, musiał prosiak wyleźć z chlewa i chodzi tam ano po sadzie.

Ale Witek upewniał, że zagnał wszystkie i przytknął drzwi, Józka poszła na drugą stronę i wynosiła z Pietrkiem cebratki z pićm dla krów, a potem przyleciała po skopki do dojenia.

— Sama wydoję, odpocznij se, kiedyś się tak spracowała!

— A dójcie sami, znowu z połowę mleka ostawicie w wymionach! — dogryzała Józka.

— Zawrzyj gembę! — wrzasnęła rozgniewana, wdziała trepy, podkasła welniaka, zabrała szkopki i poszła do obory.

Wieczór już był zapadł, wiatr ustał, kurzawa się uciszyła, ale niebo wisiało czarne, bezgwiezdne, wezbrane chmurzyskami, niskie; śniegi szarzały posępnie, jakaś żalonna, zmęczona cichość przygniatała świat, żaden głos ze wsi nie dochodził, a jeno gdzieś od kuźni szło dalekie, głuche bicie młotów.

W oborze było ciemno i duszno, krowy chlipały pićcie i głośno szorowały ozorami dna cebratek i raz wraz postękiwały ciężko.

Jagna znalazła poomacku stołek, przysiadła się pod pierwszą z brzegu, namacała wymiona, wytarła je zapaską i wsparłszy głowę o kałdun krowi, zaczęła doić.

Cichość ją ogarnęła, żeby najlżejszy szelest słyszała wyraźnie; mleko siurkało raz po razie do szkopka, ze stajni dochodziły końskie tupania, to od chałupy szły przytłumione a jazgotliwe rozprawy Józki.

— Rajcuje a ziemniaków nie obiera! — mruknęła i zmiłkła nagle, nasłuchując, bo śnieg zaskrzypiał na podwórzu, jakby kto szedł z prawej strony, od szopy, snadź wolno... przystawał nawet... bo przyciszało się na mgnienie... znowu szedł... śnieg trzeszczał coraz bliżej... ode-rwała głowę i spoglądała w szary otwór drzwi... Zamajaczyła w nim jakaś niewyraźna postać...

— Pietrek!... — zawołała.

— Cicho Jaguś, cicho!

— Antek!

Struchlala całkiem i tak ją wszelka moc odeszła, że nie wykrztusiła ni słowa więcej, ruszyć się nie mogła, pomyśleć nie umiała, ciągnęła bezwiednie za wymiona jeno, że mleko strzykało na welniak i na ziemię. Gorąc ją objął i kieby płomień palący wichrem wiał po niej, błyskawicami migotał w oczach a słodkością serce roz-pierał, a tak ją cosik ułapiło za grdykę i zatkało piersi, że dziw nie padła umarłą...

— Od samych Godów czatowałem na ciebie, co dnia, w kaźden wieczór warowałem jak pies pod brogiem, nie wyszłaś... — szeptał.

A ten głos zduszony, namiętny, zapiękły mocą kochania, nabrzmiały lubością, warem ją oblewał, ogniami, słodkością, krzykiem potęgi... Stał nawprost, czuła, że się wsparł na krowie, pochylił i patrzył w nią tak zbliśka, aż jego gorący oddech palił ją w głowę.

— Nie bój się, Jaguś. Nikto nie widział, nie bojał się. A jużem nie zdzierzał, nie poradzę, a to i w dzień, i w nocy, i w kaźden czas, ciągiem stoisz przede mną, na oczach mi wisisz, Jaguś; nic mi to nie powiesz?

— Cóż ci to rzeknę, co? — szepnęła rozplakany m głosem.

Zmilkli oboje. Zbrakło im głosu, wzruszenie ich dławilo i ta bliskość, ta upragniona samotność, ta noc niemocą się na nich zwała, ciężarem słodkim, ale i dziwnym lękiem! Rwali się do siebie, a teraz i tego słowa rzec było trudno i ciężko, pożąдали się nawzajem a i ręki do się wyciągnąć było niepodobna — milczeli.

Krowa głośno chlipała picie i tak chlastała ogonem po bokach, że raz po raz zacinała go w twarz, aż go przytrzymał mocno, przechylił się barzej przez kłęby i szepnął znowu:

— Ani śpię, ani jem, ani robić mogę bez ciebie Jaguś, bez ciebie...

— A mnie też nie letko, nie...

— Myślałaś to kiej o mnie Jaguś, myślałaś?...

— Mogłam to nie myśleć, kiej mi ciągiem do głowy przychodzisz, ciągiem, że już rady nijakiej dać sobie nie mogę. Prawda to, żeś o mnie pobił Mateusza?

— Prawda. Cyganił o tobie, tom mu pysk stulił, a kaźdemu zrobię to samo!

Drzwi trzasnęły od chałupy i ktosik prędko leciał przez podwórze, prosto do obory, że Antek ledwie zdążył skoczyć do żłobów i tam przywarować.

— A to Józia kazała przynieść cebratki, bo świ-niom trza żarcie narządzać.

— Weź obie, weź! — ledwie wykrztusiła.

— Kiej Łysula nie wypita jeszcze, potem przyletę.

Witek pędem poleciał, słyhać było, jak znowu drzwi trzasnęły, dopiero Antek się wysunął z ukrycia.

— Wróci ścierwa... pójdę pod bróg, zaczekam, wyjdiesz Jaguś?

— Bojam się...

— Przyjdź, choćby godzinę albo i dwie, a czekał będę, przyjdź!... — błagał.

Przysunął się ztyłu, bo wciąż siedziała przy krowie, objął ją potężnie przez piersi, przechylił głowę w tył i wpił się tak mocno wargami w jej usta, że straciła oddech, opadły jej ręce, szkopek poleciał na ziemię, straciła przytomność, ale prężyla się coraz mocniej i tak zapamiętała cisnęła się ustami do jego ust, że zwarli się na śmierć, padli w siebie i przez długą chwilę trwali w takim szalonym, dzikim, bezprzytomnym pocałunku.

Oderwał się wreszcie i chyłkiem wybiegł z obory.

Zerwała się wreszcie, aby doń skoczyć, ale już cieniem mignął na progu i przepadł w nocy. Nie było go, jeno ten cichy, palący szept grał w niej tak mocno, a tak nakazująco, że się ze zdumieniem rozglądała po oborze... Juści nie było nikogój; krowy jeno przeżuwały paszę i chlastały ogonami. Wyjrzała w podwórze, noc stała za progiem nieprzeniknionemi mrokami, cisza gnięła świat, tyla, co te kucia młotów pobrzękiwały w dalekościach... A był przecie, był... stał przy niej, obejmował ją, całował... jeszcze usta palą, jeszcze ognie chodzą po niej błyskawicami a w sercu wzbiera taki krzyk radości, że nie wypowiedzieć! Jezus, mój Jezus! Poderwało ją cosik

i niesło, że choćby w cały świat, zaraz, w ten mig, a poszłaby tam, z nim!... Jantoś! — krzyknęła bezwiednie i dopiero własny głos oprzytomnił ją nieco. Zwijała się z dojeniem ze wszystkich sił, ale była tak roztrzęsiona, że często pod przodkami krów szukała wymion, i tak roztkliwiona szczęściem, że dopiero idąc do chałupy, na mrozie, poczuła, że ma twarz mokrą od płaczu. Zanieśla mleko, ale zapomniała je precedzić, pobiegła na drugą stronę, bo dosłyszała głos Nastki, nic jej nie rzekła i powróciła, przystrajała się przed lusterkiem, to jeszcze polan dorzuciła na ogień, to rozmyślała, że ma coś pilnego zrobić... cóż, kiej nie mogła sobie niczego przypomniać, niczego... bo ino to stało jej w myślach, że Antek czeka pod brogiem, czeka... Pokręciła się jeszcze błędnie po izbie, okryła się zapaską i poszła.

Przesunęła się cicho koło okien i poszła szczytową ścianą do wąskiego przejścia między sadem a szopą, nakrytego niby dachem obwisłymi pod śniegiem gałęziami, że musiała się przychyłać.

Antek czaił się przy przełazie, skoczył do niej jak wilk, przeniósł ją prawie i pociągnął pod bróg, stojący zaraz za drogą.

Ale niewiedło się im całkiem dnia tego, bo tyła co wleźli w bróg, co się tam zwarli w całunkach, rozległ się ostry, donośny głos Boryny.

— Jaguś! Jaguś!...

Kieby piorun w nich trzasnął, tak się roznieśli; Antek skoczył w bok i chyłkiem pod ogrodami rwał, a Jagna pobiegła w podwórze, nie bacząc, że gałęzie zdarły jej zapaskę z głowy i całą obsypały kurzawą. Przetarła

twarz śniegiem, nazbierała pod szopą naręcz drzewa i wolno, spokojnie wróciła do izby.

Stary patrzył na nią z podębą, dziwnie jakoś.

— Zajrzałam do siwuli, bo cosik stęka i pokłada się...

— Szukałem cię w oborze a nie увидziałem...

— Bom wtedy już musiała być pod szopą, drwa zbierałam.

— A gdzieżeś się to tak utyłała w śniegu?...

— Gdzie? Ze strzechy śniegowe brody wiszą, to ino trącić, a na głowę się sypią — tłumaczyła się spokojnie, ale twarz odwracała od ognia, by ukryć wypieki.

Ale starego nie zwiedła, niby wprost, oczy w oczy, nie patrzył, dobrze jednak widział, że cała w ogniach, czerwona, a oczy rozjarzone błyszczą się kiej w chorobie. Jakieś głuche, niejasne podejrzenie wślizgnęło mu się do serca, zazdrość kąśliwa zawarczała w nim jak pies i jak pies się przyczała. Długo się biedzil i rozmyślał, aż wkońcu przyszło mu do głowy, że to pewnie Mateusz ją spotkał i przyparł gdzie do płotu.

Nastka właśnie weszła na to, więc dalejże ją pociągać za język.

— Cóż to, pono Mateusz już zdrowy, chodzi?...

— Hale, zdrowy tam!

— Mówił mi ktosik, że widzieli go na odwieczrzezu, po wsi chodził pono... — zagadywał chytrze a pilnie patrzył w Jagnę.

— Pleciuchy bają, co ino się im widzi, Mateusz ledwie się rucha, z łóżka nawet się nie podnosi, tyła, że już krwią nie oddaje. Jambroży stawiał mu dzisiaj bańki,

10*

a teraz narządził okowitki z tłustością i lekują się tam obaj tak galanto, aże na drodze się rozlegają śpiewania.

Nie pytał się już więcej, ale podejrzeń się nie pozbył.

A Jagusia, że ciężyło jej milczenie i te jego szpiegujące oczy nie dawały spokoju, jęła szeroko opowiadać o bytności pana Jacka.

Zdumiał się tem wielce i zaczął wymiarkowywać coby to mogło znaczyć, biedził się niemało, rozważał, deliberował, każde słowo zosobna w głowie obracał, aż wkońcu wyraźnie z tego wyszło, że dziedzic wysłał pana Jacka na niego, by się wywiedzieć, co to naród powie o porębie.

— Kiej nic a nic o las nie pytał.

— Hale, kiej taki cię wywiedzie niby na postronku, że ani zmiarkujesz kiedy, co i jak a wszystko wypowiesz. Ho, ho, znam ja ten dziedzicowy pomiot.

— Powiadam wam, że ino o Kubę pytał i o te strzyżki!

— Miedzami kołuje, by drogę wypatrzyć! W tem cosik jest, jakaś dziedzicowa sztuczka, bo jakże, dziedzicowy brat i stojalby tam o Kubę! Głupi ino w takie bajdy uwierzy. Powiadają, że ten Jacek głupawy jest nieco, po wsiach ciągiem się nosi, na skrzypkach pod figurami wygrywa i trzy po trzy plecie. I powiedział, że przyjdzie?

— Powiedział i o was się wypytywał.

— No, no, w głowie się nie chce pomieścić.

— A widzieliście się z dziedzicem? — zagadnęła miękko, by ino nie dać mu rozmyślać.

Ciepnał się, jakby go giez ukąsił w słabiznę.

— Nie, u Szymona cały czas siedziałem — powiedział i zamilkł.

Już nie śmiała pytać, bo ciepłał się po chałupie kiej ten pies wściekły, o bele co krzyczał, przyganiał, pomstował, że uczyniło się tak cicho, jakby kto makiem posiał, kuźden mu z oczów rad schodził, by czego nie oberwać.

I w takiej przykrej cichości siadali do kolacji, gdy wszedł Rocho, siadł swoim zwyczajem przed ogniem, jeść nie chciał, a gdy skończyli, rzekł cicho:

— Nie od siebie przychodzę. Na wsi powiadają, że dziedzic się na Lipce zawziął i ani jednego chłopca nie zawoła do rąbania, przyszedłem się spytać, czy to prawda?

— W imię Ojca i Syna, a skądże mnie to wiedzieć, pierwszy raz słyszę...

— Narada była dzisiaj u młynarza, stamtąd poszła nowina.

— Naradzał się wójt, młynarz i kowal, ale nie ja!

— Jakże, powiadali, że u was był sam dziedzic i żeście z nim poszli.

— Nie nareadzałem się z nimi, chcecie to wierzyć, prawdę wam rzekłem...

Nie przyznał się, jak wielce go bolało to pominięcie i że radzili bez niego!

Rozsrożył się znowu na przypomnienie, ale milczał, przeżuwał ino w sobie tę obrazę kiej pokrzywy, powstrzymywał się, jak mógł, by Rocho nie zmiarkował, co się z nim dzieje!

Jakże, czekał, wypatrywał jak ten głupi a oni bez

niego radzili! Nie daruje im tego, popamiętają. Mają go widać za nic, to im pokaże, co znaczy we wsi. Nie kto drugi jeno młynarz tak zrobił, parob jeden, obieżyświat, krzywdą ludzką się dorobił, a teraz nad wszystkich się wynosi, oszukaniec, zna on o nim takie sprawy, iż z tego może być i kryminał, zna... Abo i ten wójt! bydlę mu pasać nie przewodzić starszym, pijanica; zrobili go wójtem, ale tak samo mogą jutro go zrzucić i wybrać choćby Jambroża, jednaby z nich była pociecha! A kował, zięciaszek zapowietrzony! niech się jeno pojawi w chałupie! Albo i ten dziedzic, to jak wilk, ogania ino koło narodu, a zabiega, a węszy, gdzieby co urwać! Pan, ścierwo, na chłopskich ziemiach siedzi, chłopski las sprzedaje, z chłopskiej łaski żyje, a będzie się tu na naród zmawiał! Ścierwa, nie baczy, że i pańskiej skóry tak samo mają się cepy jak i kuźdego! — Ale nie rzekł ni słowa z tych deliberacyj, jakże, nie baba, przecie, by się przed drugimi użalał i przyjacielstwa szukał! Gryzło go to srodze, bolało nawet wielce, ale zasie komu do tego! Zmiarkował się rychło, że to nieobyczajnie przy obcym tak siedzieć z zawartą gembą, to podniósł się z ławy i rzekł:

— Nowiny powiadacie, ale jak się dziedzic uweźmie i nie zawoła, nikt go nie zmusi.

— Prawda, ale żeby mu kto godny przelożył, ile narodu przez to bieduje, to możeby ustąpił.

— Prosił go nie będę — zawołał ostro.

— A ze dwudziestu komorników we wsi siedzi i roboty kiej zmiłowania wygląda! Wiecie sami które, a zima ciężka, śniegi, mrozy, niejednemu już ziemniaki przemarzły, a zarobku niema żadnego. Nim wiosna przyj-

dzie, to zrobi się taki przednowek, że strach pomyśleć! A i teraz już bieda taka, że niejedyn raz na dzień gorącą warzę pojada i z głodnym brzuchem spać chodzi! Rachowali wszystkie, że skoro dziedzic zacznie ciąć przy Wilczych dołach, to się robota la wszystkich otworzy! A tu pono się zaprzysiągł, że ani jednego Lipczaka do roboty nie weźmie! Rozgniewał się o to, że podobno skargę na niego pisali do komisarza.

— Samem ja podpisywał i twardo będę przy tem stojał, że ni jednej chojki nie zetnie, póki się z nami nie ugodzi i nie odda co nasze.

— Kiedy tak, to lasu może ciąć nie będą.

— Naszego nie będą.

— A cóż poradzą te biedaki, co? — jęknął.

— Nic im nie poradzę, a la tego, by miały robotę, swojego przecie nie dam. Bronił będę drugich, upominał się za kogo, a jak się mnie krzywda stanie, to chyba ten pies mi pomoże...

— Z tego widzę, że z dworem nie trzymacie.

— Trzymam ze sobą i ze sprawiedliwością, miarkujcie ino. Mam co innego na głowie. To i płakał nie będę, że tam który Wojtek abo Bartek niema co do gemby włożyć, księdzowa to sprawa, nie moja! Jeden żeby i chciał, nie uradzi wszystkiemu.

— Ale wiele pomóc może, wiele — rzucił smutnie Rocho.

— Popróbójcie wodę nosić przetakiem, a obaczycie, co nanosicie, tak jest i z biedą; już takie urządzenie boskie jest, to widzi mi się i ostatnie, że jeden ma, a drugi wiater po polu łapie.

Rocho ino pokiwał głową i wyszedł zgryziony, bo nie spodziewał się takiej twardości na biedę ludzką w Borynie, stary go wyprowadził w opłotki i, jak zwyczajnie to robił co dnia, poszedł w obejście zajrzeć do krów i do koni, bo późno już było.

Jagna słała łóżka i właśnie pierzynę roztrzepywała, pacierz mówiąc półgłosem, gdy Maciej wszedł i jakąś ośnieżoną szmatę rzucił jej pod nogi.

— Zapaski gubisz, znalazłem ją przy przelazie! — powiedział cicho, ale tak twardo i tak spojrzal na nią przenikliwie, że zmartwiała z przerażenia i dopiero po chwili zaczęła się jękliwie tłumaczyć:

— To... ten Łapa... co ino może... wywłóczy z chałupy... wczoraj to mi trepy zaniósł do budy! ścierwa nie pies, taki szkodny...

— Łapa?... cie... no, no... — szeptał urągliwie, bo nic a nic nie uwierzył.

VII.

We Trzy Króle, które jakoś tego roku wypadaly w poniedziałek, jeszcze przed skończeniem niesporów, bo słycać było grania i przyśpiewy w kościele, a już naród zwolna ciągnął do karczmy, że to pierwszy raz po adwencie i Godach miała być muzyka, a i szykowały się zmówiny Małgoški Kłębianki z Wickiem Sochą, któren chocia tak samo się pisał jak nieboszczyk Kuba, ale krewniactwa się z nim wypierał, jako że parob był niepoczciwy i sielnie dufający w swoje morgi.

Powiadali też, jako i Stacho Płoszka, mający się już od kopania ku Ulisi Sołtysównie, pewnikiem dzisiaj zapije sprawę i wszystko ze starym uładzi, bo krzyw mu był i córki odmawiał, że Stacho był sielny zabijaka, wicher nieposkromiony i z rodzicielami ciągiem się wadził, a za Ulisią chciał całe cztery morgi, albo dwa tysiące splety na rękę i dwa krowie ogony w dodatku.

Wójt też dzisiaj wyprawiał chrzciny, jeno że w chałupie, ale różni znajomkowie tak se rachowali, że jak się rozochoci, to w domu nie wytrzyma i z całą kompanją do karczmy zwali i fundował będzie.

Zaś prócz tych przynęt były jeszcze większe, ważniejsze sprawy, zarówno obchodzące wszystkich.

Bo tak się ano stało, że na sumie, od ludzi z drugich wsi dowiedzieli się, że dziedzic, co ino mu było potrza ludzi do poręby, to już zgodził i zadatki podawał: miało iść z Rudki dziesięciu, z Modlicy piętnastu, z Dębicy cosik ośmiu, a samej Rzepeckiej szlachty bez mała dwudziestu — a z Lipiec ani jeden. Prawda to już była jasna i pewna, bo i sam borowy, któren był na sumie, przytwierdził.

Niemiała z tego turbacja padła na biedotę, nie letka.

Juści, że byli w Lipcach bogacze całą gembą, byli i pomniejsi, którzy zarówno o zarobki nie stali, byli takż jensi, u których aż piszczało z biedy, ale się do niej nie przyznawali, by ino przyjacielstwa z bogaczami nie stracić i w jeden rząd zawždy z nimi stawać — ale i komorników, i takich, co ino chałupy mieli, też nie brakowało: którzy wyrabiali u gospodarzy młocką, którzy na

tartaku siekierą, którzy zaś, gdzie się ino zdarzyła robota, a chyla tyła wyskrzybali, iż jakoś się tam z Boską pomocą przeżywali, ale ostawało jeszcze z pięć familij, la których zimową porą całkiem brakowało we wsi roboty, ci to właśnie jako zbawienia czekali na te poręby.

A teraz co począć?

Zima była sroga, mało któren miał jaki taki grosz zapaśny, niejednemu już i ziemniaki się kończyły, bieda była w chałupie a głód już zębce szczyrzył za węglem, do zwiesny daleko a wspomozienia znikąd, to i nie dziwota, że ciężki frasunek padł na dusze. Zbierali się po chałupach, medytowali, aż wkońcu kupą całą poszli do Kłęba, by ich ten powieść do dobrodzieja na poradę, ale Kłąb się wymówił rzekomo zmówinami córki, jensi też podobnie wykręcili się kiej piskorze, bo stali ino o siebie i swoje wyrachowanie mieli. Zezlił się tem srodze Bartek z tartaku, któren choć robotę miał, zawżdy z biednym narodem trzymał, przybrał do się Filipa z za wody, Stacha Bylicowego zięcia, Bartka Kozła, Walka z krzywą gembą i w pięciu poszli do dobrodzieja prosić, by się wstawił za nimi do dziedzica.

Długo nie było ich widać, dopiero po nieszporach, przyleciał Jambroży do Kobusów i powiedział, że z księdzem radzą i do karczmy prosto przyjdą.

A tymczasem wieczór się już był uczynił, ostatnie zorze zetliły się do cna, że ino kajś niekaj na zachodzie z tych szarych popiołów żarzyły się kieby głównie dogasające, a świat zwolna otulał się w modrawą a lutą płachtę nocy. Księżyca jeszcze nie było, jeno od suchych, przemarzniętych śniegów biły ostygłe, lodowate brzaski,

w których rzecz każda widniała jakoby w śmiertelne gżło przyodziana i zgoła umarła; gwiazdy też jęły się wysypywać na cienne niebo, a tak rosły i trzęsły się w onych dalekościach, tak się jarzyły bystro, aż po śniegach szły skrzenia. Mróz zaś brał srogi i podnosiła się taka skrzytwa, aż w uszach dzwoniło i żeby najcichszy głos a leciał światem całym.

W chałupach zaś ognie zapalili i śpieszyli z wieczorowymi obrządkami, jeszcze wodę nosili ze stawu, jeszcze czasem skrzypnęły wierzeje albo się jakie bydłatko ozwało, to ktosik podązał śpieszno saniami, a ludzie w dyrdy ganieli po obejściach, bo parzyło w twarze jakby rozpalonem żelazem i dech zapierało, ale już wieś cichła całkiem.

Jeno od karczmy coraz ostrzej rozlegały się muzyckie głosy, bo juści, że prawie z każdej chałupy ktosik się tam przebierał na przewiady, a insze zaś, którym nie było do zmówin, ni do spraw, też ciągnęli, bo im gorzała pachniała. Ze zaś i babom cniło się ostawać samym a dziewczyny aż piszczwały do gżów i na muzykę nogami przebierały, to raz wraz, nim się jeszcze do cna ściemniało, leciały chyłkiem do karczmy, rzekomo, by chłopów nagnać do domów, ale już ostawały. Juści, że za ojcami i dzieci ciągnęły co starsze, zwłaszcza chłopaki, zwolywali się z opłotków gwizdaniem i szli kupą, zalegając karczmove sienie i przyzby, choć mróz prażył żywym ogniem.

A w karczmie kłębiła się już niezgorsza gęstwa.

Tęgi ogień buzował się na kominie, że z pół izby zalewało krwawe światło szczap, których żyd ciągiem

przykładać kazał dziewce, bo kto ino wszedł, otrzepywał buciska o trzon, nagrzewał zgrabiałe ręce i szedł w cizbę odszukać swojaków, że to, mimo ognia i lampy nad szynkwasem, mrok zalegał kąty i trudno było zrazu rozzeznać. W jednym kącie ode drogi, na kłodach od kapusty siedziały muzykanty, pobrzękujący niekiedy, jakby od niechcienia, bo się jeszcze tany nie rozpoczęły na dobre, tyła, co tam jakaś niecierpliwsza para się pokręciła.

Na izbie zaś, pod ścianami, przy stołach kupili się kompanjami ludzie, ale mało kto ściszał kieliszek i przepijał, a jeno rajcowali, rozglądając się wkoło, a bacząc na wchodzących.

Jeno przy szynkwasie był większy rejwach, bo stali tam całą kupą goście Kłębowi i familjanci Sochy, ale też jeszcze zrzadka przepijali do się, a tylko poredzali, świadczyli sobie godności, jak to przystało na zmówinach.

Wszyscy zaś często a nieznacznie naglądali pod okna, gdzie za stołami siedziało kilkunastu Rzepczaków; przyszli jeszcze za dnia i ostali. Nikt im wstrętów nie czynił, ale i nikto się do nich nie kwapił, tyle, co Jambroży zaraz się z nimi pokumał i sielnie gorzałkę ciągnął a ocyganiał, co ino wlazło. A pobok nich stał Bartek z tartaku ze swoimi i w głos opowiadał, co im rzekł dobrodziej, a sielnie pomstował na dziedzica, w czym mu najgłośniej wtórował Wojtek Kobus, chłop suchy, mały a tak zapalczywy, że ciągiem się podrywał, walił pięściami w stół i ciepał się, jako ten ptak, którego przezwisko nosił, z rozmysłem zaś to czynił, bo domyślali się, że Rzepczaki ciągną na jutro do boru, do rąbania, ale żaden z nich

jakby nic nie słyszał, tak siedzieli spokojnie zajęci między sobą.

Nikto też z gospodarzy nie słuchał tych wyzwisk, ni zbytnio do serca nie brał, że dobrodziej nie chciał się wstawiać za nimi do dziedzica, a naprzeciw odwracano się od nich i unikano, czem głośniej krzyczeli, w gąszczu bowiem, jaki rozpierał karcznię, stowarzyszał się każdy do upodoby i kupił gdzie było dogodniej, nie bacząc na sąsiadów — tylko jedna Jagustynka chodziła od kupy do kupy, podjudzała, żarty stroiła, nowiny w uszy ludziom kładła, pilnie jednak bacząc, gdzie już pobrzękują flachy a kieliszek kołem chodzi.

I tak powoli, zwolna, niepostrzeżenie wciągał się naród do zabawy, bo coraz większy gwar napelniał izbę, i coraz częściej podzwaniały kieliszki, i coraz gęściej się robiło, że już drzwi się prawie nie zamykały tak szli, i szli — aż muzykanci, częstowani przez Kłęba, urznęli rześistego mazura i w pierwszą parę puścił się Socha z Małgością, a za nimi zaś kto ino miał ochotę.

Ale niewielu szło w tany, oglądając się na pierwszych lipeckich kawalerów, na Płoszkę Stacha, Wachnika, wójtowego brata i drugich, którzy zmawiali się po kątach z dzieuchami, wesołe rozmowy wiedli, a podkpiwali półgłosem z Rzepeckiej szlachty, którym wciąż basował Jambroży.

Na to właśnie pokazał się Mateusz, o kiju jeszcze szedł, bo ledwie się był z łóżka zwłókl, że mu się to cniło za ludźmi, kazał se wnet narządzić gorzałki przegotowanej z miodem, usiadł z boku komina, popijał i rzucał tem słowem wesołem do znajomków, ale z nagłą ucichł,

bo Antek stanął we drzwiach, spostrzegł go, podniósł hardo głowę, łypnął ślepiami i przechodził wpodłe, jakby niepostrzegając.

Mateusz się uniósł i zawołał:

— Boryna! a chodźcie-no do mnie.

— Masz sprawę, to pierwszy przystąp — powiedział ostro, myśląc, że Mateusz zaczepia.

— Przyszędłbym, jeno się jeszcze ruchać bez kijasza nie mogę — odparł miętko.

Antek nie dowierzał, zmarszczył groźnie brwi i podszedł, ale na to Mateusz chycił go za rękę i zniewolił, by przysiadł na ławie.

— Siadaj przy mnie. Owstydziłeś mnie przed całym światem, pobiłeś tak, jucho, że już mi księdza wolałi, ale gniewu do ciebie nie mam nijakiego i pierwszy z tem słowem zgody przychodzę. Napij się ze mną. Nikt mnie jeszcze nie pobił i myślałem, że takiego na świecie niema. Mocarz z ciebie prawdziwy, żeby takim chłopem jak ja rzucić kiej snopem, no, no...

— Boś mi na robocie przypiekał ciągiem, a potem i czekał paskudnie, to mię rozebrało, żem już i nie bażył, co robię.

— Twoja prawda, twoja, sam to przytwierdzam i nie ze strachu a po dobrości... Aleś mnie przyrychtował, no, żywą krew oddawałem, ziobra mi popekały, do ciebie piję, Antek, co tam, poniechaj złości, ja ci już nie pamiętam, choć mnie jeszcze plecy bolą... aleś ty chyba krzeczniejszy, niżli Wawrzek z Woli?..

— Nie zbiłem go to na odpusćie we żniwa, jeszcze się pono lekuje...

— Wawrzona! Powiadali o tem, alem wierzyć nie wierzył. Żydzie, haraku z esencją a w ten mig, bo prze-trączę! — krzyknął.

— Ale coś pyskował przed chłopami, to niepra-wda! — pytał cicho Antek.

— Nieprawda, przez złość ino gadałem, tak so-bie... nie, gdzieby tam zaś... — wypierał się, przegląda-jąc pod światło flaszkę, by mu prawdy z oczów nie wy-czytał.

Przepili raz i drugi, potem Antek postawił kolejkę i znowu przepili, i już tak siedzieli wpodłe siebie, pobra-tani zgoła i w takim przyjacielstwie, aż się na karczmie dziwowano temu. Mateusz zaś, że sobie był podpił nie-zgorzej, pokrzykiwał na muzykę, by raźniej grała, przy-tupywał, śmiał się w głos do chłopaków, aż przycichnął i jął Antkowi do ucha powiadać.

— Juści i to prawda, że brać ją chciałem przez moc, ale mnie tak pazurami pobronowała, jakby mnie kto pyskiem po cierniach przewłókł. Tyś jej był miłszy, wiem o tem dobrze, nie wypieraj się, ty, i bez to na mnie nie chciała patrzeć!... Trudno wołu wodzić, kiej nie chce sam chodzić; zazdrość mnie kąsała, że i niewypowiedzieć, hej! Dziewka równa cudu, że i nienależć śliczniejszej, a poszła za starego na twoją krzywdę, tego to już wy-rozumieć nie mogę...

— Na moją krzywdę i na moje zatracenie! — jęknął cicho i aż się zerwał, tak ognie w nim zagrały na wspomnienie, że ino zaklął i cosik mruczał do siebie.

— Cichoj, ludzie ano posłyszają i roznieść gotowi.

— Bom to co rzekł?

— Juści, inom ja niedosłyszał, ale mogli drudzy.

— Bo już mi ścierpieć trudno, tak mię tu w pier-
siach rozpiera, że samo się rwie ze mnie... samo...

— Mówię ci, nie daj się póki czas — radził chytrze,
pociągając go zwolna za język.

— Mogę to, kiej kochanie gorsze choroby, ogniem
po kościach chodzi, wrzątkiem w sercu belkocze a taką
tęsknością duszę przejmuje, że ni jeść, ni spać, ni robić
nic, jenoby człowiek łbem tłukł o ścianę, albo i zgoła
życia się pozbawił!

— Abo to nie wiem! Mój Jezus, abom to sam za
Jagną nie latał! Ale jest tylko jedna rada na kochanie:
ożenić się, a jakby ręką odjął. Znalazłaby się i druga;
kiej ożenkiem nie można, dostać kobietę a wnet smak
do niej przejdzie i kochanie się skończy! Prawdę ci mó-
wię, przeciehem niezgorszy praktyk! — dowodził chę-
pliwie.

— A jak i potem nie przejdzie? — rzekł smutnie.

— Juści, któren z za płota postępuje, za węglami
się czai a kiej kiecka zachręści, drygają mu kulasy —
takiemu rychło się nie przemieni, ale to ciolak nie chłop,
za takiego nie dałbym i tego grosza — rzucił pogar-
dliwie.

— Czystą prawdę rzekłeś, ale widzi mi się, że są
i takie chłopcy, są... — zamedytował się.

— Przepij-no do mnie, do cna mi zaschło w gar-
dzieli! Psiachmać sobacza z babami, niektóra chuchro
takie, co kieby dmuchnął, nakryłaby się nogami, a często
i największego mocarza wodzi kieby to ciele na postro-
neczku, mocy pozbawi, rozumu pozbawi i jeszcze na

pośmiewisko świata poda! Djable nasienie ścierwo, mówię ci, pij do mnie!...

— W twoje ręce, bracie, w twoje!

— Bóg zapłać, mówię ci, pluń na to djable nasienie, przecież rozum swój masz...

Przepili raz i drugi a pogadywali, Antek już był ździebko napity, a że nigdy nie miał przed kim się wyzalić, to teraz brała go szalona chęć do wywnętrzenia, że ledwie się powstrzymał, tyła co tam rzucił czasami jakie ważne słowo, z którego Mateusz i tak wszystko miarkował, jeno nie dawał tego poznać po sobie.

W karczmie zaś zabawa już szła rzetelna, muzyka rznąła co sił i tany szły za tanami, pito już we wszystkich kątach, gdzie niegdzie już przychodziło do sporów, a wszędy gadano tak głośno, że wrzawa przepelniała izbę, a tupoty taneczników rozlegały się kieby bicie cepów. Kłębowa kompanja przetoczyła się do alkierza, skąd też niezgorszy wrzask dochodził, jeno Socha i Małgośka tańcowali zapamiętale, abo ujawszy się w pół na mróz biegli, na powietrze — Bartek z tartaku ze swoimi wciąż stali na jednym miejscu, pili już z drugiej flachy, a Wojtek Kobus już wprost wykrzykiwał ku Rzepeckim ludziom:

— Ślachta, ścierwy, worek i płachta! — że to za szlachtę się uważali.

— Dziedzice, pół wsi jedną krowę doi! — dorzucił zjadliwie drugi.

— Kołtuniarze, przez koni się obywają, bo ich same wszy noszą.

— Żydoskie paroby!

— Dworskie pomietła, do psów się im godzić, kiej taki dobry wiatr czują!

— Poczuly też we dworze swoje i ciągną.

— Będą tu ludziom odbierać robotę.

— Wyczeszemy wam kołtuny, że bez łbów po-
uciekacie!

— Wycieruchy, obieżyświaty, brakło u żydów pa-
lenia w piecach, to przyleciały! — dogadywali mocno,
a jaki taki pięścią wygrażał i darł się do nich, a coraz
więcej ludzi wrzało przeciwko, coraz zapalczywsze koło
ich otaczało, że to już gorzałka ponosiła — ale oni się
nie odzywali, siedzieli przy sobie kupą całą, kije ino ści-
skali między kolanami, popijali piwo, przygryzali kiel-
basę, jaką mieli ze sobą, a hardo, nieustraszliwe poglą-
dali na chłopów.

Byłoby może i przyszło z miejsca do bitki, ale Kłęb
przyleciał, jął uspokajać, przekładać, a prosić, a za nim
starsi i Jambroży, że Kobus zaprzestał pyskować, dru-
gich też odciągnęli na poczęstunek do szynkwasu, potem
muzyka sielnie zagrała, a Jambroż jął znowu cyganić
niestworzone historje o wojnach, Napoleonie, Naczelniku,
a później i insze ucieszne rzeczy, aż się niejedni pokła-
dali ze śmiechu; a on rad wielce, podpity niezgorzej,
rozparł się przy stole i prawił:

»Na ostatek opowiem jeszcze jedną historję, krótką,
bo mi pilno tańcować a i dzieuchy krzywe, że do nich
nie przychodzę! Wiecie, zmówiny dzisiaj Kłębianki ze
Sochą Wickiem. Gdybym chciał, mojeby były z Małgością,
moje! Bo ano było tak, we czwartek zwalili się do sta-
rego Kłęba z wódką! Przyszli w jeden czas od Sochy

i przyszli od Pryczka; jedni przepijają harakiem, a drudzy zaś słodką, do jednych Kłęb pije i od drugich nie wylewa. Jeden jest dobry a i drugi nie gorszy!

Swaty aż się pocą, tak prawią i zalecają swoich kawalerów:

Ten ma morgi galante przez skowronków nawożone, a drugi też takie, na których ino pieskowie wesela swoje odprawują.

Jeden ma chałupę, do której świnie pod przyciesiami włożą a i drugi nie gorszą.

Obaj sielne bogacze, że szukać daleko!

Socha ma cały kołnierz od kozucha, bo resztę pieski roznieśli. Pryczek zaś ma obertelek od świątecznych portek i guzik świecący kiej ze złota!

Jeden chłopak śmigły, kiej ta kopica a i drugiemu brzucho wzdeno od ziemniaków!

Galante parobki!

Sosze ślina z gemby cieknie, a Pryczek ma ślepie kaprawe!

Równe we wszystkim a takie robotne i zapamiętałe, że choćby pół ćwiartki ziemniaków, naraz zjedzą i za drugą patrzą! Oba dobre na zięciów, oba krowy mogą popaść, izbę przymieść, gnoju urzucić; oba krzywdy dziewczce nie zrobią nijakiej, bo z boćkami kompanji nie trzymają.

Sielne parobki, rozmowne, mądrale, przemyślne, z jadem zawsze do gemby trafiają a nie gdzie indziej.

Co tu począć, kiej oba się zarówno widzą staremu, to się kręci, w nosie dłubie, a Małgoški pyta; którego chcesz?..

— Oba pokraki tatulu, pozwólcie, to już se Jambroża wybierę!

Stary głową kręcił, deliberował długo, wiadomo, że mądrala na całą chalupę, a tu chłopaki przynaglają, swaty swoje wciąż prawią, to się napił od jednych haraku, napił się od drugich słodkiej, i powiada: wagę przynieśta!

Przynieśli oną wagę, ustawili, a on prawi.

— Zważta się chłopaki, kóten będzie cięższy, tego na zięcia wybierę.

Zafrasowały się swaty, posłali po gorzałkę i medytują: kóten? bo obaj byli, kieby te płuskwy zeschnięte!

Skoczyły po rozum do głowy Pryczkowe swaty, nasyły mu za pazuchę kamieni, to w kieszenie napchały. Ale i Sochowe też nie były głupie, nie było co, to gęsiora wsadzili mu pod kapotę — i na wagę go stawia... liczą, aż tu cosik powiada S... s... s... Socha niby, i gęsior bęc na ziemię! Roześmiali się wszyscy a Kłęb powiada: zmyślna jucha jest, choć wagi nie trzyma, ty będziesz moim zięciem!«

Juści, że w tem prócz tego ważenia, innej prawdy nie było, jeno, że opowiadał tak śmiesznie, aż się popłakiwali z uciechy i takim śmiechem buchali, że na całą karczmę szło.

Ze wnet Kłębowi goście wywalili się z alkierza i całą hurmą szli w taniec, to wrzask się podniósł, tupot, krzyki, że już żadnego głosu zosobna nie rozeznał.

Ze łbów poczynało kurzyć, gorącość rozbierała, uciecha rosła, to i młodzi hulali z całej mocy a starsi zaś się zalegali stoły, stowarzyszali się, gdzie ino mogli

i gdzie kto ustojał, bo tanecznicy rozbijali i coraz większem kołem zataczali, a kaźden w głos gadał, przepijał, z drugimi się cieszył, swojego dowodził, święta używał.

Muzyka zaś rznąła siarczyście i tany szły zapamiętałe, choć był taki gąszcz, że głowa przy głowie, plecy przy plecach, to i tak się trząchali, po izbie nosili, pokrzykiwali wesoło a obcasami bili, że ino dyle skowyczały i szynkwas podrygiwał!

Zabawa była sielna, boć wszyscy się dokładali z całej mocy, duszą całą.

Zima toć szła, naród oderwał ręce spracowane od matki ziemi, to i podnosił przygięte karki, podnosił zafrasowane dusze, prostował się, rozrastał i równał jeden z drugim w wolności, w odpoczywaniu, i w tej myśli swobodnej, że kaźden człowiek widniał zosobna i wyraźnie — jako ten bór, z którego nie wydzielisz drzewin latem, bo w jednakim, równo zielonym gąszczu stoi przywarty do rodnej ziemi, a niech jeno śnieg spadnie, ziemia się przesłoni, a wnet kaźde drzewo dojrzyz zosobna i w ten mig rozeznasz: dąbek li to, grabek li to, osiczyna li to!

Takuteńko było i z narodem.

Jeno Antek z Mateuszem nie ruchali się ze swoich miejsc, siedzieli przy się po przyjacielsku i zcicha ugwarzali o różnościach, ile, że ciągiem ktoś do nich przystawał i swoje dokładał; przyszedł Stacho Płoszka, przyszedł Balcerek, przyszedł wójtów brat i drugie, te wszystkie najpierwsze we wsi kawalery, którzy družbowali na weselu Jagusi. Zrazu nieśmiało przystawali, że to nie-

wiada było, czy Antek jakim ostrem słowem nie ciepnie, ale nie, podawał każdemu rękę a z dobrością patrzył, to i wnet otoczyli go zwartem kołem, pilnie słuchali, przyjacielstwo świadczyli i tak mu się umilali a zdawali we wszystkim, jak przódzi, kiedy to im przewodził jeszcze, uśmiechał się ino gorzko jakoś, bo mu się wspomniało, jak to jeszcze wczoraj a ci sami omijali go zdala na drodze.

— Ani cię nikaj nie ujrzyć, do karczmy nie zachodzisz! — powiedział Płoszka.

— Od rana do nocy robię, to kiej to mam czas na karczmę.

— Prawda, prawda! — przytwierdzili półgłosem, a potem, zwolna przeszli na różne sprawy wsiowe, na ojców, to o dzieuchach mówili, to o zimie, to rozmowa jakoś się nie wiedła, Antek mało mówił, a ciągiem spoglądał na drzwi, spodziewał się, że Jagna przyjdzie. Dopiero, gdy Balcerek jął opowiadać o naradzie, jaka się odbyła we święta u Kłębów, względem lasu, słuchał uważnie.

— Cóż uredzili? — zapytał.

— A cóż, skamlali, narzekali, żalili się, a rady nijakiej nie powzięli, prócz tej, że nie trza pozwolić na wyręb.

— A bo to co mądrego uradzą te słomiane wiechcie! — wykrzyknął Płoszka. — Zbierają się, gorzały się napiją, wysapiają, nawyrzekają i tyła z tych narad jest, co z łońskiego śniegu, a dziedzic może sobie spokojnie ciąć choćby i wszystek las.

— Nie trza pozwolić — rzucił krótko Mateusz.

— Któż to go powstrzyma, któż zabroni! — zaczęli wykrzykiwać.

— Któż jak nie wy?

— A juści, pozwolą to na co, ozwałem się kiedyś, to ociec mię skrzyczał, żebym nosa pilnował, że to nie moja sprawa, a ich, gospodarzy! Juści mają prawo do tego, bo wszystko w garści dzierżą i choćby na tę minutę a nie popuszczą, a my cóż znaczymy, tyle co te parobki! — unosił się Płoszka.

— Złe jest, całkiem złe.

— A nie tak powinno być!

— Juści, że młodych powinni przypuścić do gruntów i do rządów.

— A samym na wycugi iść!

— Ja wojsko odslużyłem, lata mi idą, a tego co moje dać nie chcą — krzyczał Płoszka.

— Każdemu czas na swoje.

— A wszyscyśmy tutaj pokrzywdzeni.

— A najbardziej Antek.

— Trzebaby we wsi zrobić porządki! — szepnął twardo Szymek, Jagusin brat, który niedawno przyszedł i stał poza drugimi cicho; spojrzeli na niego zdumieni, a on wysunął się na czoło i jał gorąco prawić o swoich krzywdach a w oczy wszystkim patrzył i czerwienił się, że to nieprzywykły był przed drugimi mówić i bojał się jeszcze nieco matki.

— Nastka go tak nauczyła rozumu! — szepnął któryś, roześmieli się wszyscy, aż Szymek zmiłknął i cofnął się w cień, wtedy wójtów brat, Grzela Rakoski, choć nie był rozmowny i nieco się zająkiwał, zaczął prawić.

— Że starzy trzymają grunta i dzieciom nie puszczają, źle juści jest bo krzywda — ale to jest najgorsze, że się głupio rządzą. Przecie z tym lasem dawno byłby koniec, żeby się byli zgodzili z dziedzicem.

— Jakże, dawał po dwie morgi, kiedy się nam należy po cztery na półwłóczek.

— Należy, albo i nienależy, to jeszcze niewiadomo, to już urzędniki rozsądzą.

— Kiedy oni z dziedzicami trzymają!

— Hale, trzymają tam, przecież sam komisarz powiedział, by się nie godzić na dwie morgi, to dziedzic musi dać więcej! — tłumaczył Balcerek.

— Cichocie-no, bo kowal ano ze starszym idzie! — szepnął Mateusz.

Obejrzeni się na drzwi; jakoż prawdziwie, kowal wiódł się pod pachy ze starszym, obaj już byli napici niezgorzej, to się mocno przepychali przez gęstwę i rznęli prosto do szynkwasu, ale nie postali tam długo, żyd ich powiódł do alkierza.

— Na chrzcinach u wójta się uraczyli.

— Wyprawia to dzisiaj? — zapytał Antek.

— Adyc ojcowie nasi tam siedzą. Sołtys poszedł w kumy z Balcerkową, bo pono stary Boryna się pogniewał i nie chciał — tłumaczył Płoszka.

— A to co za jeden? — wykrzyknął Balcerek.

— To pan Jacek, dziedzicowy brat z Woli! — objaśniał Grzela, aż powstali, by się przyjrzeć, bo pan Jacek przeciskał się zwolna a oczami kogoś szukał, aż i natknął się na Bartka z tartaku i z nim poszedł pod ścianę, do Rzepeckich.

— Czego on może chcieć?

— Czego, a niczego, tak se chodzi ino po wsiach, z chłopami gada, niejednemu pomoże, na skrzypkach przygrywa, dzieuchy piesneczek uczy, głupawy jest pono.

— Kończno Grzela, coś zaczął! kończ!

— O lesie zaczęłam mówić; moja rada jest taka, aby tej sprawy samym starym nie ostawiać, bo zepsują.

— Cóż, na to jest tylko jedna rada, zaczną łąs ciąć, całą wsią iść, rozegnać, niepozwoić dopóty, aż się dziedzic ze wsią nie ugodzi! — rzekł mocno Antek.

— To samo uradzali u Kłęba.

— Uradzali, ale nie zrobią, bo kto pójdzie za nimi.

— Gospodarze pójdą.

— Nie wszystkie.

— Jak Boryna poprowadzi, to i wszyscy pójdą.

— Jeno niewiada, czy Maciej zechce.

— To Antek poprowadzi — wykrzyknął zapalczywie Balcerk.

Przytwardzili mu gorąco wszyscy, jeden tylko Grzela się sprzeciwiał, a że bywał we świetle i gazetę »Zorzę« czytywał, to jał naucznie i kiej z książki prawić, że gwałtu nie można czynić, bo wda się w to sąd i prócz kozy, nikt więcej nie wskóra, że trzeba, aby wieś sprowadziła z miasta adwokata, a tenby wszystko po sprawiedliwości wyrzchtował.

Nie chcieli go słuchać długo i jaki taki przekpiwał. Ozeźlił się też snodze i powiedział:

— Na ojców wyrzekacie, że głupie, a sami ani za

grosz pomyslenia nie macie a jeno jak te dzieci co jeszcze bałykują, cudze powtarzacie!

— Boryna z Jagusią i dzieuchami! — zauważył któryś.

Antek, któren chciał coś opowiedzieć Grzeli, zmilknął i poleciał oczami za Jagną.

Późno przyszli, już po kolacji, bo stary długo się opierał skamleniom Józki i namowom Nastki, czekał aż Jagusia poprosi, ale ona zaraz po obiedzie zapowiedziała ostro, że pójdzie na muzykę, odparł jej ostro, iż się nogą z chałupy nie ruszy, nie poszedł do wójta, to nigdzie nie pójdzie.

Nie prosiła go już więcej, zawzięła się tak, że ani tem słowem więcej się nie odezwała, popłakiwała jeno po kątach, drzwiami trzaskała, wystawała przed domem, na mrozie i ciskała się po chałupie jak ten zły wiatr, aże mroziło od niej złością, a gdy do kolacji siadali, nie poszła jeść, jeno zaczęła welniaki ze skrzyni dobywać, przymerzać a przystrajać się.

To i cóż miał stary począć, klął, przygadywał, zapowiadał, że nie pójdzie, wkońcu jeszcze ją sielnie musiał przeproszać i rad nierad powiódł do karczmy.

Hardo ano wchodził, wyniośle i mało z kim się witał, bo i równych było nie wiele, jako że co najpierwsi u wójta byli na chrzcinach, syna zaś nie spostrzegł, chociaż się pilnie rozglądał w tłoku.

Antek zaś już nie spuszczał oczów z Jagusi. Stała właśnie przy szynkwasio, chłopaki się do niej sypnęli zapraszać do tańca, odmawiała, pogadując wesoło a ukradkiem przebierając oczami wskrós ludzi — taka

urodna widziała się dzisiaj, że choć naród już był napity a spoglądali na nią z podziwem. Ponad wszystkie piękniejsza. A przecież była tam i Nastka ano do malwy z czerwieni szmat i wyrostu podobna, była i Weronka Płoszkówna, kiej georginja rumiana i w sobie wielce podufała, była Sochówna, skrzat ledwie dorosły, gibki i z gembusią, kiej ten cukier słodką, były i drugie urodne, wyrosłe, ciągnące oczy parobków, a jak Balcerkówna Marysia, na podziw wyrosła, biała, rzepiasta dziewczka i pierwsza we wsi tanecznicą — ale żadna ani się równała z Jagną, żadna.

Przenosiła wszystkie urodą, strojem, postawą i temi modremi, jarzącemi ślepiami, jako róża przenosi one nasturcje, a malwy, a georginje, a maki, że zgoła podlejsze się przy niej widzą, tak ci ona przenosiła wszystkie i nad wszystkie panowała. Przystroiła się też dzisiaj kiej na jakie wesele; wełniak wdziała gorąco-żółty w zielone a białe pasy, stanik zaś z modrego aksamitu dziergany złotą nitką i głęboko, do pól piersi wycięty, a na koszuli cieniutkiej, która bieluchną fryzką burzyła się suto koło szyi i przy dłoniach, zawiesiła rzędy koralu, bursztynów i onych pereł, na włosach miała chusteczkę jedwabną, modrawą w różowy rzucik farbowaną, a końce od niej puściła na plecy.

Brały ją za to przystrojenie kobiety na ozory i przemawiały złośliwie, nie dbała ta o to wcale; dojrzała wnet Antka i pokraśniewszy z radości, jako ta woda pod zachód, odwróciła się od starego, któremu żyd cosik gadał i zaraz poprowadził do alkierza, gdzie i pozostał.

Juści, że Antek ino tego czekał, bo wnet bokiem

karczmy się precyzyjnie i spokojnie witał się z nimi, choć Józka umyślnie się odwróciła.

— Przyszliście na muzykę, czy na zmówiny Malgośki!

— Na muzykę... — odparła cicho, bo głos jej całym odjęło wzruszenie.

Stali przy sobie czas jakiś bez słowa, jeno dychali prędeż, a ukradkiem zaglądali sobie w oczy, tanecznicy zepchnęli ich pod ścianę, Nastkę pojął do tańca Szymek, Józka też się gdzieś zapodziała, że sami zostali.

— Co dnia wyczekuję, co dnia... — szepnął cicho.

— A mogę to wyjść... pilnują mnie... — odparła ze drzeniem, ręce się ich spotkały same jakoś, cisnęli się biodrami, pobledli oboje, tchu im brakowało, w oczach skry się jarzyły, a w sercach była taka muzyka, że i niewypowiedzieć.

— Odstąp ździebko, puść!... — prosiła cichutko, boć pełno było ludzi dookoła.

Nie odrzekł na to, jeno ujął ją mocno w pól, gęstwę roztrącił, wywiódł wkoło i krzyknął do muzykantów:

— Obertasa chłopacy, a ostro!

Juści, że trzasnęli z całej mocy, aż basica jęknęła, znali go przecież, że jak się rozochoci, to gotów całej karczmie fundować!

A za nim puścili się w tan i jego kamraty: tańczył Płoszka, tańczył Balcerek, tańczył Grzela, tańczywały i drugie, a Mateusz, że mu to żebra jeszcze nie popuszczwały, to ino przytupywał a krzykał la zachęty!

Antek zaś hulał zapamiętale, wywiódł się naprzód, przegonił wszystkich i wiał w pierwszą parę tak siar-

czyście, że już nic nie pamiętał i na nic nie zważał, bo Jaguś cisnęła się do niego słodko, a raz wraz, ledwie dech łapiąc, prosiła:

— Jeszcze Jantoś, jeszcze żdziebko!

Długo tańcowali, odpoczęli tyła, by złapać niecoś tchu i napić się piwa, i znowu poszli w tan, nie bacząc, że ludzie zwracają na nich uwagę, coś szepczą, a krzywią się i w głos dogadują.

Ale Antkowi już było wszystko jedno dzisiaj, skoro jeno poczuł ją przy sobie, skoro przycisnął do się, że aż się prężyła i przywierała te lube modre oczy, to się już całkiem zapamiętał! Radość w nim grała i takie wesele, jak kieby się ten zwiesnowy dzień w nim zrobił. Zapomniał o ludziach i świecie całym, krew w nim zawrzała i moc wstała taka harda, nieustępliwa, aż mu pierśi rozpierało! A Jaguś też była całkiem jakby utopiona w lubości i w zapamiętaniu! Unosił ją jak ten smok, nie opierała się temu, bo jakże, mogłaby to, kiej kręcił nią, ponosił, przyciskał, że chwilami mrocząło w niej i traciła z pamięci świat wszystek, a grało w niej takim weselem, młodością, uciechą, że już nic nie widziała, ino te jego brwie czarne, te oczy przepaściste, a te wargi czerwone, ciągnące.

A skrzypice wycinały siarczyście, zawodzący i nieśly się piesneczką, jako ten żniwny wichur palącą, od której krew się w ogień przemieniała i serce grało weselem a mocą; basy zaś pobekeywały drygliwie do taktu, że same nogi niosły i trzaskały hołubce; flet zaś przegwizdywał i wabił kiej ten kos na zwiesnę, a taką lubością przeje-mował, tak serce otwierał, aż ciarki przechodziły, w gło-

wie się mąciło, tchu brakowało, a zarazem chciało się płakać i śmiać, i krzykać, i tulić, i całować i lecieć gdzieś, we świat wszystek, w zapamiętanie — to i tańcowali tak ogniście, aż się karczma trzęsła i dygotały beczki z muzykantami.

Z pięćdziesiąt par mieniło się w tem kole wielgachnem, taczającym się od ściany do ściany, rozśpiewaniem, pijanem uciechą i taką mocą, że flachy się przewracały, lampy gasły, noc ich obejmowała i rozdrżany mrok, bo ino te głównie w kominie, rozżarzane wichurą pędu, sypały iskrami i buchały krwawym płomieniem, w którym ledwie majaczył zbity kłęb ludzki, wijący się dookoła taką gęstwą, że ani okiem uchwycił, ni rozpoznał, gdzie chłop, gdzie kobieta! Kapoty wiewały górą kiej te skrzydła białe, wełniaki, wstążki, zapaski, rozpalone twarze, jarzące oczy, tupoty zapamiętałe, śpiewki, pokrzyki, wszystko się wraz mieszało, kręciło w kółko kieby jedno wrzeczono, od którego bił ogromny wrzask i leciał przez wywarte do sieni drzwi, w ośnieżoną, mroźną, zimową noc.

Antek zaś hulał wciąż na przedzie, bił obcasami najgłośniej, zawijał kiej wichura, przypadał do ziemi, że myśleli: upadnie! Gdzie zaś, on już stał, już znowu ponosił, już krzykał, czasem jaką piesneczkę muzykantom rzucał i nosił się wskrós ciżby, rozbijał, tratował, jak burza szedł, aż strach brał niejednych, a mało kto za nim nadążył.

Z dobrą godzinę tak wywijał, bo chociaż inni przedstawiali zmęczeni, a nawet i muzyce mdlały ręce, pienią-

dze im rzucał, przynaglał grać i tańczył, że wkońcu prawie ino we dwoje pozostali w kole.

Juści, że przez to baby już głośno wydziwiałały z takiej hulanki, kiwały głowami, melody ozorami i litowały się nad Boryną, aż Józka, zła na Antka, a barzej jeszcze na macochę, poleciała do starego.

— Ociec, a to Antek tańczy z macochą aż ludzie wydziwiają! — szepnęła.

— Niech tańczą, od tego karczma — odparł i wziął się znowu trącać ze starszym kowalem, a prawić cosik.

Wróciła z niczem, ale jęła naglądać za nimi pilnie, bo po tańcu stali przy szynkwasio z całą gromadą dziewczyn i chłopaków. Wesolo im było, Jambroży bowiem, pijany już całkiem, prawił im takie przypowiaszki, aż się dziewczyny przysłaniały zapaskami, a parobcy w głos się śmieli, a jeszcze swoje dokładali. Antek fundował wszystkim piwo, pierwszy przepijał, niewolił, w ramiona brał parobków, ściszał, a dzieuchom całemi garściami pchał za pazuchę karmelki, by móc przytem i Jagusi nakłaść, a mimo zmęczenia śmiał się najgłośniej, i rad się rozgadywał.

Na karczmie też się zabawiano niezgorzej, naród się już całkiem rozochocił i rozgrzał, to ciągiem jakies pary tańczyły, że drudzy gęstwili się gdzie się ino dało i radzili, przepijali, kumali się jedni z drugimi i wesolości całem sercem zażywali. Rzepecka szlachta ruszyła z za swojego stołu, bo się już byli pokumali przy gorzałce z Lipczakami, a niektórzy i do tańca się brali, dzieuchy się niewymawiałały, że to obejście mieli delikatniejsze i grzecznie prosili.

Antkowa zaś gromada zabawiała się zosobna, że to młódź sama była i co najpierwsza we wsi, a on, mimo że ze wszystkimi pogadywał, prawie o bożym świecie nie wiedział i prosto jakby się dzisiaj zapamiętał, na nic już nie patrzył, z niczem się nie krył, bo i nieporadził nawet — to i nie baczył, że ludzie dookoła spozierają uważnie i pilnie nasłuchują. — Hale, dbam tam o to — wciąż jej prawił do ucha, przypierał do ściany, obejmował, za ręce brał, ale ledwie się już wstrzymywał od całowania! Oczy mu ino latały nieprzytomnie i w piersiach wzbierała taka burza, że gotów się był ważyć na wszystko, byle zaraz, przed nią, bo widział w jej modrych, rozplamionych oczach — podziw i kochanie! To i rósł coraz bardziej, puszył się i hukał kiej ten wichur, nim uderzy! Pił przytem tego i Jagusię niewolił, aż się jej w głowie mąciło, że ani wiedziała, co się z nią dzieje, jeno chwilami, gdy muzyka milkła i karczma nieco przycichła, przytomniała ździebko, strach ją ogarniał, obzierała się ze zdumieniem, jakby poratunku szukając, uciekać nawet pragnęła, ale stał pobok i tak patrzył, taki żar buchał od niego, takie kochanie w niej wzbierało, że w mig zapominała o wszystkim.

Ciągnęło się to dosyć długo, bo Antek już gorzałkę stawiał całej kompanji. Żyd chętnie dawał i każdą kwartę dwa razy na drzwiach znaczył.

Że zaś całej kompanji zaczęło w głowach się mącić, to kupą poszli tańcować, by się nieco otrzeźwić, juści że i Antek z Jagusią tańcowali na przedzie.

Wyszedł na to z alkierza Boryna, przywiedły go

kobiety zgorszone, popatrzył i wnet się we wszystkim pomiarkował, złość go poderwała sroga, zakąsił ino zęby, zapiał pętle kapoty, czapę nacisnął i jął się przebierać do nich. Ustępowali mu z drogi, bo błady był kiej ściana i oczami dziko świecił.

— Do domu! — powiedział głośno, gdy nadlecieli i chciał ją chyć za rękę, ale w ten mig Antek zakręcił w miejscu i poniósł dalej, że próżno chciała się wyrwać.

Podskoczył wtedy Boryna, rozwalil koło, wyrwał ją z Antkowych ramion, nie popuścił i nie spojrzawszy nawet na syna, wiódł z karczmy.

Muzyka raptem ustała, cichość znagła padła na wszystkich, że stanęli jak wryci, nikt się i słowem nie ozwał, miarkowali bowiem, że staje się coś straszego, gdy Antek rzucił się za nimi, roztrącił ciżbę kiej snopki i wybiegł z karczmy, ale skoro go jeno mróz owionął, zatoczył się na drzewo leżące przed domem i padł w śnieg, rychło się jednak podniósł i dognał ich na skręcie drogi koło stawu.

— Idź swoją drogą i ludzi nie zaczepiaj! — krzyknął stary, odwracając się do niego.

Jagna z wrzaskiem uciekła do chałupy, a Józka wtykała w garście staremu jakiś kół i wrzeszczała:

— Bijcie tego zbója, bijcie tatulu!...

— Puśćcie ją, puśćcie! — belkotał Antek zgoła nieprzytomnie i przysuwał się z pięściami gotowemi do darcia.

— Mówię ci odejdz, bo jak Bóg na niebie, zakatrupię cię jak psa! Słyszysz! — krzyknął znów stary, gotowy na wszystko, Antek cofnął się bezwiednie, opa-

dły mu ręce, strach go uderzył tak mocny, że drzeć zaczął, a stary poszedł wolno ku domowi.

Nie skoczył już za nim, stał roztrzęsiony, nieprzytomny i wodził pustemi oczami dookoła, nie było już nikogo, księżyc świecił jasno, śniegi się skrzyły i posępna białość widniała wszędzie. Nic nie mógł wymiarkować, co się to stało, oprzytomniał nieco w karczmie dopiero, dokąd go przywiedli przyjaciele, którzy mu skoczyli na ratunek, bo gruchnęło, że się z ojcem bije.

Zabawa się też skończyła, rozchodzili się do domów, że to i późno już było, karczma opustoszała rychło, jeno po drogach grzmiały jeszcze czas jakiś hukania i przyśpiewki, pozostali tylko Rzepeczczaki, którzy mieli zanocować i pan Jacek przygrywał im ano na skrzypicy wielce żałośliwe pienia, że siedzieli za stołem powspierani na rękach i wzdychali, no i Antek siedzący w kącie samotnie, bo że się nie mogli z nim dogadać, gdyż nic nie odpowiadał, opuścili go wszyscy. Siedział tak martwy i niewiedzący, że darmo mu żyd przypominał, iż karczmę zamyka, nie słyszał i nie rozumiał zgoła, przecknął dopiero na głos Hanki, której ludzie donieśli, że się pobił znów z ojcem.

— Czego ci potrza? — zapytał.

— Chodź do domu, późno już — prosiła, powstrzymując łzy.

— Idź sama, nie pójdę z tobą! Mówię ci odejdz! — krzyknął groźnie, a potem nagle, niewiada la czego, nachylił się do niej i w samą twarz powiedział: — żeby mnie w kajdany skuli, w lochu zamknęli, wolniejszym był niżli przy tobie, słyszysz, wolniejszym!

Hanka zapłakała żałośnie i poszła.

I on się teraz podniósł, wyszedł na dwór i powłókł się ku młynowi.

Noc była jasna, rozgorzała miesięczną poświatą, drzewa kładły długie, zgoła niebieskie, przesrebrzone cienie, mróz taki ścisnął, że raz po raz słyhać było trzaskanie żerdeń i jakby cichy, przejmujący skowyt niósł się po roziskrzonych śniegach, cichość martwa, zeskrzytwała tuliła świat cały, wieś już spała, ani jedno okno nie błyskało światłem, ni pies nie zaszczekał, ni młyn nie turkotał, nic — jeno od karczmy dochodził schryply śpiew Jambroża, którego swoim zwyczajem wyśpiewywał na środku drogi — ale słabo, kieby przez sen.

Antek włócił się ciężko i wolno dookoła stawu, przystawał, rozglądał się nieprzytomnie, nasłuchiwał trwożnie, bo wciąż huczały mu we łbie ojcowe straszne słowa, bo wciąż widział jego oczy rozszrozone, bijące w niego kiej nożem, że cofał się bezwiednie, lęk ścisnął go za gardło, serce zamierało, włosy się jeżyły — a z pamięci ginęła zawziętość, ginęło kochanie, ginęło wszystko, a ostawał jeno strach śmiertelny, dygocące przerażenia, i rozpaczliwa, żalna niemoc...

Sam nie wiedział, kiedy zaczął iść ku domowi, gdy z przed kościoła doszedł go bolesny płacz i głośnie wyrzekania; pod figurą, stojącą przed samemi wrótniami na cmentarz, ktoś leżał rozkrzyżowany na śniegu, w cieniu, jaki padał od parkanu, nic nie można było rozpoznać, pochylił się, myśląc, że to jaki obcy wędrownik, albo i pijany — a to Hanka leżała, żebrząc miłosierdzia.

— Chodź do domu, ziąb taki, chodź Hanuś! — prosił, bo mu dziwnie zmiękła dusza, a że się nie odezwiała, uniósł ją przez siłę i powiódł do domu.

Nie mówili nic ze sobą, bo Hanka rzewnie płakała.

VIII.

U Borynów było kiej w grobie po tem święcie — nie płacz, nie krzyki, nie pomstowania, a ino ciężka cichość, złowrogo przyczajona i pełna powstrzymywanych gniewów a żalów.

Cały dom zmiłknął, osnuł się posepnością, a żył w ciągłej trwodze i oczekiwaniu czegoś straszego, jak kieby pod dachem, któren lada chwila ma paść na głowy.

Stary, powróciwszy do domu, ni potem nawet, nazajutrz, ani marnego słowa nie rzekł Jagusi, nawet przed Dominikową się nie użalał, jakby się nic nie stało.

Rozchorzał jeno z tych przyczajonych w sobie złości, i z łóżka się podnieść nie mógł, że to go ciągiem mdliło, kolki spierały w boku i gorącość rozbierała.

— Nic to innego, tylko wątroba się sama zapiekła, albo macica opadła! — rzekła Dominikowa, smarując mu boki gorącym olejem; nic się nie odezwał, jeno postękiwał boleśnie i w pułap uparcie patrzył.

— Nie Jagusina to wina, nie! — zaczęła cicho, by na izbie nie dosłyszeli, bo się już srodze frasowała, że ani słowa nie powiedział o wczorajszej sprawie.

— A czyja? — mruknął.

— W czem to winowata? Wyście ostawili ją samą

i poszli pić do alkierza, muzyka grała, tańczyły wszystkie, bawiły się, to cóż, jak ten samson miała stać w kącie, młoda przecież, zdrowa i zabawy jej potrzeba. Zniewolili ją, to i poszła tańczyć. Mogła to nie iść, kuźden w karczmie ma prawo brać do tańca, która mu się jeno uwidzi, a że ją wybrał i nie popuszczał zbój ten jeden, to ino przez złość do was, ino przez złość!

— Smarujcie jeno i róbcie, bym wyzdrowiał rychło, a nie uczcie mnie rozumu, dobrze sam wiem, jak było, nie trzeba mi waszego powiedania.

— Kiejście taki mądry, to i to wiedzieć powinniście, że kobieta młoda, zdrowa też swojej uciechy potrzebuje! Nie drewno jest, ni starucha, za chłopca poszła, to chłopca jej potrzeba, nie dziadygi, by z nim różaniec przebie-rała, nie.

— A to czemuście mi ją dali? — rzucił urągliwie.

— Czemu? A kto to skamlał jak ten pies? Nie ja was molestowałam, byście ją wzieni, nie ja wam ją podtykałam, ni ona sama! Mogła se iść za każdego drugiego i z tych najpierwszych we wsi, tylu ich było...

— Było, jeno nie do żeniaczki...

— Ażeby wam ozór wykręciło za to pieskie szczekanie!

— Prawda was sparzyła kiej pokrzywa, żeście się tak ciepnęli!

— Cygaństwo paskudne to, nieprawda! Cygaństwo!

Naciągnął pierzynę na piersi, odwrócił się do ściany i ani już słowem się ozwał na jej dowodzenia gorące, dopiero gdy w płacz uderzyła, szepnął złośliwie:

— Jak baba kijanką nie poredzi, to myśli płaczem co wskórać!

Dobrze wiedział co powiedział, dobrze! Teraz ano, kiej się z łóżka podnieść nie mógł, przychodziło mu do głowy, co to o niej powiadano przódzi, rozważał to sobie, układał, do kupy ściągał, deliberował — i taka złość go przejmowała, taka zazdrość gryzła, że nie mógł wyleżeć, rzucał się na łóżku, kłął zcicha, to odwracał się twarzą do izby i temi złemi, jastrzębiami ślepiami chodził za Jagną... ona zaś była jakaś blada, zmizerowana, że jak senna chodziła po domu, a ino temi żalosiemi oczami skrzywdzonego dzieciątka spozierała na niego i tak wzdychała, aż mu się żal robiło i serce ździebko tajało, ale i zazdrość tem większa rosła.

Wlekło się tak blisko całą niedzielę, że już w chalupie wytrzymać było trudno, miałać przecież duszę wielce czującą — jako ten kwiat niektóry, co niech jeno ziąb nań chuchnie, a wnet owarzy się i rozdygocze z bolenia. Mizerniała też w oczach, sypiać nie mogła, jadło nie smakowało, usiedzieć trudno było na miejscu i robotą zająć, bo wszystko leciało z rąk i strach ciągiem za nią chodził, bo i jakże, kiej stary wciąż leżał, postękiwał, dobrego słowa nie rzekł, a jako ten zbój spoglądał. Cięgiem czuła jego oczy na sobie, ciągiem, że już wytrzymać nie mogła. Ciężyło jej życie, bo i tęskności rozbierały nieopowiedziane, że to i o Antku nic nie wiedziała, nie pokazał się bowiem przez tę niedzielę, choć nieraz o zmierzchu, pod śmiertelnym strachem, wyglądała pod bróg! Nie śmiała się zaś pytać nikogo. Już się jej tak mierziło w chalupie, że po parę razy w dzień biegała do

matki, ale Dominikowa mało siedziała w chałupie, do chorych chodziła, to w kościele przesiadywała, a jeśli była, to pokazywała srogą twarz i gorzkie wymówki czyniła, a chłopaki też łazily omroczone, złe i strapione, bo stara Szymka pobiła miądlnicą, że to we Trzy Króle przepił był w karczmie całe cztery złote. Zaglądała potem do sąsiadów, by ino jakoś ten dzień zepchnąć, ale i tam dobrze jej nie było, juści, nie wyganiaли jej, ale przez zęby cedzili słowa, twardo spojierali, a wszyscy zarówno biadali nad chorobą starego, wyrzekając żałośliwie, jakie to teraz czasy nastają paskudne.

A Józka też, jak ino mogła, dogryzała jej na każdym kroku, nawet Witek bojał się pleść po swojemu przy gospodarzu, że słowa nie było z kiem przemówić, tyła było całej uciechy i rozerwania myśli, co tam Pietrek wieczorami, po robocie przegrywał zcicha na skrzypkach we stajni, bo w chałupie stary nie pozwalał.

A zima wciąż była sroga, mroźna i wiejna, że trza było w chałupie siedzieć!

Dopiero jakoś w sobotę, stary, choć zdrowy nie był jeszcze, zwłókł się z łóżka, ubrał ciepło, bo mróz był trzaskający, i poszedł na wieś.

Zachodził do różnych chałup, niby to ogrzać się ździebko, gdzie znówu ze sprawami, a nawet z takimi przestawał chętniwie, jakich przódzi mijał bez słowa, i wszędy pierwszy zaczynał o karczmie i całą sprawę w śmieszki obracał, a rad rozpowiadał, jako się był tego napił i przez to zachorzał.

Dziwowano się temu, przytakiwano, głowami kiwano, ale nikt się w pole wyprowadzić nie dał. Znali

przecież dobrze jego nieustępliwą hardość, a i to, że skoro na ambit wziął, można go było żywym ogniem przypiekać, a głosyby nie wydał; wiedziano również, jako się zawždy wynosił nad inne, puszył, za najlepszego we wsi miał, a wielce baczył, by go na ozorach nie obnosili.

Rozumiano też, że zapobiega i plotki gasi, jakie były powstały.

A nawet stary Szymon, sołtys, powiedział mu prosto w oczy, jak to u niego było zwyczajne:

— Baj baj, chłop śliwy rwie — a ino ich dwie! Ludzkie gadanie jest jak ten ogień, nie przygasicie pazurami, sam się musi wypalić! A to wam jeno przypomnę, com był rzekł przed ślubem: jak stary bierze młodą — złego nie odegna i święconą wodą!

Zeżlił się tem i prosto wrócił do chałupy, Jaguś zaś, myśląc, że skoro wstał, to już wszystko przeminęło i powróci do dawnego, odetchnęła z ulgą i jęła do niego zagadywać, to w oczy naglądać, przymilać się i po izbie krzekorzyć słodko, jak przódzi... Ale wnet ją opamiętał takim ostrem słowem, że struchlała; a potem nie zrobił się inszym, nie pieścił, nie hołubił, myśli nie zgadywał, ni o jej łaski się starał, a ostro, kiej na dziewczkę krzyczał za nieporządki i do roboty zaganiał.

Od tego dnia wszystko z nawrotem w swoje garście ujął, przypilnował i z rąk nie popuszczał. Całe dnie, skoro jeno wyzdrowiał, młócił z Pietrkiem i w stodole robił koło zboża, krokiem się prawie nie ruszając z obejścia, bo nawet wieczorami w chałupie narządzał uprząże albo na kobylicy wystrugiwał różne porządki gospodarckie, a tak pilnie stróżował Jagusi, że i kroku nie mogła

zrobić, by za nią nie wyglądał, nawet jej świąteczne szmaty zamknął i klucz nosił przy sobie.

Nacierzpiiała się ona, nacierzpiiała! Mało tego bowiem, że o bele co krzyczał i słowa dobrego nie powiedział, ale prosto tak wszystko robił, jakby nie ona była gospodynią, bo ino Józce rozporządzał, co się ma robić, z Józką o różnych rzeczach prawił, których i dziewczyna nie wyrozumiała, a Józce o wszystkim kazał mieć baczenie!

A Jagny jakby nie było, przędła dnie całe, chodziła kiej błędna, albo do matki uciekała na wyzalenie i skargi. Nie poradziła na to stara, bo jej rzekł ostro:

— Była panią, robiła co chciała, nic jej nie brakowało, a nie umiała tego poszanować, to niech popróbuje czego innego! A to wam zapowiadam, powiedzcie jej, że póki kulasami rucham, bronil swojego dobra będę i nie dopuszczę, żeby się prześmiewano ze mnie, kiej z kukły jakiej, zapamiętajcie to sobie.

— Bójcie się Boga, a dyc ona nic złego nie zrobiła!

— Niechby zrobiła, nie takbym gadał i nie tak postąpił! Ale dosyc i tego, że się z Antkiem zadawała!

— W karczmie, w tańcu, przy wszystkich przecież!

— Hale w karczmie tylko! Hale!... — wykalkulował bowiem, że kiedy to jej zapaskę znalazł w opłótkach, musiała wychodzić do Antka.

Nie dał się więc przekonać, nie wierzył niczemu i twardo stał przy swoim, a na zakończenie powiedział:

— Dobry człowiek jestem, zgodliwy, wszyscy o tem wiedzą, ale jak mnie kto chlaśnie batem, gotówem oddać kłonicą.

— Bijcie, kto wama winowaty, ale nie krzywdźcie, bo z krzywdy każdej pomsta rośnie.

— Któren swojego broni, nie krzywdzi!

— Jeno byście w porę uwidzieli, kaj się wasze kończy!

— Grozicie, widzę!

— Swoje tylko powiadam, a wy zbytńio w siebie dufacie. Baczcie i na to, że kto na innych kładzie znaki — sam taki!

— Dosyć mi waszych nauk i przypowiastek, swój rozum też mam! — rozgniewał się.

I na tem się skończyło, bo Dominikowa, widząc jego zatwardziałość i nieustępliwość, nie ponawiała już tej sprawy, dufając, iż to samo przejdzie i jakoś się uładzi, ale on ani na dzień jeden nie pofolgował, zawziął się i nawet w tej złości smak znajdował, a chociaż nieraz w nocy, słysząc Jagusine płacze, zrywał się bezwiednie by do niej bieć, w porę się jednak miarkował, udając, że wstał oknem wyrzeć albo czy drzwi pozamykane.

Ciągnęło się tak bez przerwy całych parę tygodni, Jagnie było markotno, smutno i tak źle, że ledwie już ścierpiała, na ludzi patrzeć nie śmiała, wstyd jej było przed wsią, boć wszyscy dobrze wiedzieli, co się tam u Borynów wyprawia!

Dom całkiem omroczał, że snuli się po nim cicho, lękliwie, kieby te cienie.

Coprawda, mało kto zaglądał, mając i u siebie dość swarów! Wójt się też nie pokazywał, zagniewany, że Boryna nie choiał mu podawać do chrztu; tyle jeno, co tam chłopaki Dominikowej czasem zajrzały, Nastka

Gołębianka przybiegła z kądzielą, ale ta więcej do Józki i by się z Szymkiem spotkać, że nie było z niej pociechy, to i Rocho czasem zaglądał, ale widząc twarze posępne, zagniewane, mało siedział.

Jeden tylko kowal przychodził co wieczór i długo przesiadywał, a jak tylko mógł, podjudzał jeszcze starego przeciw Jagnie i w łaski się nowe wkradał, juści, że i Jagustynka często zachodziła, chętnie swoje dokładając, gdzie się kłócili. Dominikowa też bywała co dnia i co dnia jedno przywtarzała, by Jagna pokorą starego ujmowała.

Cóż, kiej Jagna nie mogła się upokorzyć, za nic nie mogła, a naprzeciw, bunt się w niej podnosił i złość ją podrywała coraz częściej. Wielce jej w tem pomagała Jagustynka, bo raz zcicha zaczęła:

— Jaguś, a to mi cię żal okrutnie, kieby rodzonej! Ten stary pies cię ukrzywdzi! a ty kiej ten baranek cierpisz! Nie tak inne kobiety robią, nie!...

— Jakże? — spytała dość ciekawie, bo już jej obmierzył ten stan.

— Złego dobrocią nie przeprasz, a ino jeszcze większą złością! Za dziewczkę cię ma, a ty nic; szmaty ci pono w skrzyni pozamykał, na każdym kroku pilnuje, dobrego słowa nie da — a ty co? Wzdychasz, trujesz się i boskiego zmiłowania wyczekujesz! Póki się człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Bóg nie dołoży! Żeby tak na mnie, wiedziałabym co zrobić! Józkę spralabym, niech się nie rządzi w chałupie, gospodynią przecież jesteś, chłopu-bym też nie ustąpiła w niczem! Kiej chce wojny, to niech ma taką, aże mu grdyką wylezie! Hale, pozwól chłopu

panować nad sobą, to się wnet do bicia weźmie i niewiada na czem skończy!

— A najpierwsze — zniżyła głos i do ucha jej szeptała — odstaw go kiej tego ciolka od krowy, nie przypuszczaj do siebie ani na ździebko, jak tego psa przed progiem trzymaj! Wnet zobaczysz, jak zmięknie i jak się udobrzy!

Jagna zerwała się od kądzeli, by ukryć twarz roz-czerwioną.

— Czegóż się głupia sromasz? Złego w tem niema! Wszystkie tak robią i robić będą, nie ja pierwsza wymyśliłam taki sposób! Wiadomo przecie, że kiecką chłopa dalej zaprowadzi, niżli psa sperką, bo pies rychlej się pomiarkuje! A starego łacniej niżli młodziaka, bo łakomszy i trudno mu po cudzych chałupach szkodzić! Zrób tak, a wnet mi podziękujesz! A co tam pyskują na ciebie i Antka, do serca nie bierz, żebyś jak ten młody śnieg — była, sadzy się dowidzą! Na świecie jest takie urządzenie, że któren się da, to mu i kiwnąć palcem nie przepuszczą, a któren nie stoi, co o nim powiadają, mocny jest a hardy, to może robić, co mu się żywnie podobą. Nikt nawet słówkiem nie piśnie naprzeciw, a łasić się będą kiej pieski! Do krzepkich należy świat wszystek, do nieustępliwych a zawziętych! Na mnie się dosyć wygadywali, dosyć, a na twoją matkę też, że to z tym Florkiem wiadomo było...

— Nie tykajcie matki!

— Niech ci ta świętą ostanie! Prawda i to, że kaźden potrzebuje świętości jakiejś.

Długo jeszcze prawila, nauczała ją, a zwolna, choć

i niepytana, rozpowiadała o Antku, co ino mogła wymyślić! Słuchała tego chciwie Jagusia, nie zdradziwszy się jednak ani słówkiem, ale rady owe mocno wzięła do głowy i cały dzień deliberowała nad niemi! Wieczorem zaś, kiedy był Rocho, kowal i Nastka, rzekła do starego:

— Dajcie-no klucze od skrzyni, muszę szmaty przewietrzyć!

Dał przywstydzony nieco, bo Nastka śmiechem buchnęła, ale mimo to, gdy skończyła przekładanie, wyciągnął rękę po klucz.

— Same moje są tam szmaty, to już sama se przypilnuję! — powiedziała hardo.

I od tego wieczoru zaczęło się piekło w chałupie! Stary się nie przemienił, ale i ona nie ustępowała, na słowo odpowiadała taką kopą a tak głośno, że na drodze słyhać było krzyki. Nie pomagało to wiele, to na złość zaczęła wszystko robić.

Do Józki przyczepiała się na każdym kroku a tak nieraz boleśnie karciała, że dziewczyna z płaczem biegła się skarżyć. Nic to nie pomagało, bo jeszcze barzej pieklowała, skoro nie szło po jej woli. Wiezorami zaś umyślnie się przenosiła na drugą stronę, ostawiając starego w pierwszej izbie; tam Pietrka niewoliła do grania, przyspiewując mu do wtóru różne piosneczki do późna w noc; to znowu w niedzielę przystroiła się, jak ino mogła najlepiej a nie czekając na męża, sama poszła do kościoła, wystając po drogach z parobkami.

Stary się zdumiewał tą przemianą, wściekał ze złości, próbował się nie dawać, zapobiegał, by się to po wsi

nie roznieśli, nic jednak nie poradził na jej humory, a coraz częściej, dla świętego spokoju, ustępował.

— Moiściewy! barankiem się widziała, tą owieczką pokorną, a teraz okoniem stawa! — wykrzyknął raz do Jagustynki.

— Chleb ją rozpiera i ponosi! — odrzekła z oburzeniem, bo zawsze temu przytwardzała, kto z nią radził. — Ale to wam powiem, że póki czas, trza czemś twardem wyganiać humory, bo potem i kłonicą nie poradzi!

— Nie jest to we zwyczaju Borynów! — powiedział wyniośle.

— Widzi mi się, że i u Borynów do tego przyjdzie! — szepnęła złośliwie.

Jakoś w parę dni potem, zaraz po Gromnicznej, dał znać wieczorem Jambroży, że ksiądz nazajutrz będzie jeździł po kołędzie.

Zakrzętnęli się zaraz od rana koło porządków, że nawet stary, unikając piekła, bo Jagna sielnie dunderowała na Józkę, sam się zabrał do odwalania śniegu z opłotków; wywietrzono izby, omieciono z pajęczyn ściany, Józka wysypała żółtym piaskiem ganek i sienie i śpiesznie przebierali się odświętnie, bo ksiądz już był w niedalekiem sąsiedztwie, u Balcerków.

Jakoż wkrótce stanęły księżę samie przed gankiem, a on sam w komży na futrze, poprzedzany przez dwóch organiściaków, przybranych kiej do mszy, wszedł do izby — odmówił łacińskie modlitwy, pokropił i poszedł w obejście poświęcić budynki i cały dobytek. Boryna niósł przed nim na talerzu wodę święconą, a on w głos się mo-

dlił i poświęcał wszystko po kolei, organiściaki zaś szli wpodle, przyśpiewując kolędy i gęsto potrząchając dzwonekami, a reszta, kieby za procesją, szła z tyłu.

Skończywszy zaś, wrócił do izby i przysiadł odpoczywać, a nim Boryna z parobkiem zsykali do sań pół korca owsa i grochu ćwiartkę, jął przesłuchiwać pacierz Józkę i Witka.

Tak galanto umieli, aż się dziwił i pytał, kto ich uczył.

— Pacierza to mię nauczył Kuba, a katechizmu i na elementarzu Rocho! — odpowiadał śmiało Witek, aż go ksiądz pogłaskał po głowie, ale Józka tak straciła śmiałość, że się ino rozczzerwieniła, popłakała i tego słowa nie wykrztusiła! Dał im po dwa obrazki, a nauczał, by słuchali starszych, pacierze odmawiali i grzechu się strzegli, bo zły na każdym kroku się czai a do piekła namawia. A potem, podniósłszy głos, spojrział na Jagnę i groźnie zakończył.

— Powiadam wam, że nic się nie ukryje przed okiem sprawiedliwości Bożej, nic! Strzeżcie się dnia sądu i dnia kary, pokutujcie i poprawcie się, póki czas!

Dzieci buchnęły płaczem, bo się im uwidziało, jakoby w kościele byli, podczas kazania, Jagusi też serce zabiło trwożnie i rumieńce powlekły twarz, bo dobrze zrozumiała, że to do niej mówił, ale skoro Maciej powrócił wyszła zaraz, nieśmiejąc księdzu spojrzeć w oczy.

— Chciałbym z wami pomówić Maciejju! — szepnął, gdy zostali sami, kazał mu przy sobie siadać, odchrząknął, tabaki mu podał, nos wytarł chusteczką, od której szły zapachy kiej z trybularza, jak potem opowia-

dał Witek, palce z trzaskiem wyciągał ze stawów i zcicha zaczął:

— Mówili mi ludzie o tem, co się tam w karczmie stało, mówili!

— Juści, na oczach wszystkich było! — przywótórzyl stary smutnie.

— Nie chodźcie do karczmy i kobiet tam nie prowadźcie, tyle zakazuję, piersi zrywam, proszę, nic nie pomaga, macie więc za swoje, ale jednak Bogu gorąco dziękujcie, że grzechu większego tam nie było, mówię wam, nie było!

— Nie było! — Twarz mu się rozjaśniła, bo księdzu wierzył.

— Powiadali mi też, że ją srogo karzecie za to, niesłusznie robicie, a kto niesprawiedliwość czyni, grzeszy, mówię wam, grzeszy!

— Gdzie zaś, jenom ją chciał nieco przykrócić! jeno...

— Antek jest winien, nie ona! — przerwał mu popędliwie. — Umyślnie przez złość na was zmusił ją do tańcowania, widocznie, że chciał z wami awantury, mówię wam, że chciał awantury! — zapewniał uroczyście, przyrządzony przez Dominikową, na której słowach zupełnie polegał. — Ale, co tom miał jeszcze powiedzieć... aha... żróbka łązi po stajni, trzeba zamknąć w grudce, bo kopnie ją wałach i gotowe nieszczęście, w przeszłym roku przez to samo zmarnowali mi klaczkę! Po jakim to ogierze?

— A po młynarzowym!

— Zaraz poznałem z maści i z tego łyska na czole,

tęgi żrebak! Ale z Antkiem powinniście zgodę zrobić koniecznie, przez te gniewy na nic się chłop rozpuścił.

— Nie gniewałem się z nim, to i o zgodę prosił go nie będę — powiedział zawzięcie.

— Radzę wam jak ksiądz, a zrobicie, co wam sumienie dyktuje, ale to wam mówię, że z waszej winy człowiek się marnuje, dzisiaj jeszcze mi mówili, że ciągle w karczmie przesiaduje i wszystkich chłopaków buntuje, na starszych powstaje i podobno coś przeciw dworowi zamierza.

— Nic mi o tem nie powiadali.

— Jak się parszywa owca do stada wśliźnie, wszystkie zarazi! A z tych zmawiań przeciwko dworowi może wypaść dla całej wsi wielkie nieszczęście — ale Boryna nie chciał o tej sprawie mówić, więc ksiądz pogadał o różnych rzeczach a wkońcu rzekł:

— Zgodą tylko, moi drodzy, zgodą — zażył tabaki i nakładał czapkę. — Na zgodzie opiera się świat cały, zgodnie, po dobroci, to i dwórby się ugodził z wami, mówił, wspominał mi coś o tem dziedzic, dobry to człowiek i chciałby to załatwić po sąsiedzku...

— Wilcze sąsiedztwo, a na takiego najlepszy kół albo żelazo.

Ksiądz się zachnął, popatrzył mu w twarz, ale spotkawszy jego szare, zimne, nieublagane oczy i zacięte wargi, odwrócił się śpiesznie i zatarał ręce ze zdenerwowania, nie lubił bowiem sporów.

— Muszę już iść. To wam jeszcze powiem, że nie powinniście zbytnią surowością zrażać do siebie kobiety, młoda jest, pstro ma w głowie jak każda kobieta, to

trzeba z nią mądrze i sprawiedliwie postępować; trzeba jedno nie widzieć, drugiego nie dosłyszeć a na trzecie nie zważać — by tym sposobem uchronić się przed niesnaskami, z tego wychodzą najgorsze rzeczy. Pan Bóg zawsze błogosławi zgodliwym, mówię wam, błogosławi! Kżi to djabeł! — krzyknął, zrywając się, bo bociek, stojący przy skrzyni nieruchomo, kujnął z całej siły w błyszczący but księdza!

— Dyc bociek, Witek go jesienią przygarnął, bo zostało ptaszyszko, wykurował, że to miał skrzydło złamane, i teraz siedzi w chałupie i myszy łowi kiej kot.

— No, wiecie, jeszcze nie widziałem oswojonego bociana, dziwne, dziwne!

Nachylił się do niego, chciał głaskać, ale bociek się nie dał ruszyć, przekręcił szyję i boczkiem, czająco znów godził w księżę buty.

— Wiecie, tak mi się podoba, że chętniebym go kupił od was, sprzedacie?

— Cóżbym tam miał sprzedawać, chłopak go wnet zanieśie na plebanję.

— Przyślę po niego Walka.

— Nie da się on tknąć nikomu, tylko jednego Witka słucha.

Zawołali chłopaka, ksiądz mu dał złotówkę i polecił przynieść o zmroku, skoro wróci z objazdu, ale Witek uderzył w bek i zaraz po wyjściu księdza zabrał boćka do obory i tam ryczał prawie do wieczora, że stary musiał go przyciszać rzemieniem, przypominając odniesienie ptaka. Juści, chłopak usłuchać musiał, ale serce skwierczało mu z żalu i boleści, nawet rzemieni zbyt

nie czuł, chodził kiej oglupiały, z zapuchłemi od płaczu oczami, a jak ino mógł, dopadał boćka, ogarniał go ramionami, całował a żalonym płaczem się zanosił...

O zmierzchu zaś, kiej ksiądz już ze wsi powrócił, okrył boćka w swoją kapotę, by go uchronić od mrozu i do spółki z Józką, ptak bowiem był ciężki, popłakując rzewnie, ponieśli go na plebanję, a Łapa pobiegł z nimi i też coś markotno szczekał.

Stary im dłużej rozważał słowa księdza i te jego szczerze zapewnienia, tem więcej się rozjaśniał, uspokajał i zwolna, niespostrzeżenie zmieniał swoje postępowanie z Jagusią.

Wszystko powracało do dawnego stanu, ale już nie powróciła do chałupy dawna radosna wrzawa, ten spokój wewnętrzny i ta cicha, głęboka dufność!

Było jak z tym garnkiem rozbitym, co choć odrutowany i zgoła cały się widział, a gdziesik cieknął i przepuszczał wodę w talkiem miejscu, że i pod światło nie rozpoznał.

Tak i w chałupie się widziało, bo przez oną zgodę, nierozeznanemi szparutkami, ciekły przyczajone nieufności, żale przyplówiały ździebko, ale żywe jeszcze i zgoła nie zabite jeszcze podejrzenia.

Stary bowiem, mimo najszczerszych usiłowań, nie zatracił w sobie nieufności i prawie mimowoli, a dawał ciągle baczenie na każdy ruch Jagny, ona zaś, ani na to oczymgnięcie nie zapomniwała mu tych złości i srogich słów, wrzała wciąż odemstą, nie mogąc uciec z pod tych jego przenikliwych, stróżujących oczów.

Może i dlatego, że pilnował i nie wierzył jej, znie-

nawidziła go jeszcze barzej, a coraz potężniej wydzie-
rała się do Antka.

Tak się już umiała zmyślnie urządzać, że co parę dni widywała się z nim pod brogiem. Pomagał im w tem Witek, którego całkiem serce stracił do gospodarza za tego boćka, a przyłgnął do Jagny, że to mu i teraz da-
wała lepsze podwieczorki, więcej omasty, a często gęsto i parę groszy kapnęło od Antka. Ale głównie pomagała im Jagustynka; tak się umiała wkraść w łaski Jagny, i tyle zaufania wzbudziła w Antku, że prosto nie było sposobu widywania się bez jej pomocy. Ona to nosiła wieści między nimi, ona stróżowała przed starym i ochra-
niała przed niespodziankami! A wszystko to robiła przez czystą złość do całego świata! Mściła się na drugich za własną poniewierkę i krzywdy; nie cierpiała bowiem Jagny ni Antka, ale jeszcze barzej starego, jak zresztą wszystkich bogaczy we wsi, że mają wszystko a jej nie-
dostaje nawet tego kąta, gdzieby mogła głowę schronić, i tej łyżki warzy! Zarówno jednak nienawidziła biednych i jeszcze barzej prześmiewała.

Prosto djabelska kuma, abo i co gorszego, jak o niej powiadali.

— Wezmą się za łby i pozagryzają jak te wściekle psy — myślała często, wielce rada ze swojej roboty, że zaś zimą nie było wiele co robić, to laziła po chałupach z kądzielą, podsłuchiwała, a judziła jednych na drugich, prześmiewając ze wszystkich zarówno. Nie śmieli drzwi zamykać przed nią, obawiając się jej ozora, a głównie tego, że pono złe oczy miała... Zazierała i do Antków,

ale najczęściej spotykała się z nim, gdy z roboty powracał i wtedy to mu w uszy kładła nowiny od Jagny.

Jakoś we dwie niedziele po bytności księdza u Borynów, przydybała go koło stawu.

— Wiesz, stary sielnie powstawał na ciebie przed księdzem.

— O cóż to znowu szczekał? — pytał niedbale.

— Że ludzi podmawiasz na dwór, że trzebaby cię oddać strażnikom, i jeszcze drugie...

— Niech popróbuje! Nimby mnie wzięli, takiego-bym mu na dach puścił koguta, że kamień na kamieniuby nie ostał! — zawołał namiętnie.

Poleciała zaraz z tą nowiną do starego, myślał długo i powiedział cicho:

— Podobne to do niego, taki zbój, podobne.

I więcej nie rzekł, nie chciał się z babą zadawać w poufałości, ale skoro Rocho przyszedł wieczorem, zwierzył się przed nim.

— Nie wierzcie wszystkiemu, co Jagustynka przynosi, zła to kobieta!

— Może to i nieprawda, ale bywały podobne przy-padki. Przecież stary Pryczek spalił swojego szwagra, że go skrzywdził przy działach; siedział za to w kremi-nale, ale spalił. To i Antek może to zrobić, musiał coś napomknąć o tem, całkiem nie stworzyłaby sobie.

A Rocho, że to dobry był człowiek, wielce się tem strapił i jał namawiać.

— Pogódźcie się, odpuście mu co gruntu, prze-cież i on żyć musi, ustatkuje się prędzej, a nie będzie już powodów do kłótni i odgrazań...

— Nie, żebym miał zmarnieć, żebym miał z torbami iść — pójdę, a pókim żyw, nie dam i tego zagona. Ze mnie pobili i sponiewierał jak psa, darowałbym choć ciężko i trudno — ale jeśli on i co innego zamierza!...

— Napletli wam, a wy to do serca bierzecie!...

— Juści, nieprawda to jest, juści... ale żeby się to mogło stać... aże mnie rozum odchodzi i zimno w kościach przewierca... kiej pomyślę, że mogłoby się to stać...

Zacisnął pięście i skamieniał ze zgrozy samego przypuszczenia możliwości onej. Nic nie wiedział, nie myślał nigdy o tem, był nawet pewnym w głębi Jagusinej niewinności, ale poczuł, że w tej synowskiej nienawiści do niego musi być cosik więcej, niżli gniewy i żale o grunt, że ta zapamiętałość, którą wtedy uwiłdzał w jego oczach, z innego źródłiska bije, czuł to dobrze — i w tej właśnie chwili poczuł sam w trzewiach taką samą nienawiść zimną, mściwą i nieubłaganą, zwrócił się do Rocha i cicho powiedział:

— Za ciasno dla nas obydwóch w Lipcach!

— Co wam znowu przychodzi do głowy, co? — krzyknął wystraszony.

— I niechaj Bóg broni, by mi wlał kiedy w pazury przy takiej okazji...

Uspokajał go Rocho, tłumaczył, ale nic nie wskórał.

— Spali mnie, zobaczycie!

I od tej chwili mało już kiedy zaznał spokoju. O każdym zmierzchu stróżował niepostrzeżenie, czaił się za węglami, obchodził dom i budynki, zaglądał pod strzechy, a w nocy się często budził, godzinami całemi nasłuchiwał i za najmniejszym trzaskiem zrywał się

z łózka i z psem obiegał wszystkie kąty. Dopatrzył raz pod brogiem jakieś wydeptane, nawpół zawiane ślady, dopatrzył później i przy przełazie i jeszcze lepiej się utwierdził w pewności, że to Antek podchodzi nocami i wypatruje jeno sposobności podpalenia; co innego nie przychodziło mu jeszcze na myśl.

Kupił od młynarza wielce srogiego psa i zrobił mu budę pod szopą, a jątrzył ciągiem, mało jeść dawał, podszczywał, że nocami pies latał i użerał jak wściekły, a rzucał się na każdego, że niejednego dobrze skaleczył, aż skargi z tego powstały.

Ale przy tych ostrożnościach i pilnowaniach stary mizerniał i tak chudł, że pas do pól bieder opadał, poczerniał, przygarbił się, nogami za sobą ciągał i na wiór się zesychał z tych utajonych myślunków i turbacyj, że mu ino oczy gorzały kiej w chorobie.

Ze zaś nikogo bliżej nie dopuszczał i zwierzać się a wyżalać nie miał przed kim, to go i barzej piekły te ognie i przepalały.

Nikt też się nie dorozumiawał, co mu ta we wątpiach siedzi a podgryza.

Baczył więcej na dobytek, sprawił złego psa, czuwał nocami, rozumieli bez to, że wilki się ano nad podziw rozmnożyły tej zimy i mało której nocy nie podbierały się stadami pod wieś; nieraz słysząc było ich wycia i często też się podkopywały do obór i gdzie niegdzie coś uskubnęły. A przytem, jak to zawdy pod wiosną i o złodziejach chodziły słuchy coraz częstsze; wzięli podobno chłopu z Dębicy parę kłaczy, wzięli w Rudce wieprza, to znowu krowę gdzie indziej — i jak kamień

we wodę, ni znaku po nich! — to i niejednen w Lipcach w leb się skrobał, opatrywał zamki i stajni strzegł, że to najlepsze mieli konie na okolicę.

I tak szedł czas wolno i równo, jak te godziny na zegarze, ani go wyprzedzić, ni wstrzymać!

Zima wciąż była sroga choć zmienna jak rzadko; bywały takie mrozy, jakich i najstarsi nie pamiętali, to śniegi spadały ogromne, to znowu były całe tygodnie odwilgi, że woda stała po rowach, a gdzie niegdzie i zagony czerniały, to przychodziły takie wiejby, takie kurzawy, że światła nie dojrzał, a po nich zaś bywały dni spokojne, ciche i tak słońce przygrzewało, że drogi roily się od dzieci, wywierano drzwi, ludzi ogarniała radość, a starzy się pod ścianami wygrzewali.

Zaś w Lipcach szło swoim odwiecznym porządkiem, komu śmierć była naznaczona — umierał, komu radość — weselił się, komu bieda — wyrzekał, komu choroba — spowiadał się i czekał końca — i pchało się jakoś z Bożą pomocą, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, by się ino zwiesny doczekać, abo tego, co komu przeznaczone.

Tymczasowie zaś co niedziela grzmiała muzyka w karczmie, hulano, pito, czasem się wadzono, czasem za łby brano, aż ksiądz potem karcil z ambony, no i długie szły sprawy. Odbyło się wesele Kłębianki, trzy dni się zabawiali a tak hucznie, że powiadali, jako Kłąb do pożyczyl pięćdziesiąt rubli od organisty na to wesele. Sołtys też wyprawił niezgorsze zmówiny córce z Płoszką. Gdzie znowu chrzciny się odbyły, ale zrzadka, nie pora

jeszcze była, wiele bowiem kobiet spodziewało się dopiero na zwieszne.

Staremu Pryczkowi też się zmarło jakoś w tym czasie. Tydzień ledwie chorzał, a miał chudziaczek dopiero na sześćdziesiąty i czwarty — cała wieś poszła na pogrzeb, bo dzieci stypę wyprawiały galantą...

Gdzie zaś zbierano się wieczorami na oprzęd, tam naschodziło się tyla dzieuch i parobków, że robiła się taka zabawa, śmiechy radość — aż miło, bo to i Mateusz, wyzdrowiawszy całkiem, przewodził młodzi i najbarzej dokazywał.

A te pogwary ciągle, obmowy, kwasy, klótnie, sąsiedzkie swary, nowinki — wieś się od nich trzęsła. A czasem trafił się dziad jaki bywały, to opowiadał różności o świecie i tygodniami we wsi siedział.

Czasem znów list przyszedł od którego chłopaka z wojska, co to było czytań, narad, opowiadań, wzdychów dzieuszyn a matczynych płaczów, że i na całe tygodnie starczyło!

A insze rzeczy! a to Magda poszła w służbę do karczmy, to pies Borynów pogryzł Walkowego chłopaka, że precesem się odgrażali, to krowa Jędrzejom udławiła się ziemniakiem, że dorzynać ją musiał Jambroży, to Grzela pożyczył sto pięćdziesiąt rubli od młynarza i dał w zastaw łąkę, to kowal kupił parę koni, że dziwowano się temu wielce i mocno nad tem deliberowano, to dobrodziej chorował przez cały tydzień, aż ksiądz z Tymowa przyjeżdżał go zastępować — a to o złodziejach mówiono, o strachach różnych baby pletły, o wilkach też często, bo pono wydusiły owce we dworze, o gospodar-

stwie, o świecie, ludziach, a te insze rzeczy, że ni spa-
miętać, ni opowiedzieć któż poredzi! a tak ciągiem coś
nowego, że wszystkim starczyło i na dnie i na długie
wieczory, że to czasu zimową porą nikomu nie brakowało.

Tem samem zabawiali się i u Borynów, jeno z tą
odmianą, że stary kamieniem siedział w domu i na żadne
zabawy nie chodził a i kobietom też iść nie pozwalał,
że już desperacja brała Jagusię, a Józka całe dnie ma-
mrotała ze złości, bo się jej dziwnie matjasilo w cha-
lupie siedzieć, tyła bywało całej uciechy, że nie wzbra-
niał chodzić z kądzielą, ale do tych jeno chalup, gdzie
się same starsze kobiety zbierały.

Więc też przeważnie siedzieli wieczorami w domu.

Jednego wieczora, jakoś już pod koniec lutego, ze-
szło się parę osób i siedzieli po drugiej stronie, bo tam
tkala płótno Dominikowa przy lampce, a reszta z po-
wodu tęgiego ziąbu kupiła się przed kominem. Jagusia
z Nastką przędyły, aż wrzecziona warczały, kolacja się do-
gotowywała, Józka kręciła się po izbie, a stary pykał
z fajki w komin i coś sobie myślał głęboko, bo prawie
się nieodzywał. — Przykrzyła się wszystkim ta cichość —
bo ino ogień trzaskał, świerszcz skrzypiał z kąta, warstał
hukał od czasu do czasu, a nikt jakoś się nie odzywał,
więc Nastka pierwsza zaczęła:

— Pójdziecie to jutro z kądzielą do Kłębów?

— Zapraszała Marysia dzisiaj.

— Rocho obiecali, że jutro tam z książki będą czy-
tać historie o królach.

— Poszłabym, ale nie wiem jeszcze... — spojrzała
pytająco na starego.

— To i ja pójde, tatulu... — prosiła Józka.

Nie odpowiedział, bo pies mocno przyszcze kiwał na ganku i zaraz wsunął się nieśmiało Jasiak, Przewrotnym nazywany z prześmiewiska.

— Zawieraj drzwi gapo, bo tu nie obora! — wrzasnęła Dominikowa.

— Nie bój-że się, nie zjedzą cię, czegoż się rozglądasz? — pytała Jagna.

— A bo... bociek musiał się kajś przytaić i jeszcze nie kujnie... — jękał się, wystraszonymi oczami wodząc po kątach.

— Oho, boćka gospodarz wydali dobrodziejowi, nic ci już nie zrobi! — mruknął Witek.

A bo i nie wiem poco go było trzymać, jeno ludzi krzywdził!

— Siadaj, nie marudź! — nakazała mu Nastka, wskazując miejsce wpodłe siebie.

— Hale, kogo to ukrzywdził, cheba jednych głupich, abo psów obcych! Chodził se jak ten dziedzic po stancji, myszy łowił, wszystkim ustępował, a wydali go! — szepnął z wyrzutem chłopak.

— Cicho, cicho, obłaskawisz se na wiosnę drugiego, kiej ci żal za boćkami!

— A nie obłaskawię, bo i ten będzie jeszcze mój, niech się jeno ciepło robi, to już umyśliłem taki sposób na niego, że nie wytrzyma na plebanji a przyleci!

Jasiak koniecznie chciał się dowiedzieć tego sposobu, ale Witek burknął:

— Głupi! kury se macaj, myśli, że co lepszego

poradzi. Kto ma rozum, to se swój sposób wynajdzie, a nie będzie brał od drugih!

Skrzyczała go Nastka, biorąc w obronę Jaśka, boć wielce stała o niego; głupawy on juści był, wieś się z niego prześmiewała, niezgraba, ale jedynak na dziesięciu morgach, to dziewczyna tak sobie rachowała, że Szymek miał tylko pięć morgów i to niewiadomo, czy mu Dominikowa pozwoli się żenić, więc znarowiła chłopaka do siebie, iż ciągiem laził za nią — a trzymała w odwodze, na ten przypadek.

Siedział ano teraz przy niej, w oczy poglądał i rozmyślał, coby tu rzec takiego, gdy wszedł wójt, bo się już był ze starym pogodził, a zaraz od proga zawołał:

— Powiestkę wam przyniosłem, macie się jawić na sądy jutro w południe.

— Do zjazdu o krowę?

— Tak tu i stoi, o krowę ze dworem!

— Rano trzeba wyjechać, bo do powiatu kawał drogi. Witek, idź zaraz do Pietrka i naszykujcie, co potrzeba, a ty pojedziesz na świadka. A Bartek uwiadomiony?

— Byłem dzisiaj w kancelarji i la wszystkich przywozłem powiestki, kupą całą pojedziecie, ale dwór winowaty, to niech płaci.

— A bogać tam nie winien, tylachna krowa!

— Chodźcie na drugą stronę, mam z wami pogadać! — szepnął wójt.

Prześli i siedzieli tak długo, że tam im kolację Józka podała.

Wójt go namawiał już nie po raz pierwszy, by

się do nich przyłączył, z dworem nie zrywał, przewłóczył sprawę, czekał, z Kłębem i drugimi razem nie szedł i tym podobnie. Stary dotychczas się wahał, kalkulował, nie odmawiał, ale na tę ni na drugą stronę się nie przechylał, bo był się mocno zagniewał, że go to wtedy dziedzie nie wezwał na naradę do młynarza.

Wójt zaś, widząc, że nie poradzi, na ostatku już, na przynętę powiedział:

— Wiecie o tem, jako ja, młynarz i kowal, zrobiliśmy ugodę ze dworem, że sami we trzech zwozić będziemy drzewo na tartak, a potem deski do miasta.

— No juści, że wiem, dosyć się przecież napomstowali na was inni, że nikomu zarobić nie pozwalacie.

— Dużo ta o to stoję, co pyskują, szkoda na to czasu, to wam zaś chce powiedzieć, cośmy we trzech uredzili — słuchajcie jeno, co powiem.

Stary ino łysnął ślepiami i rozważał, jaki to będzie podstęp.

— Uradzilim przypuścić waju do spółki. Woźcie tyła co i my! sprzężaj macie dobry, parobek się jeno wałkoni a zarobek pewny, płacą od kubika. Nim się w polu roboty zaczną, zarobicie ze sto rubli.

— Kiedy zaczynacie zwózkę — rzekł po długim namyśle.

— A choćby od jutra zaczynać! Tną już na bliższych porębach, drogi też niezgorsze, to póki sanna, siła można nawieźć, mój parobek wyjeżdża we czwartek.

— Psia krótką, żebym to wiedział jak wypadnie ta moja sprawa o krowę.

— Przystańcie jeno do nas a dobrze wypadnie, już ja wójt to wama mówię...

Stary długo deliberował, spozierając pilnie na wójta, kredą se oosik na ławie pisał, po łbie skrobał, aż i rzekł:

— Dobrze, woził będę i sprzęgnę się z wami.

— Kiej tak, zajrzyjcie jutro po sądach do młynarza a poredzimy jeszcze, muszę już bieżyć, bo mi kowal sanie podkuwa.

Odszedł wielce uradowany, myśląc, iż starego kupił tą zwózką i na swoją stronę przeciągnął.

Juści, młynarz mógł się z dworem godzić, grunty miał nie tabelowe i do lasu mu było nic; wójt też siedział na ziemiach poduchownych, kowal też samo, ale nie on, Boryna! Rachował sobie, że zwózka zwózką, sprawa zaś o las osobno; nim zgoda z dziedzicem nastanie, albo li do wojny przyjdzie, upłynie dość czasu... a co mu szkodzi tamtym przytwardzać, głupiego udawać, z nimi trzymać, kiej i tak swojego nie daruje przy sposobie, a tymczasem dobrze zarobić te kilkadziesiąt rubli, konie i tak trza żywić i parobka płacić! — uśmiechał się do siebie, ręce zacierał a mruczał zadowolony.

— Głupie juchy jak te barany, myślą, że mnie wywiedły w pole kiej ciolaka, głupie.

Wrócił do kobiet wielce rozradowany, Jagusi w izbie nie było.

— Gdzież to Jagusia?

— Świniom ponieśli żarcie! — objaśniła Nastka.

Pogadywał wesoło, żartował z Jaśkiem, to z Dominikową, a coraz niespokojniej czekał na żonę, bo jakoś

długo nie przychodziła, nic nie dał znać po sobie i wyszedł w podwórze. Chłopaki w stodole na klepisku szykowali sanie na jutrzejszą jazdę, bo trza było na płozy włożyć półkoszki i umocować. Obejrzał, pogadał, zajrzał do koni, zajrzał do świń, to do obory — Jagny nigdzie nie było. Przystanął pod okapem w cieniu nieco i czekał. Noc była ciemna, wiatr się zrywał zimny i szumiał, wielkie, ciężkie chmury gnały po niebie stadami, śnieg przyszył chwilami.

Może w pacierz abo i dwa cień jakiś zamajaczył w przejściu od przelazu — stary się szybko wysunął, przyskoczył i szepnął ze wściekłością:

— Gdzieżeś to była, co?

Ale Jagna, choć się wystraszyła zrazu, odrzekła urągliwie:

— Obaczcie, łącno za wiatrem traficie! — i poszła do chałupy.

Nic już o tem w domu nie zaczynał, a gdy się szykowali do spania, powiedział dobrotliwie i całkiem miętko, nie podnosząc oczów na Jagnę.

— Chcesz to jutro bieżyc do Kłębów?

— Kiej nie bronicie, to z Józką pójdziemy.

— Chcesz, to cię nie wstrzymuję... ale do sądu pojedę, dom zostanie na boskiej opatrności, lepiej byś w chałupie ostała...

— A bo to nie wróćcie do zmroku?...

— Widzi mi się, że chyba dopiero późno w noc... na śnieg się ma, daleko, nie pośpieszę... ale kiej się napierasz, idź, nie wzbraniam...

IX.

Już od wczesnego rana miało się na kurzawę; dzień nastął chmurny, wietrzny i wielce swarliwy, śnieg prószył drobny, suchy a ostry kiej kasza ledwie przetarta w żarnach, porówno zaś zrywał się coraz mocniejszy wiatr, hukliwy sielnie i kołujący niespodzianemi nawrotami, że jako ten pijanica taczał się na wszystkie strony, skowyczał, przegwizdywał a śniegami niecił zapalczywie.

Nie bacząc jednak na pogodę, zaraz z pierwszego południa, Hanka ze starym Bylicą, a z nimi jeszcze parę komornic, wybrali się po susz do lasu.

Czas był nieopowiedzianie przykry; wiatr tłukł się po polach, ciepłał drzewinami, hurkotał po wsi, a co trochę podrywał tumany śniegów, zakręcał z poświstem i wytrzepywał je nad światem, kieby te chusty pełne białych a klujących paździerzy, że wszystko topiło się w nierozpoznanej mątwie i świstach.

Zaraz za wsią poszli gęsiego przywianemi miedzami, ku borom, ledwie czubami widnym w kurzawie a jeszcze dalekim.

Wiatr wzmagał się jeszcze, bił ze wszystkich stron, tańcował, kręcił i łak w nich siepał, że ledwie mogli się utrzymać na nogach, przyginali się ino barzej ku ziemi, a on zabiegał z przodu, darł suchy śnieg pomieszany z piaskiem i prażył w twarze, aż oczy trza było przysłaniać.

Szli w milczeniu, jako że wiatr zatykał i rwał słowa, a postępując nieco i ręce rozcierając śniegiem, bo

ziąb był przenikliwy i nawskróś lichą przyodziewę przejmował i zasy py czyniły od kamionek, to od drzew i groblami zastępowały, że każdą trza było wymijać, nakładając niemało drogi.

Hanka szła na przedzie, często się obzierając za ojcem, któren skulony, z okręconą w zapaskę głową, w starym kozuchu Antkowym, przepasany powrósem, włókl się na końcu, ledwie się poruchając pod wiatr, zatykało go ciągiem, przystawać musiał co trochę, by wychnąć i obetrzeć załzawione od wiatru oczy, potem zaś w dyrdy śpieszył, cicho pojękując:

— Idę Hanuś, idę... Nie bój się, nie ostanę!

Juści, wolałby pozostać na przypiecku, wolał, ale cóż, kiej ona biedaczka szła, śmiałby to ostać! a i w chałupie ziąb nie do wstrzymania, dzieci skwierczą z zimna, warzy już nie było przy czem zrobić, że jeno suchego chleba pojedli... a tu zimny wiatr tak przebiera po kościach, kieby temi lodowemi palicami... przemyśliwał, dyrdatając za nimi.

Pewnie, że kiedy mus ułapi za łeb, nie wyslizgniesz się człowieku, nie.

To Hanusia jeno zasiekała zęby i szła ano po drzewo razem z komornicami. Prawda, na to już zeszło, że w parze z Filipką, z Krakaliną, ze starą Kobusową i Magdą Kozłową, z temi największemi biedotami w jeden rząd, razem.

Wzdychała jeno ciężko, zacinała zęby, a szła i to nie po raz pierwszy, nie.

— A niechta! A niechta! — szeptała twardo, moc w sobie wzbierając i cierpliwość.

Trzeba, to chodzi po drzewo, dyguje na plecach, w jeden rząd z dziadówkami jak Filipka stawa, a płakać nie będzie, ni żalić się nie będzie, ni o poratunek zabiegać.

Gdzie to i pójdzie? Dadzą chyba, ale to jakie słowo litościwe, od którego dziw krew nie tryśnie z serca... Pan Jezus ją doświadcza, krzyże zsyła, to może kiedyś i wynagrodzi... A niechta, przetrzyma wszystko, nie pomarnuje się z dziećmi i rąk nie opuści, a na politowanie ludzkie ni pośmiewisko się nie da!

Wycierpiała się ona ostatnimi czasy tyła, że każda kosteczka trzęsła się w niej i łamała zosobna z tego bolenia — wycierpiała!

Nie to, że bieda i poniewierka, że często głód, iż ledwie dzieciom starczyło, nie, że Antek w karczmie przepijał z kamratami, o dom nie stał a kiej ten pies zwleczony chyłkiem się do chałupy wsuwa i na jakiebądź słowo napomknienia za kij chwyta — bywa to bowiem nierzadko i gdzie indziej możnaby odpuścić; ot przyszła na niego taka zła godzina, to aby jeno cierpliwie przeczekać, przejść jeszcze może. — Ale tego przewierstwa nie mogła mu zapomnieć, przeboleć i darować!

Nie, nie poredziła. Jakto, ma żonę i dzieci, a o wszystkim zapominała tamtej... To ją kieby rozpalonemi obcęgami ścisnęło za serce, przegryzało nawskróś i rozrastało się w niej piekącą, nieustępliwą pamięcią.

— Za Jagną lata, ją miłuje, przez nią to wszystko!

Zdało się jej, że zły idzie pobok a wciąż szepta do ucha te straszne przypominki, nie uciec od nich ni za-

— pomnieć, nie! Ból poniewierki dusznej, poniżenia, wstyd, zazdrość, pomsta i te wszystkie jędze nieszczęścia, wsadzały kolczate lby do jej serca i tak szarpały, że choćby krzyzczyć w niebogłósy a łbem tłuc o ścianę!

— Zmiłuj się Panie, pofolguj Jezu! — jęczała w sobie, podnosząc rozpalone nigdy nie wysychającemi łzami oczy ku niebu.

Zaczęła przyspieszać kroku, bo tak wiało na tych podleśnych wyżniach, że już nie mogła wytrzymać z zimna; baby zaś ostawały nieco i szły wolno, kiej te czerwone kłęby ledwie widne w kurzawie, a bór już był niedaleko; gdy tumany opadały na chwilę, wyrastał nagle z bielizny ogromną, ciemną ścianą pni zwartych, przez które mroczały ciche, lodowate głębie.

— Chodźcie prędzej, w lesie będzieta odpoczywały! — nawoływała niecierpliwie.

Ale kobietom się nie śpieszyło, odpoczywały często, przykucając na śniegu, głowami od wiatru, kiej to stado kuropatew i rajcowały zcicha, zaś na jej wołania Filipka mruknęła niechętnie.

— Hanka gania jak ten pies za wroną i myśli, że rychlej co złapie.

— Na co to jej zeszło chudziaczce — szepnęła współczująco Krakalina.

— Nawygrzewała się dosyć w Borynowej chałupie, najadła tłusto, nasmakowała dobrości, to może teraz i biedy popróbować. Człowiek całe życie przymiera głodem, haruje jak wół, a nikt nawet nie polituje.

— A przódzi to nas nawet nie pozdrawiała...

— Mościewy, chleb daje rogi, a głód nogi, powiedają.

— Chciałam kiejś pożyczyć terlicy, powiedziała, że ma la siebie.

— Prawda, że ona ta otwartej ręki la ludzi nie miała, wynosiła się nad drugie, jak wszystkie Boryny, ale szkoda kobiety, szkoda.

— Po sprawiedliwości, ale ten Antek łajdus, no.

— Juści, że łajdus, juści. Ale i to wiadomo, że kiej suczka nie chce, pies nie weźmie, każdy chłop poleci, jak go kiecką przywabią.

— Gdyby na mnie padło, na środku drogi zdarła-bym Jagnę za łeb, a wyzwała, a skleła, a kudłów nacza-sała, żeby całe życie pamiętała.

— Przyjdzie i do tego, jeśli czemś gorszem się nie skończy!

— To już takie Paczesiowe nasienie, a Domini-kowa nie insza była, nie.

— Chodźma; wiatер nisko podbiera, to na noc może ustać.

▪ Dowlekli się wnet do lasu i porozchodzili a blisko, by móc się skrzyknąć łącno do powrotu.

Mrok ich ogarnął i pochłonał całkiem, że ledwie gdzie niedzie ślad jaki ostał.

Bór był stary, ogromny, wyniosły; sosna stała przy sośnie nieprzeliczoną ciżbą, gęstwą nieprzebraną a tak śmigłą, prostą i mocarną, że widziały się kiej te wiel-gachne słupy z opleśniałej miedzi, majaczące w mroku szaro-zielonych sklepień nieprzejrzanemi rzędami — po-sępne, lodowe brzaski były z dołu od śniegów, zaś w gó-

rze, przez strzępiaste konary, niby wskrós zdiurawionych strzech, świeżało niebo białawe i mętne.

Wichura przewalała się górą, że czasami cichość się czyniła jakby w kościele, kiedy to zmagła organy zmlkną i śpiewy ustana — a jeno szemrzą wzdychy ostatnie, tupoty, pogasłe brzmienia pacierzów i te przytajone, konające nuty — bór stawał wtedy nienuchomy, oniemiały, jakby wsłuchany w grzmotliwą wrzawę, w ten dziki krzyk pól tratowanych, co rwał się gdziesik ze świata i niósł wysoko, daleko, że tylko jękliwym świegotem drgał po lesie.

Wnet jednak wichur uderzał w bór całą mocą, wszystkimi kłami trzaskał o pnie, wżerał się w lute głębie, porykiwał w mrokach, targał olbrzymami, ale na darmo, nie przemógł, bo wyzbyty z sił, opadał, głuchnął i marł ze skowytem w gęstych, przyziemnych krzaczach — a las ani drgnął, ni jedna gałąź nie trzasnęła, ni jeden pień się zakolysał, cichość była jeszcze głębsza i bardziej przerażająca, że tylko ptak jaki niekiedy załopotał wskrós mroków.

A czasami znowu wichura spadała tak nagle, niespodzianie i potężnie, jak ten jastrząb spada zgłodniały, tak łomotała skrzydłami, rwała wierzchoły, gnioła i rozwalala wszystko ze wściekłym rykiem — aż bór drgał jakby przebudzony, otrząsał się z martwoty, chwiał z końca w koniec, drzewa kolebały się od drzew, pomruk leciał groźny, przyduszony i zmagła bór się prostował, podnosił, szedł jakby, przyginał ciężko i uderzał ze strasznym krzykiem, a bił już jak ten moczarski oślepy gniewem i pomstą, że wrzask się zrywał, bój napelniał

las, strach padał na wszystkie stworzenia przyczajone w podszyciach, a oszalałe z trwogi ptactwo tłukło się wśród śniegów, lejących się wzburzonymi strugami, i wśród podruzgotanych gałęzi i wierzchołów.

A potem nastawały długie, zgoła martwe cisze, w których słyhać było wyraźnie jakieś dalekie, ciężkie łomoty.

— Las rąbią przy Włuczyczych dolach, gęsto się wali — szepnął stary, nasłuchując nad ziemią głuchych drgań.

— Nie marudźcie, do nocy siedzieć nie będziemy.

Zaszyli się w wysoki, młody zagajnik, w taki gęszcz splełanych i zwartych ze sobą gałęzi, że ledwie się mogli przecisnąć do środka, cisza ich otoczyła grobowa, żaden głos się już tam nie przedzierał, nawet światło jeno z trudem sączyło się przez grubą pokrywę śniegów, wiszącą na czubach niby dach. Ziemista, spopielała szarość zapelniała głębię, śniegu prawie nie było na ziemi, a tylko opadły zdawna, zwietrzały susz zasćielał miejscami po kolana, kajś niekajś zieleńły się półka jagodziny albo muchar zaschnięty.

Hanka obłamywała kulką co grubsze gałęzie, przycinała je do jednego wymiaru, układając w rozpostartą płachtę, a robiła tak zapalczywie, aż chustkę zrzuciła z gorąca i może w jaką godzinę narychtowała takie brzemiono drewek, iż ledwie mogła je sobie zadać. Stary też narządził pęk niezgorszy, obwiązał sznurem i włókł go, rozglądając się za pniem, by z niego ładniej wziąć na plecy.

Hukali na kobiety, ale w dużym lesie znowu się srożyła wichura, to się i nie skrzyknęli.

— Hanuś, do topolowej nam się przebrać, lepiej będzie, niżli przez pola.

— To chodźmy, pilnujcie się mnie i daleko nie ostajcie.

Wzięli się zaraz z miejsca na lewo, przez kawał starej dębiny, ale ciężko było, śnieg leżał po kolana, to gurbił się miejscami w zagony, bo drzewa stały rzadko i bez liści, tyle, że gdzieś niegdzie wśród rozłożystych potężnych konarów trzęsły się siwe brody, tu i owdzie jaki młody dąbek, pokryty zrudziałymi kudłami, przygiął się do ziemi ze świstem. Wiatr dał z całej mocy i tak kurzył śniegami, że iść było niepodobna, stary się wnet zmęczył i ustał, a i Hance sił brakowało, to jeno wspierała się brzemieniem o drzewa, wystrachanemi oczami szukając lepszej drogi.

— Nie przejdziemy tędy, a za dębiną mokradła, nawróćmy do pól.

Jakoż nawrócili w duży i zwarty las sosnowy, gdzie ciszej było nieco i śniegi nie zalegały tak wysoko, a pokrótce wyszli na pola — ale tam szły takie zakurki, że światła nie rozpoznał nawet na to śmignięcie kamieniem, nic, jeno biała, rozkłębiona, przewalająca się ćma. Wicher zaś wciąż parł ku borowi, odbijał się kiej od ściany, przewalał wznak na pola, ale stawał niezmożony, zgarbiał całe góry śniegów i niby tą białą chmurą prał w drzewa, aż jęk leciał po lesie, a tak mącił, zakręcał i bił że ledwie weszli na zagony, starego ciepnał o ziem,

aż dźwigać go musiała, sama ledwie mogąc się utrzymać na nogach.

Wrócili do boru i przykucnąwszy za pniami, medytowali, któredy pójść, bo całkiem już niewiada była, w jaką stronę się obrócić.

— Tą dróżką na lewo, a wyjdziemy niechybnie do topolowej, przy krzyżu.

— Kiej całkiem nie baczę tej dróżki.

Tłumaczył długo, bo się bała puścić na niepewne.

— A miarkujecie aby, w jaką stronę się wziąć?

— Od lewej ręki widzi mi się.

Powlekli się wzdłuż lasu, pobrzeżem, skrywając się nieco od naporu wichury.

— Chodźcie prędzej, nocy tylko co patrzeć.

— Jeno tego powietrza złapię i letę Hanuś, letę...

Juści, nie letko się im było przebierać, dróżkę całkiem zasypało, a do tego z boku, od pół, wciąż grzmocił wicher i ciepła śnieżycą; próżno się chronili za drzewa, to przywierali jak te zajęczki pod jałowcami, wszędzie przewiewało do kości, zaś głębią straszno było iść, drzewa szumiały dziko, cały las się kolebał i prawie ziemię zamiatał konarami, gałęzie siekły po twarzach, to czasami z takim traskiem padały chojary, iż się wydawało, jako cały bór runie zdruzgotany.

Biegli też, co ino sił i tchu starczyło, aby rychlej dopaść drogi i zdążyć przed nocą, która mogła spaść leda chwila, bo już szarzało nieco na polach i wskroś skołtunionych śniegów przewijały się ślepe smugi, kieby te dymy jeszcze nikłe.

Dorwali się wreszcie drogi i padli pod krzyżem, ledwie żywi z utrudzenia.

Krzyż stał na skraju lasu, tuż przy drodze, broniły go od boru cztery ogromne brzozy w białych gźlach, z obwisłemi niby warkocze gałęziami, na czarnem drzewie był rozkrzyżowany Chrystus z blachy, pomalowanej w takie kolory, że jak żywy się widział; snadź wiatr odewał go, bo wisiał tylko na jednej ręce, trzaskał sobą o drzewo i skrzypiał zadrzewiałym głosem, jakby litości prosił i poratunku. Brzozy targane wichurą okrywały go ciągiem sobą, trzęsły się, przyginały, a śniegowe tumany zasypywały kurzawą, że stał cały w mgłach, przez które migotało Jezusowe sine ciało i jego blada, okrwawiona twarz wychylała się raz po raz z bielizn, aż się luto robiło na sercu.

— Stary spoglądał nań z przerażeniem, żegnał się, ale nie śmiał się odezwać, bo Hanka miała twarz srogą, zaciętą, nierozpoznaną, jak ta noc, co już szła przyczajona wskrós wichrów, śniegów, tumanów — wskrós świata.

Zdawała się nic nie widzieć i na nic nie baczyć, siedziała zatopiona w mrocznych myśleniach, a wciąż o jednym: o Antkowem przენiewierstwie; tuman się w niej kłębił pełen okrwawionych wzdychów jako to Jezusowe ciało na krzyżu, pełen zakrzepłych w lód a palących łez, pełen żywych, a zapiekłych w boleści głosów.

— Wstydu nie ma, Boga się nie boi, toć jakby z rodzoną matką się sprzągł! Jezus! Jezus!

Zgroza ją poderwała kieby huragan, strach nią zatrzęsł, a potem zawrzała gniewem tak dzikim i mściwym,

jak ten bór, co się był przygiął naraz i rzucił rozsrożony na wicherę.

— Chodźmy prędzej, chodźmy! — wołała, zarzucając brzemię i przygięta pod ciężarem, weszła na drogę, nie oglądając się za starym, poganiała ją niezmożona, zawzięta złość.

— Zapłacę ci za wszystko, zapłacę! — skowyczała dziko, kiej te topole nagie, rozkrzyczane, zmagające się z wicherą.

— Dostyc już tego, a to i kamień jużby się rozpękl, gdyby go robak taki przewiercał! Antek chce, to niech przepada, niech w karczmie przesiaduje, ale swojej krzywdy nie daruję, nie, zapłacę jej za wszystko! Zgniję za to w kreminalu, to zgniję, ale jużby sprawiedliwości na świecie nie było, żeby taka spokojnie chodziła po świętej ziemi... — przemyślała srogo, ale zwolna przygasaly w niej złości i bladły, kiej te kwiaty na mrozie, bo sił zaczynało brakować, ciężar ją przygniatał, sęki wpijaly się w plecy i chociaż przez zapaskę i kaftan a wgniatały się w żywe mięso, ramiona ją strasznie bolały, a zaś ten węzeł płachty, zakręcony w kij, wrzynał się w gardziel i dusił, szła coraz wolniej i ciężej.

Droga była kopna, zawalona zaspami i otwarta na przestrzał la wiatrów, że topole z obu stron ledwie były widne w kurzawie, stały chwiejnym, nieskończonym szeregiem, szumiały rozpacznie, targając się kiej te ptaki poplątane we wnykach, bijące na oślep skrzydłami, rozkrzyczane. Wicher jakby już tracił na mocy, przycichał górą, ale natomiast coraz wścieklej tarzał się na polach, z obu stron drogi, na równiach, w poszarzałych i mętnych

dalach kotłowała wciąż zawieja, tysiące wirów zawodziło djabelski tan, tysiące kłębów zrywało się z ziemi, toczyło, narastało, kieby te wielgachne białe wrzeczona furkoczące, tysiące kup ogromnych, stogów powichrzonych, grobel szło po polach, ruchało się, kłębiło, w oczach rosło, podnosiło w górę, sięgało zda się z nieba, przysłaśniało świat i pękało ze świstem i wrzawą. Jakby tym kotłem gotującym się, przepelnionym białym wrzątkiem, rozkipionym, okrytym osiedzielizną i parami lodowemi, widziała się cała ziemia. A zewsząd, wraz z nocą szło tysiące głosów, podnosiły się z ziemi, syczały górą, grzmiały wszędzie, jakieś poświsty kieby batami siekły naokół, to grania nierozeznane drgały nad ziemią, to szумы borów huczały niby ta organowa muzyka w czas podniesienia, to jakieś krzyki, długie, żałosne rozdzierały powietrze, jakby krzyki ptaków zbłąkanych, jakieś skowyczące, straszne łkania, to chichoty, to te ostre, suche poświsty topoli, kołyszących się w mętnych, białawych kurzawach, niby straszne majaki z powyciąganemi ku niebu ramionami!

Nic nie rozeznał i na krok jeden, że Hanka omackiem prawie się wlekła od topoli do topoli, odpoczywała często, z przerażeniem nasłuchując tych głosów.

Pod jakąś topolą czerniał przyczajony zajaczek, którego na jej widok rymnął w zawieję, że go porwała jakby w pazury, aż bek się rozległ bolesny w kurzawie. Patrzała za nim z politowaniem, bo już ruchać się nie mogła, przyginała się coraz niżej i ledwie nogi potrafiła wyciągać ze śniegu, tak ją przygniatało to brzemię, iż zdawało się jej chwilami, jako dźwiga na sobie zimę,

śniegi, wichry, cały świat zgoła, i że zawsze tak szła śmiertelnie wyczerpana, ledwie żywa z utrudzenia, z okrwawioną, przesmutną duszą w sobie i zawsze do końca świata tak wlec się będzie, zawsze. Strasznie się jej dłużyło, droga jakby nie miała końca, a ciężar tak przygniatał, iż coraz częściej przywierała pod drzewami i coraz dłużej siedziała omroczona, na pół przytomna, chłodziła śniegiem rozpaloną twarz, przecierała oczy, trzeźwiła się, jak mogła, a wciąż jakby zapadała na samo dno tej rozkrzyczanej, lutej rozwiei żywiołów. Jeno popłakiwała żałośnie, lzy same się lały, tryskając z tych najgłębszych, utajonych smutków człowieczych, z samego dna serca rozdartego, z tego skrzybotu ginących bez ratunku; czasem zaś, ale rzadko, bo zapominała o wszystkim, modliła się, szeptała pacierze jęklwym głosem, ćwierkała je w sobie porwanemi słowy, kiej ten ptaszek marznący, która tylko kiejś niekiedy zatrzepie skrzydłem, a że już mocy nijakiej nie ma, to przysiada, tuli się, piuka i wraz zapada w coraz głębszą senność!

Drgała naraz, porywając się z miejsca wystraszona, zdało się jej bowiem, iż słyszy jakieś płakania i przyzywy dziecińskie, jakby to jej Pietruś wołał!...

I biegła znowu całą mocą, potykała się o zwaly, płątała w zaspach a szła gnana trwogą o dzieci, która wstała w niej znagła i kieby biczem popędzała, że już nie czuła zmęczenia ni zimna.

Z wiatrem dobiegło ją jakieś dzwonienie, brzęk orczyków i głosy ludzkie, ale tak rozpadłe, że choć przystanąła, nasłuchując, nie zebrała ni słowa, ktoś jednak

jechał za nią i był coraz bliżej, aż się wyłoniły z kurzawy lby końskie.

— Ojcowie! — szepnęła, dojrzwawszy białą łysicę zrebicy i ruszyła, nie czekając.

Nie omyliła się, Boryna to powracał ze sądów z Witkiem i Jambrożym; jechali zwolna, gdyż przez zaspę ledwie się było można przekopać a nawet w gorszych miejscach musieli konie przeprowadzać za uzdy; snadź byli niezgorzej napici, bo rajcowali z prześmiechami głośnemi a Jambroży często podśpiewywał po swojemu, nie bacząc na zamieć.

Hanka ustąpiła z drogi, naciągając chustkę barzej na oczy, ale mimo to, stary przy wymijaniu poznał ją zaraz z pierwszego rzutu i przyłożył koniom po bacie, by prędzej przejechać. Szkapy poderwały się z miejsca i wnet utknęły w nowej zaspie; wtedy obejrzał się i wstrzymał konie, a gdy się wyłoniła z kurzawy i zrównała z saniami, powiedział:

— Zwał drzewo w półkoszki, przysiądź, podwiezę cię.

Tak była nawykła do ojcowych przykazałów, że spełniła wszystko bez wahania.

— Bylicę zabrali Bartek, siedział ano pod drzewem i płakał, jadą za nami.

Nie odrzekła, zapatrzona ponuro w mątwe nocy i kurzawy, jaka się srożyła dookoła, siedziała skulona na przednim siedzeniu, dygocząc z utrudzenia i nie mogąc jeszcze myśli pozbierać, a stary przyglądał się jej długo i uważnie. Zmizerowana była, że aż litość brała patrzeć na jej twarz wychudzoną, siną, podmrażaną,

oczy miała zapuchłe od płaczów a usta zacięte boleśnie, trzęsła się cała z umęczenia i zimna, próżno obtulając w podartą chuścinę.

— Powinnaś się ochraniać, w takim stanie nie trudno o chorobę...

— A któż to za mnie zrobi! — szepnęła cicho.

— Na taki czas wybierać się do boru!

— Drzewa zbrakło, warzy nie było przy czym zgotować...

— Chłopaki zdrowe?

— Pietruś chorzał bez parę niedziel, ale już tak całkiem wydobrzał, że teraz dwa razy tyleby jadł — odpowiadała śmiało, budząc się z odrętwienia, odsłoniła z twarzy chustę, spojierając mu prosto w oczy bez dawnego lęku i zestrachanej pokorności, stary zaś wciąż zagadywał i pytał a zdumiewał się wielce nad jej przemianą, nie mógł się bowiem doszukać dawnej Hanki. Dziwny, mrozący spokój bił od niej, a jakaś moc skamieniała, nieustępliwa widniała w jej zaciętych wargach. Nie przerażał ją jak dawniej, mówiła niby z równym a obcym o różnych rzeczach, nie skarżąc się ani słówkiem, nie żaląc... Odpowiadała prosto, do składu a głosem dziwnie surowym, przecierpianym i przez to jakby stężałym w chropawą grudę utajonych boleń, jeno w oczach niebieskich, wyplakanych tliło się ostre zarzewie czującej mocno duszy.

— Odmieniłaś się, widzę.

— Bieda łatwiej przekuwa człowieka, niżli kowal żelazo.

Zdumiał się nad odpowiedzią, że nie wiedział, co

na to rzec, więc zwrócił się do Jambroża mówić o sprawie ze dworem, którą, wbrew zapewnieniom wójta, przegrał i jeszcze koszty musiał zapłacić.

— Odbierę se com stracił, odbierę... — mówił spokojnie.

— Trudno to będzie, dwór ma długie ręce i wszędzie poradzi się zastawić.

— I na zastawę jest sposób, na wszystko jest sposób, by ino cierpliwość mieć i poczekać na porę.

— Wasza prawda, Macieju, ale też ziąb, no, wartaloby do karczmy na rozgrzewkę wstąpić.

— Wstąpimy, ma być kwaśno, niech będzie kiej ocet. Ale powiedam wam, że ino kowal musi kuć żelazo, póki gorąc trzyma, człowiek, jeśli chce co wygrać, na zimno musi kuć dolę a w cierpliwości hartować.

Dojeżdżali do wsi, mrok się już był zrobił gęsty i wichura przechodziła, kurzyło jeszcze galanto po drodze, że domów nie rozpoznał, ale zwolna przycichało na świecie.

Na wprost dróżki do chałupy stary wstrzymał konie i gdy wysiadła, pomagał jej wziąć brzemię na plecy, a wreszcie rzekł zcicha do niej tylko:

— A zajrzyj do mnie którego dnia, choćby jutro. Miarkuję, że musi być z wami krucho, ten lajdus przepija wszystko a ty pewnikiem mrzesz głodem z dziećmi.

— Wygnaliście nas, to gdziebym zaś śmiała przyjść...

— Głupiaś, jensza to rzecz, nie twoja, mówię ci, przyjdź, znajdzie się jeszcze i dla was.

Pocałowała go w rękę i odchodziła bez słowa; tak

ją ułapilo rozrzewnienie za grdykę, że głosu nie mogła wydobyć.

— Przyjdiesz to? — zapytał za nią dziwnie miętko i ciepło.

— Przyjdę. Bóg wam zapłać, kiej przykazujecie, to przyjdę...

Popędził konie i zaraz skręcał przed karczmę, a Hanka, już nie czekając na ojca, którego akuratnie wysiadał z Bartkowych sani, poleciała do chałupy.

W izbie było ciemno i tak zimno, że gorzej się widziało, niżli na dworze, dzieci spały pokulone w łóżku pod pierzyną, zakrzatnęła się żwawo koło warzy i obrządków; a wciąż przemysłiwiała o tem dziwnem spotkaniu z Boryną.

— Nie, żebyś skapiał, nie przyjdę, dałby mi Antek! — wykrzyknęła ze złością, ale równocześnie i inne, bardzo spokojne myśli przychodziły a z niemi i bunt srogi przeciwko mężowi.

Jakże, przez kogóż to wycierpiała najwięcej, jeśli nie przez niego!

Stary zapisał grunt tej świni i wygnał ich, prawda, ale Antek go pierwszy pobił i zawsze czekał na niego, to się i ozeźlił... Miał prawo, każdyby to zrobił, grunt jego i dzieciński, ale póki żyje, jego wola dać lub nie. A jak to miętko powiedział: Przyjdź! o dzieci pytał, o wszystko! Juści, a i pół tej biedy i poniewierkiby nie było, gdyby się Antek nie sprzął z tą suką, temu stary nie winowaty, nie.

Rozmyślała różnie i tłumaczyła i coraz bardziej ustępował z niej gniew do starego.

Przywlókl się i Bylica tak przemarzyły i zmęczony srodze, że z dobrą godzinę rozgrzewał się przed komi-
nem, nim zaczął opowiadać, jako już był całkiem ustał
a możeby i zamroził się na śmierć pod drzewem, gdyby
nie Boryna.

— Dojrzał mnie i chciał brać na sanie, ale gdym
mu rzekł, iżeś przodem poszła, ostawił mnie Bartkowi
a sam pognął konie, by cię dogonić...

— Tak było? Nic mi o tem nie powiedział.

— Kwardy on jeno z wierzchu, la niepoznaki.

Po kolacji, gdy dzieci nakarmione do syta, poobtu-
lane w pierzyny, znowu zasnęły, Hanka siadła przed
ogniem do przedzenia resztek wełny organiścinej a stary
wygrzewał się wciąż, spoglądał nieśmiało, chrząkał,
zbierał odwagę, aż wkońcu zaczął lękliwie:

— Zrób z nim zgodę, na Antka się nie oglądaj
a ino siebie i dzieci miej na widoku.

— Łacno to powiedzieć.

— Kiedy on pierwszy przystąpił do ciebie z dobrem
słowem, poniechał złości. Tam u niego w chałupie pie-
kło... nie dziś, to jutro Jagnę wygoni i ostanie sam...
Józka nie poredzi w tylem gospodarstwie, stary jeszcze
nie jest, ale też wszystkiego nie zrobi, nie dojrzy... dobrze,
byś jego łaskę na ten czas miała... a toś zabiegać po-
winna... Byłabyś mu pod ręką w sposobną porę... to
niewiada, jakby się stało... możeby przyzwał z powro-
tem... nie zdzierzysz tej biedzie, nie...

Opuściła na te słowa wrzeciono, wsparła głowę
o przesłicę i zadumała się głęboko nad swoją dolą, roz-
ważając powoli rady ojcowe.

A stary przyszykował sobie spanie i cicho zapytał:

— Mówił w drodze z tobą?

Opowiedziała, jak było.

— To idź córko, bieżyj choćby zaraz jutro, staw mu się, kiej przyzywa, bieżyj... bacz ino na siebie i dzieci... starego się trzymaj... oczami mu świeć... dobrą mu bądź... pokorne ciele dwie matki ssie... złością jeszcze nikto świata nie zwojował... Antek jeszcze powróci do ciebie... opętało go złe i rzuca po świecie... ale wnet przejrzy i powróci... Pan Jezus podaje ci taką godzinę, by z biedy wyciągnąć... to nikogo nie słuchaj a bieżyj...

Długo ją namawiał i przekonywał, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zmilknął pomarkotniały i narządziwszy sobie spanie, legł cicho, Hanka zaś przędła dalej, rozmyślając nad jego radami.

Czasem zaś wyglądała oknem, czy Antek nie wraca, ale nie było ani słyhu.

Siadała znowu do roboty, ale nie mogła prząść dzisiaj, nitka się rwała, to wrzeciono wypadło z palców, bo coraz pilniej rozważała słowa Borynowe.

— A może się tak stanie, może przyjdzie taka godzina, że ją przyzwie...

I zwolna, zwolna, kołująca jeszcze, pełna wahań wstawała w niej niezmożona chęć zgody i powrotu do starego.

— Troje nas cierpi biedę a niezadługo będzie czworo! Dam to wtedy radę, co?

Antka już nie wliczała, nie brała w rachubę w tej chwili, widziała tylko siebie i dzieci, sama się czuła gotową do stanowienia za wszystkich. Jakże, na kogo się

to spuści? Kto to pomoże, chyba Bóg jeden, albo i Boryna!

Zaczęła marzyć, że niechby się jeno dorwała zpowrotem gospodarstwa, niechby znowu poczuła ziemię pod nogami, to się tak przypnie do niej, tak weprze całą duszą i pazurami, że nic jej nie oderwie i nie zmoże. Nadzieja w niej rosła wraz z takim nabierem sił, aż ją rozpierało we środku od mocy, nieustępliwości a odwagi, ognie chodziły po niej, oczy się roziskrzyły... już się nawet czuła tam, u Borynów, rządziła wszystkim, gospodynią była...

Długo, może do samego północkska tak się rozmarzała, postanawiając równocześnie, że zaraz zrana, jak przykazywał, zabierze jeno dzieci i pójdzie do starego, choćby Antek nie wiem jak zakazywał, choćby ją nawet skatował, nie posłucha i pójdzie, a tej dobrej okazji nie popuści. Moc w sobie poczuła niezmożoną do walki choćby z całym światem, nie wahała się już, ni bała niczego!

Wyjrzała jeszcze na dwór, wiatr całkiem ustał, uspokoiło się zupełnie, noc była ciemna, że ledwie te śniegi szarzały, na niebie kłębiły się ogromne chmury i przewalały się kiej wody, od borów dalekich czy też z tej ciemnicy nieprzejrzonej szły jakieś głuche szумы.

Zgasila światło i szepcząc pacierze zaczęła się rozbiierać.

Naraz jakiś wrzask daleki, przytłumiony zadrgał w ciszy, rósł, rozlegał się coraz wyraźniej a wraz z nim i blask krwawy uderzył w szyby.

Wybiegła przed dom wystraszona.

Palilo się, gdziesik ze środka wsi buchaly słupy ognia, dymów i skier.

Dzwon zaczął bić na trwogę i krzyki się wznosiły.

— Gore! wstawajta, gore! — zakrzyczała do Stachów, przyodziała się naprędce i wypadła na dróżkę, ale zaraz prawie natknęła się na Antka, biegnącego pędem ode wsi.

— U kogo się pali?...

— Nie wiem, wracaj do chałupy.

— Może to u ojca, bo jakoś w pośrodku! — belkotała w trwodze śmiertelnej.

— Wracaj psiakrew! — ryknął, porywając ją przez siłę do izby.

Okrwawiony był, bez czapki, kożuch miał porozrywany, twarz osmoloną i dziki, nieprzytomny ogień w oczach.

X.

Tego samego dnia, po obrządkach a już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną prześlizgową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate swoje, albo w kumostwie będące. Przychodziły też w porę, jedna za drugą, nie zawodząc ni się zbyt opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do drugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachmikowa z klakiem wełny w zapasce i z wrzecionami

zapasowemi pod pachą; potem przysła Gołębowa, Mateusza matka, skrzywiona kiej po occie, z obwiązaną gembą, narzekająca wiecznie i ciągiem się skarżąca na wszystko; a po niej, niby ta rozgdakana, odęta kwoka, przysła Walentowa; po niej zaś Sikorzyna, chuda kiej mietła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzaciętsza; a po niej wtoczyła się gruba kiej beczka Płoszkowa, czerwona na gembie, spaśna, zestrojona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana jak mało która, ale ogólnie nielubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czająco kiej ten koczur Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła, i co miesiąc stawiała na sądy; a po nich wlaźła hardo, choć i nieproszona Kobusowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjacielstwa kiej ognia. Przysła jeszcze zasapana i zgoniona Grzeli z krzywą gembą kobieta, pijak baba, wykpis i fortelnica jakich mało a szkudnik w cudzem najgorszy! Przysła i stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową najwięcej w kościele przesiadująca; przysły i drugie jeszcze, insze, ale już tak wybrane, o których nie wiada co rzec, bo podobne sobie kiej te gąski w stadzie, że nie rozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu — a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czem która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami a niektóre z szyćciem, albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zesły po próżnicy, na rajcowanie.

Sadowiły się wielkiem kołem w pośrodku izby, pod lampą wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozrosłe, dostałe i późną jesienią owarzone, bo starsze już były prawie jednolatki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada, witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy; Kłęb zaś jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawil miłe słowa i sam stolki a ławy podsuwał..

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z niemi jeszcze parę dziewczyn, za któremi ściągali w pojedynkę parobcy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to cknilo się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyła się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolaly.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś parobkom Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem, w ziemię też już zapadał, przygarbił się kiej staruch i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwałił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą tylko, wrzecziona jeno furkotały i dudniły po podłodze a gdzie niegdzie i kółko warczało, ale niewiela, bo niedowierzały zbytym tym nowomodnym wymysłom, wołąc prząć po staremu na prześlicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków, wyrosłych jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powróśla przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwalala się po kątach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, by więcej było do śmiechów i zabawy.

Przyszedł wkońcu i wyczekiwany Rocho, a tuż za nim Mateusz.

— Wieje to jeszcze? — spytała któraś.

— Całkiem ustało i ma się na odmianę.

— Od borów coś huczy, pewnikiem przyjdzie odelga — dorzucił Kłęb.

Rocho siadł na uboczu do zastawionej miski, bo u Kłębów teraz dzieci nauczał, mieszkał i jadał, Mateusz zaś witał się z niektórymi, nie patrząc nawet na Jagnę, jakby jej nie dojrzał, choć siedziała w pośrodku i najpierwsza mu w oczy wpadła, uśmiechnęła się na to leciutko, nieznacznie stróżując oczami drzwi wchodowych.

— A wiało też dzisiaj, że niech ręka boska broni. Kobiety na pół żywe przywlekły się z lasu, a pono Hanka z Bylicą jeszcze nie powróciła — zagadnęła Sochowa.

— Juści, biednym to zawdy wieje w plecy — mruknęła Kobusowa.

— Na co to ano i tej Hance zeszło! — zaczęła Płoszkowa, ale spostrzegłszy, że na Jagnę uderzyły ognie, urwała prędko, zagadując czem innym.

— Jagustynki nie było? — zapytał Rocho.

— Płotkami ni obmową nie pożywi się u nas, to za nic ma taką kompanję.

— Pleciuch baba, tak dzisiaj najurzyła u Szymków, że sołtysowa skłęła się z wójtową i żeby nie ludzie, do biciaby przyszło.

— A bo jej pozwalają przewodzić.

— I ustępują kiej przed czem poczciwem.

— Nikto się nie znajdzie, żeby jej zapłacił za te ciągle swary i kłyźnienia.

— Przecie wiedzą wszyscy jaka, to czemu szczekaczowi wiarę dają.

— Juści, kto wymiarkuje, kiedy prawdę powie a kiej scygani!

— Wszystko jest bez to, że każda rada słucha na drugą — zakończyła Płoszkowa.

— Niechby się mnie czepiła, nie darowałabym! — wykrzyknęła Tereska żołnierka.

— Hale, jakby o tobie co dnia nie pyskowała po wsi... — szepnęła urągliwie Balcerkowa.

— Słyszeliście, powtórzcie! — zakrzyczała rozczerveniona, boć wiadomem było, że z Mateuszem dobrze się znała.

— Powtórzę, nawet prosto do oczów powiem, niech jeno twój z wojska powróci!

— Wara wam do mnie, ale, będą tu bele co powiadać!

— Nie drzyj się, kiej cię nikt nie zaczepia — zgromiła ją surowo Płoszkowa, ale Tereska długo nie mogła się uspokoić, mamrocząc cośik zcicha:

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho, aby zwrócić uwagę w inną stronę.

— Ino ich patrzeć, bo są u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już, idą! — zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni, bo kogut piał, owce beczwały, koń rżał, a przewodził im ktoś na piszczałce, wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlał chłopak, przyodziany w kozuch do góry wełną, z czapką wysoką, przysmolony na gembie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długim powrośle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kozuszanym łbem, z ruchającymi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wypalonym, do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone z grochowiny i wrazone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem ostremi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty na piszczałce przygrywający i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiedź pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokot, zabczał jak baran, zarżał niby ogier rozgrzany i zaczął wykrzykiwać:

— Niedźwiedniki my z kraju dalekiego, z za morza szerokiego, lasu wielgachnego! gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kielbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnie po wodach pływają i deszcze gorzałką padają; nie-

dźwiedzia my srogiego wodzim i po świecie chodzim!
Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne! tośmy przyszli z kraju dalekiego, z za Dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali, Amen.

— Pokażcie, co umiecie, a może się la was znajdzie co w komorze — rzekł Kłęb.

— Pokażemy wraz! Hej! graj piszczałko! tańcz Misiu! tańcz — zakrzyczał, kropiąc go kijem, a na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutą, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać, wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go powstrzymywał a pytał wokół prał, co wlażło i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści babo grochowy!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, uciesznie skakał, to dziewczyny brał w pół temi drewnianemi kulasami i ciągał w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedzniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwalila od tych wrzasków, gonów i śmiechów.

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słyhać było na drodze wrzaski i naszczekiwania psów.

— Któryż to udawał niedźwiedzia? — zapytała Sochowa, gdzie się nieco uspokoilo.

— A Jasiek Przewrotny, nie poznaliście to.

— Kiej pod tym łbem kozuszanym nie mogłam rozpoznać.

— Moiściewy, do figlów to rozum ma pokraka jedna — zauważyła Kobusowa.

— Powiadacie, jakby już Janek całkiem był głupi! — broniła go Nastka; Mateusz pomagał jej, opowiadając różności o nim, jako tylko nieśmiały jest, ale zgoła nie głupi, a tak bronił Jaśkowej sprawy, że nikto się nie przeciwiał, jeno domyślne, przytajone uśmiechy zaczęły latać po twarzach. Usadzili się znowu na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele jako najśmielszą, nacisnęła Rocha pod kominem i nuż go molestować i milić się przed nim, by opowiedział jaką historję, jak to u Borynów na jesieni...

— A pamiętasz to Józia, com wtedy powiadał?

— I jak! było to o tym Burku Panajezusowym!

— Rzeknę wam dzisiaj o królach, kiejście ciekawe!

Przysunęli mu stółek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkolem zwartych, pochylonych krzy, i zaczął prawić zwolna i nie głośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeczona warkotały a czasem ogień trzasnął na kominie, albo czyjś westchnienie zaszemrało — a Rocho opowiadał cudenka różne i historje o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie śpi wojsko zakłęte, czekające jeno zatrąbienia, by

się zbudzić i paść na nieprzyjacioly i pobić i ziemię ze złego oczyścić; o zamkach wielgachnych, gdzie złote izby, gdzie królewny zakłete w białych gzlach w księżycowe noce lamentują i wybawiciela czekają, gdzie w pustych pokojach co noc brzmi muzyka, zabawy idą, ludzie się schodzą, a niech kur zapieje, wszystko zapada i w groby się kładzie; o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze, co górami rzucają, gdzie skarby nieprzebrane, przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory, strachy, czary, dziwości! — a drugie jeszcze, insze, a cudne i wprost nie do wiary, że wrzeczona z rąk leciały a dusze się niesły w zaczarowane światy, oczy gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej lubości i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

A na końcu opowiadał o królu, którego panowie la prześmiewiska chłopskim królem przezywali, że to był pan ludzki, sprawiedliwy i dobro narodowi całemu czyniący: o jego wojnach srogich, tułactwie, przebieraniu się po chłopsku, w którem chodził po wsiach, w kumostwach się bratał, o złem się przewiadywał i krzywdy naprawiał i złości gasił, a potem, by już być za jedno z chłopami, to się ożenił z gospodarską córką z pod Krakowa a Zofja było jej na imię, dzieci z nią miał, na zamek powiódł krakowski i tam w długi wiek rządy sprawował jako ten ociec najlepszy narodu i pierwszy gospodarz!

Słuchali coraz pilniej, nie tracąc ani słowa i dech nawet tając w sobie, by ino nie przerwać tego różańca cudowności, Jagusia zaś całkiem nie mogła przuć, opa-

dły jej ręce, pochyliła głowę i wsparta policzkiem o kądziel, utopiła modre, olzawione oczy w Rochowej twarzy, któren się jej widział jako ten święty z obrazów zesły, boć i był podobien ze siwego włosa, z długiej białej brody i z tych oczu bladych, zapatrzonych gdziesik w zaświaty — słuchała go całą duszą, całą mocą czującego mocno serca i tak gorąco brała w siebie jego powiadania, że ledwie mogła dychać ze wzruszenia, widziała wszystko jak żywe i tam szła duszą, gdzie wiódł słowami, a już najbarzej chwytala ją za serce ta historja o królu i tej gospodarskiej córce. Jezus, jak się to jej ślicznem widziało!

— I to sam król tak żył z chłopami? — zapytał Kłab po długim milczeniu.

— Sam król;

— Jezus, umarłabym, gdyby król do mnie przemówił — szepnęła Nastka.

— Poszłabym za nim w cały świat za to jedno słowo! w cały świat! — wykrzyknęła namiętnie Jagna, przejęta takim mocnem a zapamiętałem wzruszeniem, że niechby się jawił w ten moment, niechby rzekł to słowo, a poszłaby jak stała, w tę noc, w ten mróz, w cały świat!

Opadli wnet Rocha pytaniami, a gdzie to zamki takie, wojska takie, te bogactwa, te moce, śliczności takie, króle takie, gdzie?

Więc opowiadał smutnie nieco a tak mądrze wraz prawdy różne i przykazania powiadał, że jeno wzdychali ciężko, medytując i rozważając pilnie te urządzenia na świecie.

— Jedno dzisiaj człowiekowe a jutro w Boskiej mocy! — rzekł Kłęb.

Rocho odpoczywał zmęczony, a że zaś wszystkich dusze ogarnięte były jeszcze onemi cudownościami, to zaczęli między sobą, cicho zrazu, a potem już dla wszystkich w głos opowiadać, co kto wiedział.

Jedna co rzekła, po tej druga, to i trzeciej się przypomniało i czwartej, a każda co nowego niesła, że snuły się one gadki jako te nici z kądzieli, jako ta miesięczna poświata, grająca farbami na poślepych, pomarłych wodach, przytajonych borach — to o topielicy, przechodzącej nocami karmić głodne dzieciątko — o upiorach, którym musiano w trumnach serca przebijać osikowymi kołkami, by z ludzi krwi nie wypijały; o południcach, duszących po miedzach, o drzewach gadających, o wilkołakach, o zjawach strasznych północnych godzin, strachach, wiśielcach, o czarownicach i pokutujących duszach — i o takich dziwnych, przerażających rzeczach, od których słuchania włosy się podnosiły, serca zamierały z trwogi, zimny dreszcz przenikał wszystkich, że milkli naraz, oglądając się trwożnie, nasłuchując, bo się wydawało, iż coś chodzi po pułapie, że cosik czai się za oknami, że przez szyby krwawią się jakieś ślepie i w ciemnych kątach kłębią się nierozpoznane cienie... aż niejedna zęgnęła się prędko, pacierz trzepiąc w cichości dzwoniącemi zębami... ale to rychło przechodziło, jak cień, gdy chmura słońce nakryje, że potem nie wiada nawet, czy był... i znowu powiadali, przedli a motali dalej one gadki nieskończone, którym sam Rocho pilnie się przysłuchiwał i nową historję rzekł o koniu...

— » Jeden biedny gospodarz pięciomorgowy, miał konia, ale tak narownego i próżniaka jak mało, próżno mu dogadzał, owsem pasł a niedogodził, koń robić nie chciał, upręże rwał i kopytami bił, że ani dostąpić... Pewnego razu zeżlił się chłop srodze, bo obaczył, że z nim dobrocią nie poradzi, założył go do pługa i począł umyślnie orać stary ugor, by go przemęczyć i do pokory nagiąć, ale koń ciągnąć nie chciał, sprął go tedy kozicą co wlazło i przymusił, koń robił, jeno że sobie to miał za krzywdę i zapamiętał dobrze, aż i wyczekał na porę sposobną, kiej gospodarz razu jednego schylił się, by mu pęta zdjąć z kulasów, trzasnął go zadniemi kopytami i na miejscu zabił, a sam w cały świat pognął, na wolność!

Latem było mu niezgorzej, w cieniach się wylegiwał i w cudzych zbożach wypasał, ale skoro nadeszła zima, spadły śniegi, mróz chwycił, paszy brakło i ziąb przejmował go do kości, to popędził znowu dalej szukać strawy, leciał tak dnie i noce, bo wciąż była zima, śniegi i mrozy, a wilki tuż za nim, że mu już niejedyn dobrze boków pazurami zmacał!...

Bieży, bieży, bieży aż i wyszedł na kraj zimy, w jakąś łąkę, gdzie ciepło było, trawy po kolana, źródelka bełkotały i skrzyły się w słońcu, cienie chłodne chwiały się nad brzegami i wiaterek miły przeciągał, wparł się wnet w trawę i dalej zreć, boć zgłodniały był do cna — ale co chyci zębami trawy, to ino ostre kamienie przegryza — trawa zniknęła! — wody chciał popić — nie było, ostało jeno blocko śmierzące! położyć się chciał w cieniu — cienie odlatywały a słońce żarło żywym ogniem! Cały dzień się tak trudził i na darmo. Chciał już

wrócić do borów, borów nie było! Zarżało konisko boleśnie, odpowiedziały mu jakieś konie zdala, powłókł się za głosem i wkońcu dojrzał za łąkami jakiś dwór sielny, jakby cały ze srebra, szyby miał z drogich kamieni, a strzechę kieby z nieba nabitego gwiazdami, ludzie tam jakieś chodzili. Powłókł się do nich, bo już wołał nawet pracować ciężko, niżli z głodu marnie ginąć... Przystojal na skwarze dzień cały, bo nikto z uzdą do niego nie wyszedł, dopiero o wieczornym czasie wychodzi ktosik ku niemu, jakby sam gospodarz! Jezus ci to był, on gospodarz przenajświętszy, on Pan niebieski i rzecze:

— Nic tu po tobie wałkoniu i zabijaku, jak błogosławić będą ci, co cię teraz przeklinają, każę cię wpuścić do stajni.

— Bił me, tom się bronił!

— Za bicie przedemną sprawa, ale i sprawiedliwość ja w ręce trzymam.

— Takim głodny, takim spragniony, takim obolały! — jęczało konisko.

— Rzekłem swoje, ruszaj precz, wilkom cię każę jeszcze szczuć i poganiać...

To i zawróciło konisko do zimowego kraju i wlekło się o chłódzie i głodzie, a w wielkim strachu, bo wilki jak te psy Jezusowe, poganiały pilnie, strasząc go wyciem, aż i pewnej nocy zwieszowej stanął przed wrótniami swojego gospodarza i zarżał, by go przyjęli z powrotem, ale na to wyleciała wdowa z dziećmi, a nie poznawszy go, tak był zbiedzony, nuż go prać czem popadło, odganiać a wyklinać za krzywdy, bo bez te śmierć chłopca pobidniała i w wielkiej nędzy żyła wraz z dziećmi.

Nawrócił do borów, bo już nie wiedział, co począć, opadły go zwierzaki, nie bronił się nawet, zarówno mu już była i śmierć, ale one go ino obmacały i starszy powiedział:

— Nie zjemy cię, boś za chudy, skóra i gnaty, szkoda pazurów, ale ulitujem się nad tobą i pomożemy...

Wzięły go między siebie i powiedły rankiem na gospodarzowe pole i założyły do pługa, którego stał na roli, wdowa nim orała wraz z krową i dziećmi.

Poorzą tobą, podpasą, to jesienią powrócim cię wyprząść! — powiedziały.

O dniu nadeszła wdowa i poznała go zaraz, to choć krzyknęła zrazu, że to cud, iż powrócił i stał już w pługu, ale rychło żałościwość przypominków tak ją objęła, że zaczęła znowu wyklinać i bić, co ino wlażło! Robiła też w niego potem, robiła a odbijała się za krzywdę! Całe lata tak szło w ciężkiej, cierzpliwej pracy, bo choć koniskowi skóra się odparzała od chomąta, ani rżał, wiedział, iż cierzpi sprawiedliwie. Dopiero w parę років, kiej wdowa się dorobiła nowego chłopca i tych morgów, co po sąsiedzku szły wpodłe, zmiękla la konia i powiedziała:

— Ukrzywdziłeś nas, ale za twoją sprawą Pan Jezus pobłogosławił, rodziło się, chłop się niezgorszy trafił, rolim przykupiła, to ci już z serca odpuszczam.

I zaraz, tej samej nocy, kiej w chałupie chrzciny sprawiali, przyszły Panajesusowe wilki, wyprowadziły konia ze stajni i powiedły do niebieskiej zagrody!

Dziwowali się temu zrządzeniu boskiemu niepomniernie, zastanawiając szeroko, jak to Pan Jezus zawsze

karze zło a dobro wynagradza i o niczem, choćby na ten przykład, o koniu takim, nie przepomni.

— Choćby i ten robaczek wiercący w ścianie a nie ukryje się przed jego okiem...

— Ni nawet najtajniejsze pomyślenie, ni chęć jaka paskudna — dorzucił Rocho.

Wzdrygnęła się na to Jagna, bo i Antek wszedł akuratnie, ale mało kto go zauważył, choć cichość była, bo pod ten czas opowiadała Walentowa takie cudności o królownie zakłętej, że wrzeczona przestały warczeć, wszystkim ręce opadły, powstrzymywali oddechy i jak uroczeni siedzieli, wsłuchując się całą duszą.

I tak się ano przesuwał ten lutowy, zimny wieczór.

Dusze się wznosiły, pod niebo rosły a płonęły jak te smolne szczapy, że jeno szmer wzdychów, marzeń i pożądań, niby te kwietne motyle, trzęsły się po izbie.

Osnuwali się w żywy, rozdrwany, mieniący farbami oprzęd cudowności, że całkiem przysłoniły się oczy na wszystkie świat smutny i szary, i biedny!

Po polach bładzili ciemnych, prześwietlonych widziadłami, co jak żagwie buchaly krwawą pożogą; na one ruczaje szły srebrne, pełne śpiewań nierozeznanych, tajemnych wołań, plusków; w bory zakłęte, gdzie rycerze, wielkoludy, zamki one, widma straszliwe, smoki, piekielnym ogniem zionące; po rozstajach stawali strwożeni, gdzie upiory z chichotem przelatywały, gdzie potępionych głosem jęczącą wisielce, a strzygi z nietoperzowemi skrzydłami przelatują; bładzili po mogilkach za cieniami pokutujących samobójców; w pustych, rozwalonych zamkach i kościołach słuchali głosów dziwnych, patrzeli się

nieskończonym korowodom mar przerażających, w bojach byli, pod wodami, gdzie śpiące jaskółki, poplątane w girlandy, budzi o każdej wiośnie Matka Boża i na świat wypuszcza.

I nosili się przez nieba i piekła, przez wszystkie straszności, przez ciemnice Bożego gniewu i przez jasności łaski Jego świętej, przez nieopowiedziane krainy cudów i czasów, dziwów i zachwyków, przez takie światy, gdzie jeno dusze człowiekowie błędzą, jako te ptaki pośleple od piorunów i błyskawic, przez takie miejsca, do których człowiek tylko w godzinie cudu, albo i we śnie zagląda, patrzy olśniony, dziwuje się i nie wie sam o sobie, czy jestli w żywych jeszcze!

Hej! jakby morze powstało wałem nieprzeniknionym wałem czarów, skrzeń i cudowności, że przepadła z przed oczów ziemia cała, izba, luta noc, świat ten cały, pełen utrapień, i nędz wszelkich, i krzywd, i płakań, i żaleń, i czekań — a otwarły się oczy na świat inny, nowy i tak cudowny, że żadne usta tego nie wypowiedzą!

Baśniowy świat ich otoczył, baśniowe życie objęło tęczami, baśniowe marzenia stawały się rzeczywistością — umierali prawie z zachwyków, zmartwychwstając zarazem tam, w tem życiu jasnym, wielkim, mocarnym, bujnym a świętym, i cudownościami poprzerastanem kieby dojrzałe zboże wyczką i makami, tam gdzie każde drzewo mówi, każdy ruczaj śpiewa, każdy ptak jest zaklęty, każdy kamień ma duszę, każdy bór jest pełen czarów, każda grudka ziemi przepojona nieznanemi potęgami — gdzie wszystko wielkie, nadludzkie, niewidziane żyło świętym życiem cudów!

Tam się parli całą potęgą tęsknoty, tam snuli się oczarowani, gdzie wszystko splatało się w nierozzerwalny łańcuch marzeń i życia, cudów i pragnień, w czarodziejski korowód wyśnionego istnienia, do którego wciąż, przez całą nędzę bytowania ziemskiego rwały się im strudzone, okaleczały dusze!

Cóż ta to życie szare i nędzne, cóż ta ten dzień zwykły, podobien do patrzenia chorego, smutkami kieby mgłą przysłoniony, mrok to jeno, noc smutna i ciężka, przez którą chyba dopiero w godzinę śmierci dojrzeć własnymi oczami dziwy one.

Jako to bydlę, jarzmem przygięte do ziemi, żyjesz człowieku, zabiegasz, turbujesz się, by dzień ten przeżyć, a nie pomyślisz nawet, co się okólnie dzieje, jakie to kadzielne zapachy wioną światem, od jakich świętych ołtarzy idą głosy, jakie utajone cuda są wszędy!

Jako ten ślepy kamień pod wodą głęboką, żyjesz człowieku...

W ciemnicy człowieku orzesz żywota rolę i płacz zasiewasz, ten trud, ten ból...

I w błocie tarzasz gwiazdną duszę, człowieku, w błocie...

Opowiadali dalej, wciąż, a Rocho dopomagał chętniwie, sam się dziwował, sam wzdychał, sam płakał, kiej i drudzy płakali...

A czasem następowały długie, głębokie milczenia, że słyhać było kołatanie serc wzruszonych, wilgotne blaski oczów świeciły kiej rosa, drżały westchnienia podziwu i tęsknot, dusze się kładły do stóp Pańskich w tym cudów kościele i śpiewały przepotężny hymn dziękczynie-

nia. Cichością śpiewały wszystkie serca przepelnione czarem, drżące, upojone świętą komunją marzenia — jako ta ziemia drży, pławiąc się w słońcu wiośniemem, jako te wody pod wieczór w pogodny czas i cichy, że jeno drgnienia po niej się snują, a tęcze, a kolory; jako te zboża młode o pierwszym wieczorze majowym, co jeno kolebią się słodko, szemrzą przeciągle a trzęsą piórkami, kieby tym pacierzem dziękczynnym.

Jagusia zaś była jakby wniebowzięta, tak czuła wszystko głęboko, tak brała w siebie i za taką prawdę miała, że rosło to w niej i stawało przed oczami kiej żywe, że mogła wszystko powycinać z papieru. Dali też jej jakieś pozapisywane karty dzieci, które Rocho nauczał, a ona, nasłuchując opowiadań, wystrzygała po kolei czy to strachy, czy króle, czy upiory, czy smoki, czy inne różności, a tak utrafiła, że kaźden mógł poznać od wejżenia.

Tyla wystrzygnęła, że można było niemi oblepić całą belkę, a jeszcze pofarbowała lubryką czerwoną i niebieską, jaką jej Antek podsunął, tak była zajęta słuchaniem i robotą, że o całym świecie zapomniała, nie baczyła nawet na niego, nie widząc, że się czegoś niecierpliwi a ukradkiem daje jakieś znaki... a nikto drugi też nie spostrzegł tego w zasłuchaniu i w tej ciszy, jaka panowała.

Naraz psy zaczęły doszczekiwać zajadle i skowyczeć w opłotkach, aż któryś Kłębiak na dwór wyleciał i powiadał potem, iż chłop jakiś uciekał z przed okien.

Nie zwracali na to uwagi, nie wiedząc wcale, że później, gdy psy zmlkły, jakaś twarz przesunęła się za

szybą i przepadła tak prędko, że tylko jedna z dziewczyn krzyknęła załękła, oczy przecierając zdumiona.

— Tam ktosik chodzi pod oknami! — zawołała.

— Słyszać, jak śnieg skrzypi pod nogami.

— Jakby na ścianę się skrabał!

Zmartwieli wszyscy, nasłuchując, a bojąc ruszyć się z miejsca, opadli nagłą trwogą.

— Kto o czem baje, temu się staje! — szepnęła ze strachem któraś.

— O złem się powiadało, to może się wywołał i wypatruje kogoby wziąć!

— Jezus Marja!

— Wyjrzyście-no chłopaki, tam niema nikogo, psy pewnie baraszkują po śniegu.

— Hale, kiedym dobrze widziała za oknem, łeb kiej ceber i ślepie czerwone!

— Przywidziało ci się — zawołał Rocho i że nikt nie chciał wyrzeć, sam poszedł na dwór, by uspokoić wszystkich.

— Opowiem wam historję o Matce Boskiej, to wnet szczną przewidzenia — zagadał, siadając na dawnym miejscu. Uspokoili się nieco, ale raz po raz ktoś podnosił oczy na okno i strachem utajonym dygotał.

— »Dawno to już się działo, dawno przed wiekami, że jeno o tem w starych księgach stoi... We wsi jednej pod Krakowem żył kmieć, Kazimierz mu było na imię a na przezwisko Jastrząb; osiadły był zdawna, rodowy i bogacz, całe włóki obsiewał, las swój miał, chałupę kiej dwór i młynek nad strugą. Pan Jezus mu błogosławił, wiedło się wszystko, brogi zawsze miał pełne,

gotowy grosz w skrzyni, dzieci zdrowe i kobietę pocziwą; bo dobry był człowiek, mądry, wyrozumiały, pokornego serca i sprawiedliwy dla wszystkiego stworzenia.

Przewodził gromadzie kiej ojciec, opiekował się biednemi, sprawiedliwości bronił, podatkami nie uciskał, a pocziwości we wszystkim przestrzegał pilnie i pierwszy był zawdy do pomocy bliźniemu i poratunku.

Zył też sobie cicho, spokojnie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem.

Aż razu pewnego król jął skrzykiwać naród na wojnę przeciw poganom!

Zafrasował się wielce Jastrząb, bo żał mu było doma odbieżyć i ruszać na one boje srogie.

Ale króleski parobek u drzwi stał i przynaglał!

Na wielką wojnę się miało: Turek ano sprośny w kraje polskie szedł, wsie palił, kościoły rabował, księży zarzywał, naród tępił lebo w postronkach pędził do swoich pogańskich krajów.

Trza się było gotować i na obronę stawać!

Zbawienie wieczne czeka tego, któren ochotnie kładzie głowę za swoich i wiarę świętą.

Zwołał tedy Jastrząb gromadę, wybrał co tęższych parobków, konie, wozy i wnet ruszyli rankiem jakoś, po mszy świętej!

A cała wieś odprowadziła ich z płaczem i lamentem aż pod figurę Częstochowskiej, która stała przy drodze na rozstajach.

Wojował rok, wojował dwa, że wkońcu i słuch wszelki o nim zaginął.

Insze dawno powrócili do domów a Jastrzębia jak

nie było, tak nie było, myśleli, że już był zabit, albo go Turek wziął do niewoli, o czym nawet zcicha jeszcze dziady i wędrowce różne powiadali...

Aż w końcu trzeciego roku, na pierwszą zwiesnę, powrócił, ale sam, bez czeladzi, bez wozów i koni, piechty, zbiedzony, zmarnowany, z kosturem jeno kiej dziad...

Pomodlił się gorąco przed Matką Bożą, że mu pozwolili jeszcze swojej ziemi i śpiesznie ruszył do wsi...

Nikt go nie witał, nikt nie poznawał, że psom się ano musiał oganiać.

Przychodzi przed swój dom, przeciera oczy, żegna się a poznać nie może...

Jezus Marja! Gumien niema, stajen niema, sadów niema, płotów nawet niema, z lewentarza ni śladu... a z chałupy ino zręby spalone... dzieci niema... pusto... straszno... jeno żona schorowana wywlekła się z barlogu na jego spotkanie i gorzkimi łzami zapłakała!

Kieby piorun w niego trzasnął!

Oto kiedy on wojował i nieprzyjacioły Pańskie gromił, przyszedł do chałupy mór i pobił mu wszystkie dzieci... pierun spalił... wilki wydusiły stada... źli ludzie rozgrabili... sąsiedy zabrały ziemię... susze wypaliły zboża... grady wytłukły resztę... że nie ostalo nic, ziemia jeno a niebo.

Siedział na progu kiej zmartwiały, a na odwieczrzezu, kiedy przedzwaniałi na Anioł Pański, zerwał się nagle i jał strasznym głosem wyklinać i pomstować!

Próżno go żona wstrzymywała, próżno u nóg mu się wlekła błagający, przeklinał i przeklinał, że na darmo krew swoją lał za Pańską sprawę, na darmo bronil ko-

ściółów, na darmo rany ponosił, głód cierpiał, na darmo pocziwym był i pobożnym, na darmo — Pan Bóg i tak go opuścił i na zatracenie skazał!

Strasznie bluźnił przeciw boskiemu imieniowi a krzyczał, że już chyba złemu się cały odda, bo on jeden ludzi w biedzie nie opuszcza.

Juści, że na takie przyzywy wnet się zły jawił przed nim.

Jastrząb się już nie pomiarkował w tej złości a ino zawołał:

— Pomagaj djable, jeśli możesz, bo mi się wielka krzywda stała.

Głupi nie pomiarkował, że Pan Jezus chciał go doświadczyć i wypróbować.

— Pomogę, a oddasz duszę? — zaskrzeczał zły.

— Dam choćby i zaraz!

Napisali cyrograf, któren chłop krwią ze serdecznego palca podpisał.

I już od tego dnia zaczęło mu się wszystko wieść, sam mało co robił, a ino doglądał i rządził; Michałek, bo tak się kazał zły przezywać, robił za niego — a drugie djabyły poprzebierane za parobków, to za miemców, pomagały — że w krótkim czasie gospodarstwo było jeszcze większe i bogatsze niżli przódzi.

Ino dzieci nie było nowych, bo jakże bez błogosławieństwa boskiego mogły być!

Gryził się tem Jastrząb srodze, a po nocach czasami rozmyślał, jak to przyjdzie gorzeć w tem piekle wiecznem, i nie cieszyły go ani bogactwa, ni nic... Aż musiał mu Michałek jawić przed oczy, jako wszystkie bogacze, pano-

wie, króle, uczone, a nawet i co największe biskupy, djabłom się za żywota zaprzędali, a żaden z nich się nie turbuje, ni rozmyśla, co tam będzie po śmierci, a jeno się weselą i wszystkiego używają do sytu!

Uspokajał się potem Jastrząb i jeszcze barzej przeciwko Bogu srożył, że aż sam krzyż pod lasem zrębał, obrazy z domu powyrzucał i do figury Częstochowskiej się brał, by ją roznieść, iż mu ta do orki przeszkadzała; ledwie go od tego kobieta odwiedła skamleniem i prośbami.

I tak roki płynęły za rokami, jako ta woda bystra, bogactwa rosły niepomiernie, a z niemi także znaczenie, iż nawet sam król zajeżdżał do niego, na dwór zapraszał i między swoich komorników sadzał.

Puszył się tem Jastrząb, wynosił nad drugie, biedotą pomiatał, wszelkiej pocziwości się wyzbył, że już za nic miał świat cały.

Głupi! nie baczył, czem przyjdzie zapłacić za to...

Aż wkońcu i przyszła godzina porachunku. Panu Jezusowi już zbrakło cierpliwości i pobłażania la zartwardziałego grzesznika...

Nadszedł czas sądu i kary.

Najpierwej zwały się na niego ciężkie choroby i nie popuszczały ni na to oczymgnienie.

Potem lewentarze padły na mór.

Potem piorun spalił wszelkie zabudowania.

Potem grady wybiły zboża.

Potem czeladź go odbiegła.

Potem zaś przysłyły takie susze, że wszystko spaliło

się na popiół, drzewa poschły, wody wyschły, ziemia popękała.

Potem opuścili go całkiem ludzie i bieda siadła na progu.

A on chorzał ciężko, ciało mu kawałami odpadało, kości próchniały.

Nadarmo skamlał o poratunek Michałka i jego djablich kamratów: nawet Zły nie poradzi, kiej nad kim zawiśnie ręka Bożego gniewu!

A i djabli nie stali już o niego: ich był, to aby prędzej skonał, dmuchali mu w one rany straszne, by się barzej jątrzyły.

Jedno zmiłowanie Pańskie mogło go tylko wybawić!

Jakoś późną jesienią przyszła jedna noc tak wiejna, że wicher zerwał dach z chałupy i powyrywał wszystkie drzwi i okna, wraz zaś zleciała się cała hurma djabłów i nuż tańcować koło węglów, a cisnąć się z widłami do środka, bo Jastrząb już był na skonaniu...

Kobieta bronila go jak mogła, obrazem świętym osłaniając, to kredą poświęcaną znacząc progi a okna, ale już ustawała z wielkiej turbacji, by nie pomarł bez Sakramentów i pojednania z Bogiem; to chociaż zakazywał, tak był jeszcze w tej ostatniej godzinie zatwardziały, chociaż Złe przeszkadzało, upatrzyła porę i poleciała na plebanję.

Ale ksiądz szykował się gdziesik do drogi, a do bezbożnika iść nie chciał.

— Co Pan Bóg opuści, djabli zabrać muszą, nć tam już po mnie... — i pojechał na karty do dworu.

Zapłakała gorzko z frasunku, przyklękła przed oną figurą Częstochowskiej i tym szlochem krwawym, tym skrzybotem serdecznym skamlała o zmiłowanie.

Ulitowała się nad nią Panienska Święta i przemówiła:

— Nie płacz kobieto, wysłuchane są twoje prośby...

I schodzi do niej z ołtarza, jak stała, w koronie złotej, w onym płaszczu modrym, zasianym gwiazdami, z różańcem u pasa... jaśniejąca dobrocią... Przenajświętsza i gwieździe zarannej podobna... Kobieta padła przed Nią na twarz...

Podniosła ją świętymi rączkami, otarła te lzy żałościwie, przytuliła do serca i powiada tklawie:

— Prowadź do chałupy, może ci co poredzę, służebnico wierna.

Obejrzała chorego i zafrasowało się wielce serce miłościwe.

— Bez księdza się nie obejdzie, kobietą jeno jestem i takiej mocy nie mam, jaką Jezus dał księżom! Łajdus on jest, o naród nie dba, zgoła zły pasterz, odpowie za to srogo, ale on jeden ma moc rozgrzeszania... Sama pójdę po tego kostyrę do dworu... Naści różaniec, broń nim grzesznika, póki nie przyjdę.

Ale jak tu było iść?... noc ciemna, wiatery, deszcz, błocko, kawał drogi, a do tego djawli wszędzie psocili.

Nie ulękła się niczego Pani Niebieska, nie!... przyodziała się jeno od pluchy w płachtę i poszła w tę ciemnicę...

Doszła do dworu umęczona srodze i przemokła do nitki; zapukała, prosząc pokornie, by ksiądz szedł pilno

do chorego, ale on, dojrząwszy, iż to jakaś biedota i taki psi czas na dworze, kazał powiedzieć, że rano przyjedzie, teraz nie ma czasu, i grał dalej, pił i baraszkował z panami.

Matka Boża jeno westchnęła boleśnie nad jego niepoczciwością, to sprawiając, że zaraz zjawiła się złota karetka, cugi, lokaje, przedziała się na panią starościnę i weszła na pokoje.

Juści, że ksiądz zaraz pojechał chętnie i w te pędy.

Przyjechali jeszcze na czas, ale już śmierć siedziała na progu, a diabli przez moc dobywali się do chłopa, by porwać żywcem, nim ksiądz nadjedzie z Panem Jezusem; tyle, że broniła go kobieta różańcem, to obrazem drzwi przytykając, to pacierzem, to tem Imieniem Pańskim.

Wyspowiadał się Jastrząb, za grzechy żałował, Boga przeproszał, rozgrzeszenie dostał i zaraz w ten moment Bogu ducha oddał. Sama Najświętsza zamknęła mu oczy, pobłogosławiła kobietę i powiada do struchlałego księdza:

— Pódzi za mną!...

Nie mógł się jeszcze pomiarkować, ale poszedł, rozgląda się przed chałupą, a tu ani karety, ni lokajów, jeno deszcz, błoto, ciemnica i śmierć, idącą za nim trop w trop.. Uląkł się wielce i dalejże gnać za Panienką ku kapliczce!

Patrzy, a tu Ona już w płaszczu i koronie, otoczona chórami anielskimi, wstępuje na ołtarz, na dawne miejsce. Poznał ci wtedy Królową Niebieską, strach go

wziął, padł na kolana, ryknął płaczem i wyciągnął ręce o zmiłowanie.

A Panienska święta spojrziała nań gniewnie i rzekła:

— Wieki tak całe przekłęczysz za grzechy, popłaczesz, nim odpokutujesz...

W kamień się wnet obrócił i tak już ostał; nocami jeno płacze, ręce wyciągnięte trzyma, zmiłowania czeka i już od wiek wieków tak klęczy.

Amen!...

Do dzisiaj oglądać można oną figurę w Dąbrowie pod Przedborzem: pod kościołem stoi ku wiecznej pamiętliwości i ostrzeżeniu grzeszników, jako kara za złe nikogo nie minie.

Długie a głębokie milczenie padło na wszystkich, kaźden rozważał słyszane i kaźden pełen był świętej cichości, podziwu, dobrotliwości i lęku.

Co tu i rzec w taką porę, kiej się dusza człowieka rozpręży, jako to żelazo w ogniu, nabrzmieje czuciem i jasnością, że jeno ją tknąć, a gotowa gwieźdnym deszczem rozprysnąć i tęczę się rozsunać między ziemią a niebem.

To trwali w cichości, póki ostatnie zarzewia nie zaczęły w nich przygasać.

Mateusz wyciągnął flecik i jał na nim przebierać i ciągnąć zcicha tą nutą rzewliwą a mieniącą, jakoby kto rosy suł po owych pajęczynach, a Sochowa zaśpiewała »Pod Twoją obronę«. Przywrtarzali jej zcicha.

A potem zaś zwolna poczęli pogadywać o tem i owem, jak zwyczajnie.

Młódź zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka zadawała parobkom zagadki ucieszne, że zaś ktosik powiedział, jako Boryna powrócił już ze sądów i pije teraz w karczmie ze swoją kompanją, Jagusia zawinęła się cicho i wyszła, nie wołając nawet Józki, a za nią Antek wysunął się też ukradkiem, dopadł jeszcze w sieni u proga, ujął mocno za rękę i powiódł do innych drzwi, na podwórze, a stamtąd przez sad za stodoły.

Prawie nie zauważono ich wyjścia, bo Tereska w głos wołała:

— »Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy?« Co to jest?

— Chleb, chleb, każdy wie! — wołali, skupiając się koło niej.

— Albo to: »Gonią się goście po lipowym moście?...«

— Przetak i groch!

— Każde dziecko o takich zagadkach wie.

— To mówcie drugie, mądrzejsze!

— »W koszuli się na świat rodzi,

A po świecie nago chodzi?«

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam zadał taką zagadkę:

— »Lipowe drzewo wesoło śpiwa,

A koń na baranie ogonem kiwa.«

Z trudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce. Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:

— »Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha,

A kaj się obróci, wszędy se dmucha!«

Wiater to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i coraz ucieszniejsze zagadki powiadać, aż się izba rozstrzęsła gwarem i wesołością.

I jeszcze długo w noc tak się społecznie zabawiali.

XI.

...Wpadli do sadu, chyłkiem przesunęli się pod obwisłymi gałęziami i prędko, trwożnie, niby spłoszone jelonki, wybiegli za stodoły, w omroczałe śniegi, w noc bezgwiezdna i w niezgłębioną cichość pól przemarzłych.

Przypadli w nocy; zginęła wieś, umilkła nagle wrzawa ludzka, porwały się nawet najśłabsze odgłosy życia, że zapomnieli wnet o wszystkim i ujawszy się wpół, przywarci mocno do siebie biedro w biedro, przychyleni nieco, radośni a strwożeni, milczący a pełni rozśpiewania, lecieli ze wszystkich sił, w cały ten świat, modrością siną zasnutą i milczeniem.

— Jaguś!

— Co?

— Jesteś to?

— Zaśby nie!...

Tyle jeno rzekli, czasami przystając, aby odetchnąć.

Zapierało im głosy trwożne bicie serc i potężny krzyk radości przytajonej; zaglądali w siebie co chwila, oczy przeświecały się nawzajem, niby upalne, nieme błyskawice, a usta spadały na się z piorunową mocą i z takim głodnym, pożerającym ogniem, że zataczali się z upojenia, tchu brakowało, dziw serca nie rozpękły; ziemia

osuwala się z pod nóg, lecieli jakoby w ognistą przepaść i rozglądając się ślepemi od żarów oczyma, zrywali się wnet z miejsca i znowu biegli, ani wiedząc dokąd i kędy, byle dalej, choćby w samą najgłębszą noc, aż tam, w te zwite kołtuny cieniów...

Jeszcze staje... jeszcze dwa... dalej... głębiej... aż wszystko zginęło z oczu, i cały świat, i sama pamięć o nim, aż przepadli całkiem w zapamiętaniu, jakoby we śnie nieprzypomnianym, a jeno przez dusze wiedzianym, jakoby w tym śnie cudownym, śnionym na jawie tam, w Kłębowej izbie, przed chwilą zaledwie, że tonęli jeszcze w świetlistej smudze cichych, mistycznych powiadań, że jeszcze pełni byli dziwów i zjaw onych, że jeszcze te prześnione baśniowe moce otrząsały na ich dusze cudowny okwiat oczarowań, trwóg świętych, zdumień najgłębszych, uniesień i nieutulonych tęsknic!

Byli spowici jeszcze w czarodziejską tęczę cudów i marzeń, że płynęli jakby z korowodem tych dziwów, wywołanych przed chwilą, przez baśniowe kraje szli, nawskróś tych scen nadludzkich, wszystkich stawań, wszystkich cudów, przez najgłębsze kręgi zdumień i oczarowań. Jawy kołysały się w cieniach, po niebie błędziły, wyrastały z każdym spojrzeniem oczu, przez serca płynęły, aż chwilami przytajali oddechy, zamierali z trwogi, i przyparci do siebie, oniemieli, zalekli, wpatrywali się w bezdenną, skłębioną głąb marzenia, aż rozkwitały im dusze w kwiat zdumień, w prześwięty kwiat wiary i modlitewnych uniesień, że padali na samo dno podziwu i niepamięci.

A potem, powracając do przytomności, długo błą-
Chłopi. II.

dzili oczyma zdumionemi po nocy, nie wiedząc dobrze, zali są jeszcze między żywe, zali w nich się stawały te cuda, zali nie sen to wszystko, nie omamienie!...

— Nie bojasz się Jaguś, co?

— Dyćbym za tobą poszła w cały świat, na śmierć! — szepnęła z mocą, tuląc się do niego zapamiętała...

— Czekalaś to na mnie? — zapytał po chwili.

— Jakże! Kto ino w sienie wszedł, to aż me podrywało... potem przeciech jeno poszła do Kłębów... po to... myślałam, że się nie doczekam...

— A kiej wszedłem, to udałaś, że mnie nie widzisz...

— Głupi... miałam patrzeć, żeby co pomiarkowali! ale mę tak w dołku ścisnęło, że dziw nie spadłam ze stołka... ażem wodę piła na strzeżwienie...

— Najmilejsza moja!...

— Siedzialeś z tyłu, czułam, ale bojałam się popatrzeć na ciebie, bojałam się zagadać... a serce to mi się tak tłukło, tak kołatało, że ludzie musieli słyszeć... Jezus! o małym nie krzykała z kumentności!...

— Miarkowałem, że cię u Kłębów zastanę i razem wyjdziemy...

— Do dom chciałam bieżyć a zniewoliłeś...

— Nie chciałaś to Jaguś, co?...

— Hale... nieraz myślałam, by się tak stało... nieraz...

— Myślałaś tak! Myślałaś — szeptał namiętnie.

Zaśby nie Jantoś! a ciągiem, ciągiem... Tam za przełazem nie dobrze...

— Prawda... tutaj nikto nas nie spłoszy... Sami jesteśmy...

— Sami!... i taka ciemnica... i... — szeptała, rzucając mu się na szyję i obejmując go ze wszystkiej mocy szalu i miłości...

.....

Nie wiało już na polach, jeno czasami wiały prze-ganiał miękkim powiewem i, kieby temi pieszczącemi szeptami, przechładzał rozpalone twarze. Nie było gwiazd jarzących ni księżyca, niebo wisiało nisko, skłę-bione brudnemi i poszarpanemi runami chmur, kieby to stado wołów burchych zaległo puste i nagie ugory, a dale majaczyły jakoby przez szare, rozwleczone dymy, że świat cały zdał się utkany z mgieł, drgającej wszędy ciemności i wzburzonego mętu.

Głęboki, niepokojący a ledwie odczuty szmer drgał w powietrzu, płynął jakby od borów zatopionych w nocy, albo od chmur, z tych dzikich rozpadlin, z których raz po raz wyfruwały stada białych obłoków, uciekających chyżo, kieby klucze wiosennego ptactwa, gonione przez jastrzębie.

Noc była ciemna i boleśnie wzburzona, głucha a pełna dziwnego ruchu, pełna lęku, niepochwytnych drgań, trwożnych szmerów, przyczajonych zjaw i nagłych stawań rzeczy niewytłumaczonych a przerażających; czasami, z nagłą, z pod zwałów ciemnicy wyblyskiwały widmowe bladeści śniegów, to jakieś lodowe, wilgotnawe, ropiące brzaski pełzały w wężowych skrętach wskroś cieniów, to znowu noc jakby zawierała powieki, mroki spadały czarną, nieprzeniknioną ulewą i świat cały przepa-

dał, że oczy, nie mogąc się uchwycić niczego, zsuwały się bezsilnie w samą głąb przerażenia, i dusza drętwiała, przywalona głuchą martwością grobu, a chwilami rozdzierały się przysłony cieniów, pękały jakby gromem rozprute i przez straszliwe rozpadliny chmur widać było w głębokościach granatowe pole ugwieżdżonego, cichego nieba.

To znowu z pól czy od chałup, z nieba czy z zatopionych dali, nie wiada zgoła skąd, drgały rozprysłe, pełzające, jakby głosy a jakby blaski, jakby echa jakieś zgubione, widma dźwięków i rzeczy dawno pomarłych, a błądzących po świecie, płynęły żalonym korowodem i ginęły niewiadomo gdzie, jak te pomarłe światłości gwiazdne.

Ale oni oślepli na wszystko, burza się w nich zerwała i rosła, wzmagając się co mgnienie, przewalała się z serca do serca potokiem palących a niewypowiedzianych żądź, błyskawicowych spojrzeń, bolesnych drzeń, niepokoju nagłych, całunków parzących, słów splątanych, bezładnych a olśniewających, niby dzikie mioty piorunów, oniemień śmiertelnych, tkliwości, a takiego czaru zarazem, że dusili się w uściskach, rozgniatali do bólu, darli się wprost pazurami, jakby chcąc wyrwać z siebie wnętrzości i skąpać się w rozkoszach męki, a przesłonięte bielmami oczy nie widziały już nic, nawet samych siebie.

I porwani miłosną wichurą, oślepli na wszystko, oszaleli, wyzbyci z pamięci, stopieni z sobą jako dwie żagwie płonące, nieśli się w tę noc nieprzejrzaną, w pustkę i głuchą samotność, by oddawać się sobie na śmierć, do dna dusz, pożeranych wiecznym głodem trwania...

Nie mogli już mówić, tylko nieprzytomne krzyki rwały się im gdziesik aż z samych trzewiów, tylko szepty zduszone, porwane a strzeliste, jak wytryski ognia, słowa błędne i opite szalem, spojrzenia żrące do szpiku — spojrzenia struchlałe obłąkaniem — spojrzenia huraganów walących na siebie, aż przejął ich taki straszny dygot żądzy, że zwarli się z dzikim skowytom i padli... nieprzytomni zgoła...

Świat się wszystek zakołował i runął wraz z nimi w ogniste przepaście...

-
- Już me rozum odchodzi!...
 - Nie krzycz... cicho Jaguś...
 - Kiej muszę... wścieknę się abo co!
 - Dziw mi serce nie rozpęknie!
 - Spalę się... laboga puść... daj odzipnąć...
-
- O Jezu... bo zamrę... o Jezu!...
 - We świecie jedyna...
 - Jantoś! Jantoś!...
-

...Jako te soki, żywiące skryto pod ziemią, budzą się o wiośnie każdej, rozprężają nieśmiertelną żądzą, prądo się przez zwąły świat, z krańców ziemi płyną, niebami kołują, aż się odnajdą, przepadną w sobie i w świętej tajemnicy poczną, by się potem stać zdumionym oczom: wiośnianą porą, albo kwiatem, duszą człowieczą lebo poszumem drzewin zielonych...

Takci i oni parli do siebie przez długie tęsknice, przez dnie udręki, przez szare, długie, puste dnie, aż się

odnaleźli i z jednakim, niezmożonym krzykiem pożądań padali sobie w ramiona, zwierając się tak potężnie, jako te sosny, gdy je burza wyrwie i zdruzgotane rzuci na siebie, że obejmują się rozpacznie, mocą wszystką i w śmiertelnem wzmaganiu kolebią się, szamocą, chwieją, nim społem w lutą śmierć upadną...

A osłaniała ich noc i oprzędła, by się stało, co przeznaczone...

Kuropatwy zaczęły się skrzykiwać gdzieś w ciemnościach, a tak blisko, że słyhać było idące całe stado; rozlegał się szybki szelest, jakby skrzydeł podnoszonych do lotu i bijących o śniegi, to oddzielne, cierpkie głosy rozdierały ciszę, a od wsi, snadź niedalekiej, zrywały się przyduszone a mocne piania kogutów.

— Późno już... — szepnęła trwożnie.

— Jeszcze daleko do północkska, pieją ano na odmianę.

— Odwilga będzie.

— Juści, śnieg zamiękł.

Zające gdziesik blisko, jakby za kamionką, pod którą siedzieli, zaczęły beczeć, przeganiać się i gzić, kieby na weselisku, aż całą gromadą przeleciały obok nich, że odskoczyli z przerażeniem.

— Parzą się juchy i tak ślepną, że na człowieka nie baczą. Na zwiesnę idzie.

— Myślałam, że jakiś zwierz dziki...

— Cicho-no, przykucnij! — szepnął zalekłym głosem.

Przywarli do kamionki w milczeniu. Z rozbielonej śniegowemi brzaskami ciemności jęły się wynurzać jakieś

cienie długie i pelzające... posuwały się wolno... chyłkiem, to znikwały całkiem, jakby się pod ziemią zapadły, że ino oczy świeciły, kieby te świętojańskie robaczki w gęstwinie; było może o pół staja od nich, przewlekły się wnet i całkiem zginęły w ciemnicy, aż nagle rozległ się krótki, bolesny, śmiertelny bek zajęczy, potem ostry tupot, wrzawa charczeń, kotłowanina jakaś przerażająca, chrupot miazdżonych kości, groźny warkot i znowu milczenie głębokie a niepokojące zaległo dookoła.

— Wilki ozdaryl zajęczka.

— Że to nas nie wytropily!

— Od wiatru siedzim, to i nie zwąchały.

— Bojam się... choćmy już... ziąb mnie przejmuję... — wstrząsnęła się.

Ogarnął ją sobą i rozgrzewał takimi całunkami, aż oboje wnet zabaczyli o całym świecie, objęli się krzepko w pas i poszli jakąś dróżką, która się im sama nawinęła pod nogi; szli kołysząc się ciężko, ruchem drzew pokrytych nadmiarem kwiatów i kolebiących się cicho w pszczelnym brzęku...

Milczeli a jeno szmer pocałunków, wzdychów, namiętne pokrzyki, głuchy warkot upojeń, radosne bicie serc okryły ich jakoby drgającym żarem pół wiośnianych: byli jako te okwiecone wiosną rozłogi, zatopione w świetlistym pobrzęku radości; boć tak samo rozkwitały im oczy, tak samo dyszeli upalnym tchnieniem pół rozprażonych w słonecznej połodze, drzeniem traw rosnałych, drganiem i pobłyskiem strumieni, stłumionym krzykiem ptaków; serca tętniały w jedno z tą ziemią świętą, a spojrzenia padały kieby ten ciężki, rodny okwiat ja-

blonkowy, a słowa ciche, rzadkie, ważne, wytryskiwały z samego rdzenia duszy, niby olśniewające pędy drzew w majowe świty, a oddechy były jak te wiewy pieszczące młodą ruń, a dusze jako ten dzień wiośniany, rozsloneczniony, jako te zboża w słup idące, pełne skowronkowych świergotów, blasków, poszumów, lśniącej zieleni i niezmożonej radości istnienia...

To milkli znagła i przystawali, zapadając w ciemnościach jakiegoś przepadania, jak kiedy chmura przysłoni słońce i świat scichnie, omroczy się i w żałości a lęku przepada na mgnienie...

Ale wnet podnosili się z oniemiań, radość buchała w nich pożarem, weselny ton rozbrzmiewał w duszach, uskrzydlał mocą takiego szczęścia i tak rwał do podniebnego lotu, że ni wiedząc, wybuchali namiętnym, nieprzytomnym zgoła śpiewem...

Kołysali się w takt głosów, co zdały się bić tęczowymi skrzydłami i gwiezdny, rozpalonym wytryskiem dźwięków rozsypywały się w noc zmartwiałą i pustą.

Nie wiedzieli już nic, szli przywarci do się, a bezwolni, zgubieni w sobie a nie pamiętliwi, pijani jeno tą nadludzką mocą czucia, co ich niesła w nadświaty i rwała się pieśnią bezładną, splątaną, bez słów prawie.

...Pieśń dzika i wzburzona płynęła rwącym potokiem z serc wezbranych i biła we świat wszystek zwycięskim krzykiem miłości...

...i jako krzew ognisty płonęła w chaosie mroków i nocnego mętu...

...to była chwilami jakby ciężkim, druzgocącym warkotem wód, zrywających lodowe okowy...

...ledwie dostłyszalnym, brzękliwym a słodkim poszumem dzwoniła, niby fala zbóż, kołyszących się w słońcu...

...pękały złote łańcuchy brzemień, rozsypywały się na wiatr i ordzawiały, wlekły się ciężko po zagonach, że były jeno krzykami nocy, czasem szlochom bezsilnym, wołaniem sierocem, głosem zaguby i lęku...

...i w grobowej cichości umierały.

Ale po chwili, jak ptaki wystraszone zrywały się ku słońcu szalonym lotem, serca nadbrzmiewały taką potęgą lotu i zagubienia się we wszystkim, że wybuchali oślepiającym hymnem uniesienia, modlitewną pieśnią ziemi całej, nieśmiertelnym krzykiem istnienia.

— Jaguś! — szepnął zdumionym głosem, jakby spostrzegając ją przy sobie.

— Dyc to ja! — odparła jakoś łzawo i cicho.

Znaleźli się na drodze, biegnącej wzdłuż wsi, za stodołami, ale już po Borynowej stronie.

Naraz Jagna zaczęła płakać.

— Co ci to?

— Abo to wiem?... a tak mię cosik sparło, że się same lzy leją.

Zafrasował się wielce, przysiedli pod jakąś stodołą na wystających węglach, przygarnął ją mocno i otoczył ramionami, że kieby dzieciątko przywarła mu do piersi, zapatrzyła się gdziesik w siebie, a lzy skapywały jej z oczu, jak ta rosa z kwiatów; obcierał je dłonią, to rękawem, ale wciąż płynęły...

— Boisz się?...

— Zaśby czego! jeno taka cichość we mnie rośnie, kieby śmierć przy mnie stojąła, a tak mnie coś podrywa, tak podnosi, że tego niebabym się uwiesiła i z temi chmurami poniesła w świat.

Nie odrzekł, zamilkli oboje, przymroczalo w nich nagle, jakiś cień padł na duszę i zmącił jasne tonie i przyniknął dziwnie bolesną tęskliwością, że jeszcze barzej rwali się do siebie, barzej szukali w sobie ostoje jakiejś, barzej przepierali przez się w jakiś upragniony świat...

Wiatr zawiał, drzewa zakolysały się trwożnie, osypując ich mokrym śniegiem; chmury skłębione, ciężkie zaczęły się nagle rozpadać i uciekać w różne strony, a cichy, rozedrgany jęk powiał po śniegach.

— Trza bieżyć do dom, późno już — szepnęła, unosząc się nieco.

— Nie bój się, jeszcze spać nie śpią, słyhać głosy na drodze, pewnikiem rozchodzą się od Kłębów.

— Cebratki zostawiłam przy dojeniu, jeszcze se kulasy krowy połamią.

Ucichli, bo jakieś głosy rozległy się bliżej i przeszły; ale gdzieś z boku, jakby na tej samej dróżce, zaskrzypiał śnieg i jakiś cień wysoki zamajaczył tak wyraźnie, że zerwali się na równe nogi.

— Ktosik tam jest... przyczaił się jeno pod płotem.

— Uwidziało ci się... czasem za chmurą takie cienie idą.

Długo nadśluchiwali, rozpatrując ciemności.

— Chodźmy do broga, tam będzie ciszej! — szepnęła gorąco.

Oglądali się trwożnie co chwilę, przystając z za-

partym tchem i nasłuchując, ale cicho było naokół i martwo; podeszli więc chyłkiem, ostrożnie do brogu i wsunęli się w głęboki otwór, czerniejący tuż nad ziemią.

Pociemniało znowu na świecie, chmury się zwały w gąszcz nieprzeniknioną, blade światłości pogasły, noc jakby przymknęła powieki i zapadła w głęboki sen, wiatr przemknął bez śladu, cisza wjoneła jeszcze głębsza i bardziej niepokojąca, że słychać było dygotanie drzew obwisłych pod śniegiem i daleki, daleki bełkot wody, spadającej na koła młyńskie, a po długiej chwili śnieg znowu zaskrzypiał na dróżce: dobrze już słychać było ciche, ostrożne, jakby wilcze kroki... Cień jakiś oderwał się od ścian i przygarbiony posuwał się po śniegach, był coraz bliżej, wyrastał, zatrzymywał się co mgnienie i znowu szedł... skręcił za bróg od pola, przyczołgał się prawie pod otwór i nadśluchiwał długo...

Potem przesunął się do przelazu i zniknął pod drzewami.

Nie wyszło i Zdrowaś, kiej się znowu pokazał, wlejąc za sobą wielgachną wiązkę słomy, przystanął na mgnienie, posłuchał i skoczył do brogu, przytknął wiązką dziurę... trzasnęła zapalka i ogień w mig rozbłysnął po słomie, zatrzepał się, tysiącem jęzorów błysnął i po chwili buchnął krwawą płachtą, ogarniając całą ścianę brogu...

Boryna zaś przygięty, straszny kiej trup, czatował z widłami w rękę.

Oni zaś wnet pomiarkowali, co się dzieje: krwawe

błyski jęły się przeciskać do środka i dym gryzący zapelniał jamę, porwali się z krzykiem, bijąc się o ściany, nie wiedząc wyjścia, oszaleli ze strachu i ledwie co dychający, aż Antek cudem jakimś natrafił na przysłonę, wparł się całą mocą i razem z nią padł na ziemię, ale, nim się porwał, stary runął na niego i przebodł widłami do ziemi, nie trafił dobrze, bo Antek się zerwał, i nim stary ponowił, trzasnął go pięściami w piersi i pognął w cały świat.

Rzucił się wtedy stary do brogu, ale już i Jagny nie było, jeno mu mignęła i przepadła w nocy, więc jął ryczeć oszalałym, nieprzytomnym zgoła głosem:

— Gore! gore! — i biegał z widłami dookoła brogu, że kiej zły widział się w krwawym brzasku, bo ogień objął już cały bróg i z szumem miotając się, sycząc, bił w górę okropnym słupem płomieni i dymów.

Ludzie zaczęli nadbiegać, krzyki poszły po wsi, ktoś uderzył w dzwon, trwoga zaszarpała serca, a luna rosła i pożar ognistą płachtą powiewał na wsze strony i pryskał deszczem iskier na zabudowania, na wieś całą.

XII.

Co się działo w Lipcach po onej nocy pamiętliwej, to i najpierwszemu głowaczowi nie łącno byłoby zapamiętać wszystko a opowiedzieć; tak się bowiem zakotłowało we wsi, jakoby w tem mrowisku, kiej w niem jaki niecnota kijaszkiem zagrzebie.

Ledwie rozedniało chyla tyła i ludzie oczy z po-

mroki nocnej przetarli, a już każdemu było pilno na pogorzelsko, że niejeden pacierze jeszcze w drodze odma-
wiał, a pędem biegał, kieby na ten jarmarek.

Dzień się był podniósł ciężki i tak przemglony, że choć już pora była na dużą jasność, a mroczalo jeszcze, kieby na świtaniu, śnieg bowiem jął walić mokremi płatami i przysłonił świat roztrzęsioną, szklistą i przemiękłą plachtą, ale nikt na pluchę nie zważał, schodzili się ze wszystkich stron i całemi godzinami wystawali, na pogorzelsku przeredzając zcicha o wczorajszem, a strzygąc uszami, by czego nowego dosłyszeć.

Gwar się też czynił niemały, bo coraz więcej nadciągało narodu, że kupy już stały w opłotkach, pełno było w podwórzu a już zgoła ciżbą się gęstwili wpodle brogu, że imo czerwieniało na śniegach od kobiecego przyodziewku.

Bróg był spalony do cna i porozwalany, że jeno dwa słupy sterczały z pogorzeli, opalone kiej główne, na chlewach zaś i szopie dachy porozrywano do samych zrębów i rozrzucono, że cała drożka i pole wokół, na jakie pół stajania, zaniesione były opalonem poszyciem, potrzaskanemi latami, przepaloną słomą i napół zwęglonem drzewem i wszelką spalenizną.

Śnieg padał bez przerwy i zwolna pokrywał wszystko szklistą powłoką, a miejscami topniał od przytających żarów, a niekiedy z porozwalanych kup siana wytryskiwały strugi czarnego dymu i buchał blady, trzeszczący płomień, że wnet rzucali się nań chlopi z osękami, dusili trepami, bili kijami i przywalali śniegiem.

Właśnie byli rozwlekli taką roztlałą kupę, gdy któ-

ryś, bodaj chłopak Kłębów, wygarnął osiękiem jakąś opaloną szmatę i podniósł wysoko.

— Jagusina zapaska! — wrzasnęła urągliwie Kozłowa, boć już dobrze wiadano, co się stało.

— Pogrzebta-no chłopaki, może najdzieta tam jeszcze jakie portki!...

— Hale! wyniósł je całe, tyle, że mógł zgubić na drodze.

— Dzieuchy już szukały, ktosik je uprzedził.

— By Hance odnieść — gadały, wybuchając śmiechem.

— Cichota, pyskacze, ale! na zabawę się zebrały i zęby będą szczyryć z cudzego nieszczęścia! — krzyknął rozgniewany sołtys. — Do domu, baby! czego tu stoita? Jużeśta dosyć namelły ozorami — i rzucił się, by rozganiać.

— Zasię wam do nas! pilnujcie swojego, kiejście na to ustanowieni! — krzyknęła Kozłowa tak mocno, że sołtys tylko popatrzył na nią, splunął i poszedł w podwórze, a nikt się nawet nie ruszył z miejsca, baby zaś jęły sobie trepami podsuwać zapaskę, oglądać, a coś cicho i ze zgrozą opowiadać.

— Taką trzeba ze wsi wyświecić ozogiem, kiej czarownicę! — rzekła w głos Kobusowa.

— A przecie! bez nią to wszystko! bez nią! — przygadywała Sikorzyna.

— Juścić, ale Pan Jezus strzegł, że cała wieś nie poszła z dymem! — szepnęła Sochowa.

— Bo i prawda, że cud, prawdziwy cud!

— Wiatru też nie było i wczas spostrzegli.

— A ktośik w dzwon uderzył, bo wieś była w pierwszym śpiku.

— Pono to niedźwiedniki szły z karczmy i pierwsze zobaczyły.

— Moiściewy! ale ich sam Boryna złapał w brogu i tyle co rozegnał, a tu ogień zaraz buchnął. Miarkowałam wczoraj u Kłębów, że coś będzie, skoro razem się wynieśli.

— Pono już dawno stróżował za nimi.

Jakże! powiadał mój chłopak, że wczoraj cały czas chodził po drodze przed Kłębową chałupą i miał ich na oku — prawila pod nosem Kobusowa.

— To też widno, co bez złość Antek podpałił.

— Abo się to nie odgrażał?

— Cała wieś o tem wiedziała.

— Musiało się na tem skończyć, musiało! — dogadywała Kozłowa.

A w drugiej grupie starszych gospodyń szeptano również różności, jeno tyle, że ciszej i ważniej.

— Stary pono tak zbił Jagnę, że leży chora u matki... wiecie to?

— Jakże! zaraz do dnia, powiadali, wygnał ją, skrzynkę za nią wyrzucił i wszystkie szmaty — dorzuciła milcząca dotąd Balcerkowa.

— Nie powiadajcie byle czego, byłam dopiero co w chałupie, skrzynka stoi na swom miejscu — objaśniała Płoszkowa.

— Ale już na weselu przepowiadałam, że się tak skończy — podjęła głośniej.

— Co się dzieje, mój Jezus! co się dzieje! — jęknęła Sochowa, chwytając się za głowę.

— Ano co, do kreminalu go wezmą i tyla!

— Sprawiedliwie mu się to należy: cała wieś mogła pogorzeć!

— A tom już spała w najlepsze, a tu Łuka, co lała z niedźwiednikami, bębni w okno i krzyczy: »Gore!« Jezus Marja! w oknach czerwono, jakoby kto żarzewiem szyby obwalił, to mi już ze strachu całkiem moc odjeno... a tu dzwon bije... ludzie krzyczą... — opowiadała Płoszkowa.

— Skoro jeno powiedzieli, że Boryna się pali, zaraz mnie tknęło, że to Antkowa sprawa, — przerwała jej któraś.

— Cichocie, powiedacie, jakbyście na oczy widzieli.

— Widzieć nie widziałam, ale skoro wszystkie powiadają...

— Jeszcze w zapusty bąkała o tem tu i ówdzie Jagustynka...

— Ani chybi, wezmą go w dybki i posadzą w kreminalu.

— Co mu ta zrobią? widział to kto? są na to świadki? co — zauważyła Balcerkowa, że to procesownica była sielna i na prawie się znała.

— A nie złapał go to stary?...

— Złapał, ale na czem innem, a choćby i widział podpalenie, świadczyć nie może, bo ociec i w złości z sobą żyli.

— Sądów to sprawa, nie nasza, ale kto winowaty

przed Bogiem i ludźmi, jeśli nie ta suka, Jagna? co? — podniosła znowu surowy głos Balcerkowa.

— Prawda! Juści! takie zbereżeństwo, taki grzech! — szeptały ciszej, zbiły się w kupę i zaczęły jedna przez drugą wypominać jej grzechy.

Gadały coraz głośniejszej i coraz zawzięciej potępiały Jagnę, wygłaszały teraz wszystko, co ino było i nie było, co ino która kiedybądź zasłyszała, albo i sama stworzyła na nią; wszystkie dawne urazy i zawiści zasyczały w duszach, że jako ten kamienny grad leciały na nią przezwiska, wymysły, odgróзки, złe i nienawistne słowa, wzburzona złość, że gdyby się tak jawiła w tej chwili to ani chybi, z pieściami rzuciłyby się do niej.

Chłopi zaś w drugiej kupie poredzali spokojniej, ale niemniej zawzięcie powstawali na Antka; gniew zwolna ogarniał wszystkie serca, wzburzenie głębokie, srogie kołysało tłumem, błyskało w oczach piorunami, że niejedna pięść się wyciągała groźnie, gotowa do spadnięcia, niejedno twarde słowo jak kamień zawarczało, że nawet Mateusz, któren go obraniał zrazu, dał spokój, a jeno wkońcu rzekł:

— Rozum mu odjąć musiało, jeśli się na taką rzecz ważył!

Ale na to skoczył rozszrożony kowal i jął przekładać gospodarzom, że Antek dawno się odgrażał podpaleniem, że stary już zdawna wiedział o tem i całemi nocami pilnował.

— A że on to zrobił, tobym przysiągł, a zresztą są świadki, zeznają i musi być kara na takich! musi! A bo to nie zmawiał się wciąż z parobkami, nie buntował to

przeciw starszym, nie podmawiał do złego, wiem ci ja nawet z którymi, wiem, patrzę nawet na nich, słuchają mnie teraz i jeszcze śmiać bronić takiego! — wrzeszczał groźnie. — Zaraza z takiego na całą wieś płynie, zaraza, że do kreminalu, na Sybir go, kijami zatłuc kiej psa wściekłego, bo nie dość obraży boskiej, żeby z rodzoną macochą... A tu podpała jeszcze! Cud jeno, że cała wieś nie poszła! — wykrzykiwał namiętnie, snadź miał w tem jakieś wyrachowanie.

Zmiarkował to Rocho, stojący z Kłębem na uboczu, i rzekł:

— Mocno stajecie mu naprzeciw, choć wczoraj jeszcze piliście z nim w karczmie.

— Wróg mi kaźden, któren wieś całą mógł powieść na dziady!

— Ale dziedzic to wama nie wrogiem! — dorzucił poważnie Kłęb.

Zawrzeszczał ich, zakrzyczeli i insi, a kowal rzucał się między ludzi, podjudzał, do pomsty wzywał, niestworzone rzeczy wymyślał na niego, aż i naród dość już wzburzony zmaćił się do dna i zakłębł, zaczęli głośno wołać, by przywieść podpalacza, skuć w kajdany i do urzędu powieść, a insi, gorętsi, już się oglądali za kijami i chcieli bieżyć, wywlec go z chałupy i tak sprać, by całe życie popamiętał!... najbarzej nastawali ci, którym nieraz Antek zebra zrachował kijaszkiem...

Rejwach się podniósł, krzyki, klątwy, pogrożki i takie zamieszanie, że naród się skłębł i miotał jako ten gąszcz smagany wichurą i jał się kolebać, bić kiej fala o płoty, przec ku wrótniom i na drogę przeciekać — pró-

żno wójt skoczył uspokajając, próżno sołtys i coraz starsi przedkładali i tłumaczyli, głosy ich ginęły w piekielnej wrzawie a oni sami, porwani przez pęd, szli razem z innymi, nikt ani słuchał ni zważał na ich mowy, kuźden się rwał, rzucał, krzykał, co mu sił starczyło, że kieby opętanie jakieś poniesło wszystkich wichurą pomsty...

Naraz Kozłowa jęła się przedzierać naprzód i krzyczeć w niebogłosy :

— Oboje winowaci, oboje przywlec i skarać na pogorzelsku...

Baby a zwłaszcza komornice i biedota wszystka wzięły wtór za nią i z krzykiem nieludzkim, rozczapierzone, nieprzytomne zgoła darły się pobok niej na czoło przez gęstwę rozwścieklonym, huczącym potokiem; podniósł się wrzask i pisk w wąskich opłotkach, boć wszyscy się naraz cisnęli, wszyscy krzyczeli, wszyscy trząchali pięściami, przepychali się z mocą, że jeno oczy błyszczwały groźnie i splątana, dzika wrzawa biła od nich kiej belkot wód wzburzonych, kiej ten głos gniewu powszechnego, co objął wszystkie serca płomieniem — tłoczyli się coraz mocniej i prędzej, gdy ci na przedzie idący jęli wołać :

— Ksiądz z Panem Jezusem idzie! ksiądz!

Tłum się zatargał jakby na uwięzi, zakolysał i runął na drogę, przystawał, rozpadał się na bryzgi sciszał aż i nagle przymilkł całkiem i upadł na kolana i pochylił obnażone głowy...

Ksiądz bowiem nadchodził od kościoła z Panem Jezusem; Jambroży szedł z zapaloną latarnią na przedzie i przydzwaniał...

Przeszedł rychło, że widział się już jakoby za

obmarzniętą szybą w tym gęstym, śniegowym tumanie, gdy zaczęli powstawać z klęczek.

— Do Filipki idzie, tak pono przemarzła wczoraj w boru, że już od świtania ledwie zipie, mówią, co wieczora nie doczeka.

— Wzywali go też i do Bartka z tartaka...

— Zachorzał to?

Jakże, nie wiecie? drzewo go tak przygnietło, że pewnie już nic z chłopca nie będzie... — szeptano, spoglądając za księdzem.

Kilka gospodyń ruszyło za nim w asyście i cała hurma chłopaków poleciała na przelaj przez staw ku młynowi, reszta zaś stała bezradnie jak to stado owiec, kiedy je zagnała pies obgoni, gniew się gdziesik podział, ten pęd mocy prysnął, gwar umilkł, że rozglądali się po sobie, jakby przecknięci z głębokiego snu, przestępowali z nogi na nogę, drapali się po łbach, coś niecoś przerzekali, a że niejednemu wstyd się robiło, to jeno spluwał, czapę naciskał i chyłkiem przebierał się z gromady, która kiej ta woda rozlewała się po drodze i ginęła zwolna rozciekając się po opłotkach i chałupach. Kozłowa jedna mimo wszystko jazgotała głośno i wygrażający się Jagnie i Antkowi, ale widząc, że ją wszyscy odstępili, nakłęła, by sobie ulżyć złości, skłóciła się z Rochem, któren jej słowa prawdy powiedział i poszła na wieś, że wkońcu ostalo ludzi mało wiele i ci, którzy czuwali nad pogorzela i strzegli, by w razie odnowy ognia dać pomoc.

Ostał się w podwórzu i kowal, ale tak rozeźlony tem, co się stało, że milczał, kręcił się niespokojnie, za-

glądał po kątach i raz po raz przeganiał Łapę, któren wciąż za nim naszczekiwał i docierał...

Boiryna zaś nie pokazał się ani razu przez cały ten czas, powiadali, że zakopał się w pierzyny i śpi, jedna tylko Józka, z zapuchłemi od płaczów oczami, wyzierała przed chałupę na naród i kryła się z nawrotem, że sama Jagustynka obrządzała gospodarstwo, ale i stara była dzisiaj kiej osa kąśliwa i nieprzystępna jak nigdy, że bali się jej pytać, bo tak odpowiadała, iż jakby kto pokrzyw polizał.

Zaś o samem południu przyjechał pisarz ze strażnikami i jeli opisywać pogorzel i badać przyczyny pożaru, to juści, że i reszta narodu rozpierzchła się na wsze strony, by czasem nie pociągnęli do świadczenia.

Drogi zagnała opustoszały prawie całkiem, prawda, że i śnieg walił bezustannie, a nawet jeszcze mokrzejczy, bo nim tknął ziemi, topniał i grząską młaką pokrywał wszystko, w chałupach natomiast wrzało kieby w ulach, bo w Lipcach tego dnia zrobiło się jakoby święto niespodziane, mało kto co robił i pamiętał o czem, że gdzieś krowy ryczały przy pustych żłobach, a jeno radzono wszędzie, często ktoś się przemykał z chałupy do chałupy, baby latały z ozorami, nowiny krążyły kiej wrony z komina do komina, a w oknach i przed drzwiami, to w opłotkach wyzierały rozciekawione twarze czekające, czy też Antka powiezą strażniki!

Ciekawość i zniecierpliwienie rosło z godziny na godzinę, a niewiada było nic pewnego, bo co trochę ktosik wpadał zziajany i powiedział, że już do Antka poszli, drudzy zaś przysięgali, że strażników pobili, wyrwał się

z więzów i w cały świat poszedł, a insi zasię znowu co innego pletli.

To zaś ino było prawdą, że Witek latał do karczyny po gorzałkę i że z komina Borynowego sielnie się kurzyło, miarkowali z tego, co jakąś warzę la strażników urządzają.

A już pod sam wieczór przejechała wójtowa bryka z pisarzem i strażnikami, ale bez Antka!

Zdumienie i rozczarowanie zawodu ogarnęło wieś, boć wszyscy byli pewni, że go zakutego w kajdany powiezą do kreminatu, próżno się głowili, a deliberowali, co stary zeznał do protokołu, wiedział jeno o tem wójt i sołtys, ale ci nie chcieli nic powiadać, więc ciekawość wzrosła niepomiernie i snuły się przypuszczenia coraz insze i zgoła niepodobne do wiary...

Noc się zwolna zrobiła ciemna i dość cicha, śnieg był przestał padać i brało jakby na przymrozek, bo choć chmurzyska bure przeganiały po niebie, ale gdzie nigdzie, w przerwach wysokich, błysnęła gwiazda wyiskrzona i ostry powiew ścisnął zdziebko rozmiękle śniegi, że chrupały pod nogami, po chałupach błyskały światła i ludzie, kupiąc się po ciasnych izbach, przed ogniskami, uspokajali się po całodziennych wzruszeniach, nie przestając jednak snuć domysłów i przypuszczeń!

Bo juścić materji nie brakowało, jeśli bowiem Antka nie zabrali, to on nie spalił, więc kto? — Nie Jagna przecież, niktby temu wiary nie dał, nie stary; taka myśl ani postać nikomu w głowie!

Błądzili przeto kieby po omacku, nie mogąc w żaden sposób znaleźć wyjścia z męczącej zagadki... We

wszystkich chałupach gadali o tem, a niktó prawdy się nie dowiedział, tyle jeno z tych deliberacyj wyszło, że gniew do Antka przeszedł, zmiłkli nawet jego wrogowie, a przyjaciele jak Mateusz podnieśli znowu obronne głosy, ale natomiast wzniesła się sroga niechęć ku Jagnie i dochodziła aż do zgrozy strasznego, śmiertelnego grzechu. Kobiety ją ano wzięły na ozory i tak przewlekały między sobą, że jakby po tych ostrych cierniach, nie ostawiając całego nawet ni kawałka skóry! Dostało się przy tem i Dominikowej niemało, dostało... a jeszcze i barzej ciskały się na nią w złości, że niktó nie wiedział, co się z Jagną dzieje, bo stara odpędzała ciekawych od proga, kieby tych psów naprzykrzonych.

Ale jedno co zgodnie i jednako wszyscy czuli, to głębokie współczucie dla Hanki, nad którą się szczerze litowano i żalowano serdecznie, a nawet Klębowa i Sikora zaraz z wieczora poszły do niej z dobrem słowem, wzięwszy coś niecoś w węzelki.

Tak ano przeszedł on dzień na długo pamiętliwy, nazajutrz zaś wszystko powróciło do dawnego, ciekawość przygasła, gniewy ostygły, wzburzenie się uciszyło i opadło, kuźden znowu wrócił do swojej koleiny, pochylił głowę pod jarzmem i niósł dołę, jak Pan Bóg przykazał — bez szemrania i z cierpliwością.

Juścić, że gadano tu i ówdzie o tych zdarzeniach, ale coraz rzadziej i płoniej, bo każdemu bliższe są i pierwsze własne troski a frasunki, jakie dzień każdy zosobna przynosi.

Przyszedł marzec i nastały czasy zgoła nie do wytrzymania, dnie były ciemne, smutne i tak przejęte pluchą,

deszczami, to śniegiem mokrym, że trudno się było wychylić za chałupę, słońce jakby się gdzieś zatraciło w tych niskich, zielonawych topielach chmur, że nawet i na to oczówmgnienie nie rozbłyskało — śniegi zwolna topniały albo podmiękły, sflażone zieleńiły się od pluchy, kiej pleśnią obrosły, woda stała w brózdach i zatapiała niziny i obejścia, nocami zaś brały przymrozki, że trudno się było utrzymać na olodowaciałych drogach i przejściach.

Przez taki psi czas prędzej i zapomniano o pożarze, ile że ni Boryna, ni Antek, ni Jagna nie drażnili sobą ludzkich oczów, to wpadli w niepamięć, jako ten kamień na dno, że jeno woda czasami zgurbi się nad nim, zmarszczy, połamie, rozkolesi, zaszemrze i znowu płynie spokojnie.

Tak przeszło dni parę aż do ostatniego, zapustnego wtorku.

Że zaś ostatki były półświątkiem, więc już od samego rana niemały ruch uczynił się po chałupach, bo przyogarniano nieco izby, a z każdego prawie domu ktoś pojechał do miasteczka za różnościami, głównie zaś po mięso albo choćby po ten kawał kielbasy lub sperki, jeno biedota musiała się kumentować śledziem, wziętym na bóg od żyda i ziemniakami ze solą.

U bogaczy, to już od samego południa smażono pączki, że mimo pluchy po całej wsi rozwłóczyły się zapachy przepalonego szmalcu, prażonych mięsów i jensze, barzej jeszcze jątrzące ślinę smaki.

Niedźwiedniki włóczyły się znowu od chałupy do

chałupy ze swojemi cudakami, że wciąż a coraz w innej stronie buchały wrzawliwe głosy chłopaków.

Wieczorem zaś, po kolacji, zrobili muzykę w karczmie, na którą kto żyw i ruchał nogami, pośpieszył, nie bacząc na deszcz ze śniegiem, jaki zaraz o zmierzchu padał.

Zabawiano się ze wszystkiego serca, ile że to ostatni raz przed wielkim postem. Mateusz grał na skrzypicy, do wtóru mu przebierał na fleciku Pietrek, Borynów parobek, a przybębniał Jasiek Przewrotny.

Hulano ochotnie jak mało kiedy i dopóźna, dotela, póki dzwon na kościele nie uderzył na znak, że to już północ i zapustom koniec; wnet zmiłkły muzyckie głosy, zaprzestano tańców, dopito śpiesznie flach i kieliszków i naród się cicho rozchodził, że ostał jeno Jambroży niezgorzej napity, bo swoim zwyczajem jął przed karczmą wyśpiewywać.

Tylko w chałupie Dominikowej błyszczalo światło dopóźna, powiadali, że do drugich kurów, bo siedział tam ano wójt ze sołtysem i zgodę czynili między Jagną a Boryną...

Wieś już dawno spała, cichość objęła świat, bo deszcz jakoś z północka ustał, a oni jeszcze radzili...

.

Jeno w Antkowym domu nie było cichości, ni spokojnego spiku, ni wesołych ostatków.

Co się tam działo w Hanczynej duszy przez te długie noce, od tej minuty, gdy ją w czas pożaru spotkał przed chałupą i siłą przyniewolił do powrotu, to chyba

jeden Pan Bóg wie, ale tego żadne ludzkie słowo nie wspomni.

Juści, że jeszcze tej samej nocy dowiedziała się wszystkiego od Weronki.

To zamarła w niej dusza od męki i leżała jako ten trup nagi, śmiercią swoją okropny. Przez pierwsze dwa dni prawie się nie ruszała od przęślicy, prząść nie przędła, a jeno ruchała bezwolnie rękami jako ten człowiek we śpiączce śmiertelnej, zapatrzona pustym, wyżartym wzrokiem w siebie, w te lute wieje smutków, w te żalosne odmęty lez palących, krzywd i niesprawiedliwości, że ni spała przez ten czas, ni jadła, ni wiedziała dobrze, co się wokoło dzieje, nawet płaczów dziecińskich nie pomna ni siebie, aż ulitowała się nad nią Weronka i zajęła się dziećmi i starym, któren na dobitkę zachorzał po tem chodzeniu do lasu i leżał na przypiecku, postępując zcicha.

Antka też jakby nie było, wychodził równo ze świtem a wracał późną nocą, nie bacząc na nią ni na dzieci, a zresztą nie mogła się przemóc choćby na to jedno słowo do niego, nie poredziła, tak zapiekłą miała duszę z żalości i jakby na kamień stęzała.

Dopiero trzeciego dnia jakoś przebudziła się; przecknęła jakby ze snu strasznego, ale tak zmieniona, że kieby zgoła inna podniosła się z tej martwicy, twarz miała szarą, popielną zgoła, porytą zmarszczkami, postarzała o lata, a tak przystygła, że jakoby ją kto z drzewa wyrzezał, jeno oczy gorzały bystro a sucho i usta zacinały się mocno, opadła przytem do cna z ciała, że szmaty wisiały na niej kiej na kołku.

Powstała znowu do życia, ale i na wewnątrz przemieniona, bo choć dawną duszę miała jakby zetloną na proch, to w sercu poczuła jakąś dziwną, -nieodczuwaną dawniej moc, nieustępliwą siłę życia i walki, hardą pewnością, że przemoże i weźmie górę nad wszystkim.

Przypadła zaraz do dzieci popłakujących żałośnie, ogarnęła je sobą i dziw nie zadusiła w całunkach i wraz z nimi buchnęła długim, słodkim płaczem, to jej dopiero ulżyło i powróciła do pamięci.

Uporządkowała prędko izbę i poszła do Weronki, dziękować za dobre serce i przeproszać za dawne winy; zgoda wnet nastąpiła, nie dziwiła się temu siostra, a jeno tego nie mogła zmiarkować, że Hanka się nie skarżyła na Antka, nie pomstowała, nie wyrzekała na dołę, nie, jakby te rzeczy umarły dawno i padły w niepamięć, tyle, co wkońcu powiedziała twardo:

— Tak się teraz czuję, kiej wdowa, to juści, że już sama muszę się poturbować o dzieciach i o wszystkim.

I wkrótce jeszcze tego dnia na odwieczerzu poszła na wieś do Kłębów i innych znajomków, by się przewidzieć, co się tam z Boryną dzieje... boć dobrze zapamiętała jego słowa wyrzeczone wtedy, przy rozstaniu.

Ale nie poszła zaraz do niego, przeczekała jeszcze dni parę, wagała się bowiem nawijać mu się przed oczy tak prędko po wszystkim.

Dopiero we wstępną środę, w Popielec, nie szykując nawet śniadania, ogarnęła się jak mogła najlepiej, dzieci dała pod Weronczyną opiekę i zabierała się do wyjścia.

— Kaj się to zbierasz tak rano? — zapytał Antek.

— Do kościoła, Popielec dzisiaj — odrzekła niechętnie i wymijająco.

— Nie sporządzisz to śniadania?

— Idź se do karczmy, żyd ci jeszcze poborguje — wyrwało się jej niechętnie.

Skoczył na równe nogi, kieby go kto kijem zdzielił, ale nie zważając na to, wyszła.

Nie bojała się już teraz krzyków jego ni złości, jakby obcym a tak dalekim się jej widział, aż się sama temu dziwowała, a choć czasami drgało w niej cosik, jakby ostatni płomyk dawnego miłowania, niiby to zarzewie przywalone smutkami i rozdeptane, gasiła je w sobie z rozmysłem, siłą przypomineków tych nieprzebolanych nigdy krzywd.

Akuratnie i ludzie wychodzili do kościoła, gdy skrzyła na topolową drogę.

Dzień się zrobił dziwnie jasny i pogodny, słońce świeciło od samego wschodu, nocny, tęgi przymrozek jeszcze się był nie roztopił w odwildze, ze strzech kapalo sznurami lśniących paciorków, a zlodowaciałe wody po drogach i rowach świeciły się kiej lustra, oszroniałe zaś drzewa roziskrzyły się w słońcu, płonęły i kieby tą srebrną przędzą leciały na ziemię; czyste, niebieskie niebo pełne mlecznych, małych chmur, grało w słońcu jako rozkwitły lnowy łan, gdy weń stado owiec wpadnie i tak się weprze, że ledwie im białe grzbiety widać, powietrze przeciągało czyste, mroźne a tak rzeźwe, iż człek z lubością niem dychał. Poweselał cały świat, lśniły się kałuże i mieniły się złotymi brzaskami wyszklone śniegi, po dro-

gach dzieci ślizgały się zawzięcie i pokrzykiwały radośnie, gdzie niegdzie zaś staruch jaki wystawał pod ścianą na słońcu, psy nawet naszczekiwały radośnie, przeganiając stada wron, włóczących się za żerem — a cudna, przesłoneczniona roztocz zalewała cały świat pogodną jasnością i prawie wiosnianem ciepłem.

W kościele natomiast owionął Hankę przejmujący chłód i głębokie, modlitewne milczenie. Msza cicha już się odbywała przed wielkim ołtarzem, naród w pobożnym skupieniu, rozmodlony, zalegał gęstwą środkową nawę, zalaną potokami światła, a wciąż jeszcze nadchodzili opóźnieni.

Ale Hanka nie cisnęła się do ludzi, poszła w boczna nawę pustą całkiem i tak mroczną, że jeno gdzie niegdzie żółciły się złocenia o lodowych, skąpych smugach światła, chciała ostać sam na sam z duszą własną i Bogiem, przyklękła przed ołtarzem Wniebowzięcia, pocałowała ziemię, rozłożyła ręce i wpatrzona w słodką twarz Matki litościwej, zatopiła się w modlitwie.

Tutaj dopiero wybuchnęła żalami, u tych świętych nówek Pocieszycielki złożyła przekrwawioną ranami duszę w pokorze najgłębszej a dufności bezgranicznej i czyniła spowiedź serdeczną. Przed Matką i Panią całego narodu kajała się z win wszelkich, bo juścić, grzeszna była, skoro ją tak Pan Jezus pokarał, grzeszna!

»A to nieużyteczliwa la drugich, a to wynosząca się nad inne, a kłótniwa, a niechluj, a to lubiła i zjeść dobrze, i polenić się, a to w służbie Bożej opieszała — grzeszna była« — krzyczała w sobie rozpalonym, opłyniętym krwią żalem skruchy, że dziw jej serce nie pękło i błagała o zmi-

łowanie, za Antkowe ciężkie grzechy i przewiny zebrała miłosierdzia i tłukła się w serdecznej prośbie, jako ten ptaszek, co przed śmiercią ucieka i bije skrzydełkami w szyby, trzepoce się, piuka żałośnie, by go zratowali.

Placz nią wstrząsnął i przepalał żar prośb i błagań, z duszy, jakby raną otwartą, płynął strumień modłów i płakań, co się kiej te krwawe perły rozsuwały po zimnej podłodze.

Msza się skończyła i cały naród w skrusze, a często gęsto i z płakaniem przystępował do ołtarza, chyląc pokornie głowy pod popiół, którym ksiądz z głośną modlitwą pokutną posypywał przyklękających.

Hanka, nie czekając tej popielcowej uroczystości, wyszła na świat, wielce czując się wzmożoną na siłach i dufna już całkiem w pomoc Bożą.

Z podniesioną głową odpowiadała na ludzkie pozdrowienia i szła wśród spojrzeń ciekawych nieulekła, śmiało zaś choć ze drzeniem skręciła w Borynowe opłotki.

Mój Boże, tylachna czasu nogą tutaj nie stąpiła, a jeno jako ten pies zawsze krążyła zdala i żałośnie, ogarniała też teraz kochającym wzrokiem dom i budynki, płoty i każde drzewko lśniące w osiedielinie a tak pamiętliwe; jakby z jej serca wyrosło, z jej krwi było.

Roześmiała się jej dusza rozradowaniem, że gotowa była całować tę ziemię świętą, a ledwo wstąpiła przed ganek, Łapa się do niej rzucił z takim skowytem radosnym, aż Józka wyjrzała do sieni, stając w zdumieniu, nie wierząc własnym oczom.

— Hanka! Loboga! Hanka!

— Jam ci, jam, nie poznajesz czy co? Ociec doma?

Dyć są w chałupie, są... żeście to przyszli... Hanka!... — i rozplakalo się dzieuszysko, całując ją po rękach, kiej tę matkę rodzoną.

Stary zaś, posłyszawszy głos, sam wyszedł naprzeciw i wprowadził do izby, do nóg mu padła z płaczem, wzruszona jego widokiem i przypomnieniami, bijącemi z każdego kąta tej chałupy kochanej. Rychło się utuliła, bo stary jął się wypytywać o dzieci i ze współczuciem użalał się nad nią i jej zmizerowaniem; opowiadała wszystko, nie tając niczego, wystraszona tylko zmianą, jaka w nim zaszła; postarzał się bowiem bardzo, wychudł na wiór i pochylił mocno, twarz mu jeno ostała dawna, barzej jeszcze zacięta i groźna.

Rozmawiali długo, ani razu nie wypominając Antka ni Jagny, strzegli się oboje tykać tych bolączek nabrzmiatych, a gdy po jakiej godzinie Hanka zabierała się do wyjścia, stary przykazał Józce naszykować w tobołki, co ino było można, aż Witek musiał to wieźć na saneczkach, boby sama nie udźwignęła, a jeszcze na odchodnem dał jej parę złotych na sól i rzekł:

— Przychodź-że częściej, choćby i codzień, nie wiada co się ze mną stać może, to dawaj na dom baczenie, Józka ci krzywą nie jest.

Z tem i poszła, rozmyślając po drodze nad ojcowemi słowami, że nawet mało zwracała uwagi na opowiadanie Witka, któren jej szeptał, jako wójt ze soltysem co dnia przychodzą i do zgody z Jagną naglą starego, że nawet do dobrodzieja gospodarz chodził wraz z Dominikową, która wczoraj do późna w noc radziła ze starym, i tak plótl, co ino wiedział, by się jej przypochlebić.

W chałupie zastała jeszcze Antka, naprawiał sobie but pod oknem, nie spojrział nawet na nią, a dopiero ujrzawszy Witka i tobołki, ozwał się ze złością.

— Byłaś widzę po proszonym...

— Kiej zesłam na dziadówkę, to i z litości ludzkiej żyć muszę.

Gdy zaś Witek wyszedł, wybuchnął gniewem.

— Przykazywałem ci, psiakrew, byś do ojca nie chodziła!

— Sam mnie przyzwał, tom poszła, sam mnie opatrzył, tom wzięła, z głodu mrzeć nie będę ni dzieciom nie dam, kiej ty o to nie stoisz!

— Odnieś to zaraz, nie potrza mi nic od niego! — zakrzyczał.

— Ale mnie potrza i dzieciom.

Mówię ci odnieś, albo sam mu odnieś, w gardziel wrażę, niech się udusi swoją dobrością, słyszysz, bo za drzwi wszystko wyciepnę!

— Spróbuj ano, tknij choćby a obaczysz! — warknęła, chwytając za magłownicę, gotowa bronić do upadłego, tak groźna i rozjuszona, że cofnął się zmieszany tym oporem niespodziewanym.

— Tanio cię kupił, glonkiem chleba jak tego psa — mruknął ponuro.

— Jeszcze taniej nas i siebie sprzedał, bo za Jagniną kieckę! — wykrzyknęła bez namysłu, że zwinął się jakby nożem pchnięty, ale Hanka jakby się naraz wściekła, zalały ją wspomnienia krzywd, że buchnęła nagłym, wezbranym potokiem wypominków i żalów wiecznie tajonych, nie darowała mu już nic, nie przepomniała ani

jednej przewiny, ani jednego zła a jeno bila w niego zapamiętałością kieby temi cepami, że by mogła — zabiłaby na śmierć w tej minucie!...

Uląkł się jej rozwścieklenia, zatargało mu się cosik w piersiach, przychylił się i nie wiedział co rzec, złość go opadła i gorzki, gryzący wstyd tak mu zalał duszę, że chwycił czapkę i uciekł z chałupy.

Długo nie mógł pomiarkować, co się jej stało, a jeno jak ten pies sponiewierany gnał gdzieś przed się, bez pamięci zgoła — jak zresztą co dnia...

Od owej strasznej chwili pożaru wyrabiało się w nim cosik straszego, że jakoby się całkiem wściekł w sobie. Na robotę nie chodził, choć młynarz przysyłał po niego parę razy, ino wałęsał się po wsi, w karczmie przesiadywał i pił, snując coraz krwawsze zamysły pomsty i nie widząc już nic poza tem — iż go nawet nie obchodziły posądzenia o podpalenie ojca.

— Niech mi to do oczów któren powie, niech się waży! — powiedział Mateuszowi w karczmie i na głos, by ludzie słyszeli.

Sprzedał żydowi ostatnią jałówkę i przepijał ją z kompanami, bo stowarzyszył się z najgorszymi ze wsi, przystali do niego tacy, jak Bartek Koziół, Filip z ła wody, Franek Młynarczyk i te co najgorsze Gulbasowe wisielaki, które zawsze były pierwsze do wszelkiej rozpusty i ciągiem się po wsi wałęsały kiej wilki, upatrując, coby się chycić dało i nieść żydowi na gorzałkę, ale jemu zarówno było, jakie są, byle się jeno przy nim kompaniono, bo mu bakę świecili, jak pieski w oczy nagląda-

jąc, że choć czasem i pobił, ale półkwatunki gęsto stawał i ochraniał przed ludźmi.

Wyprawiali też społem takie brewerje po wsi, napastowania i bijatyki, że co dnia chodziły na nich skargi do wójta a nawet i przed dobrodzieja.

Przestrzegał go Mateusz ale nadarmo, próżno i Kłęb z czystego przyjacielstwa zaklinał, by się ustatkował i do zguby nie szedł, próżno mu przekładał — Antek ani usłuchał, ni dał sobie co mówić, zapamiętywał się coraz barzej, jeszcze więcej pił i już się całej wsi odgrażał.

I tak się stulał w to jakieś zatracenie, kieby z tego pagórka spadzistego, nie bacząc na nic ni na nikogo, a wieś nie przestała mieć na niego pilnego baczenia, bo choć o tem podpaleniu różnie różni powiadali, ale widząc, co wyprawia, oburzali się coraz mocniej, a że przytem i kował zcicha podjudzał, to zwolna odstręczali się nawet dawni przyjaciele, omijali go zdala, pierwsi głośno powstając na niego. Juści, nie stojał o to, pomstą zaślepiony, boć tem jeno dychał, rozdmuchując ją w sobie niby zarzewie, by płomieniem buchnęło.

A do tego, jak na złość wszystkim z Jagną nie zaprzestał, kochanie go tam do niej ciągnęło, czy co innego, Bóg ta wie — w Dominikowej stodole się schodzili, juści, że skryto przed matką, tyle że im Szymek pomagał ohochnie, pewny za to Antkowej pomocy przy ożenku z Nastką.

Jaguś wychodziła do niego niechętnie, pod strachem zawdy, bo jakby w niej do cna struchlało kochanie po mężowych basałkach, od czego nosiła jeszcze bolące ślady, ale zarówno bojała się Antka, gdyż zapowiedział

groźnie, że jeśli nie wyjdzie do niego na każde zawołanie, to on w biały dzień, przy wszystkich, przyjdzie do chałupy i spierze ją jeszcze lepiej od Boryny.

Juści, kto przez kogo zgrzeszy, temu się do niego nie śpieszy, ale że groźbą niewolił, to wychodziła rada nierada.

Nie długo to jednak trwało, bo jakoś zaraz we czwartek popielcowy przyleciał do karczmy Szymek, odciągnął go w kąt i powiedział, że dopiero co Jagnę pogodzili ze starym i już się do niego przeniesła.

Jakby go kłonicą zdzielił przez ciemienie, tak go zamroczyła ta nowina, boć wczoraj jeszcze o zmierzchu widział się z nią i ani słówkiem nie wspomniała.

— Tańta przede mną! — pomyślał, jakby mu kto żywego ognia nasypał w serce, że ledwie się doczekał wieczora i pobiegł.

Długo krążył koło ojcowej chałupy, naglądał i wyczekiwał przy przełazie, nawet się nie pakowała. Tak się tem rozjątrzył i uzuchwalił, że wyrwał jakiś kolek i wszedł w obejście, gotowy na wszystko, zdecydowany iść choćby do chałupy — już był na ganku i nawet za klamkę brał, ale w ostatniej chwili odrzuciło go coś od drzwi, przypomnienie ojcowej twarzy stanęło mu w oczach z taką mocą, że cofnął się stwożony, zadygotał cały z przerażenia, nie mógł się przemóc, a ino cicho, strachliwie, chyłkiem poniósł się z nawrotem.

Nie mógł potem zrozumieć, czego się ulęknął, co się z nim stało, zupełnie jak wtedy nad stawem.

Ale i dni następnych nie mógł się z nią zobaczyć, choć całe wieczory wystawał przy przełazie i czaił się jak wilk.

Nie spotkał jej nawet w niedzielę, choć długo czatował przed kościołem.

Umyślił przeto iść na nieszpory, pewny, że ją tam spotka i znajdzie jakiś sposób pomówienia.

Spóźnił się nieco, bo nieszpory już się zaczęły, kościół był pełny a tak mroczny, że jeno pod sklepieniami szarzały resztki dnia, dołem zaś, w ciemnościach, gdzie niegdzie roztlalych płomieniem stoczków, mrowił się naród i warkotał kiej rzeka, kołysząc się ku wielkiemu ołtarzowi rzęsiście oświetlonemu; przepchał się aż do kraty i rozglądał nieznacznie, ale nie dojrzał Jagny ni nikogo od ojca, natomiast często łapał ciekawe spojrzenia wlepione w siebie i czuł, że zwracają baczenie, bo ktoś niektoś poszeptywał do sąsiada, wskazując nań ukradkiem.

Śpiewali już gorzkie żale, boć to była pierwsza niedziela postu. Ksiądz ubrany w komżę siedział z boku ołtarza z ksiązką w ręku i raz wraz spoglądał na niego surowo.

Organy huczały przejmująco a cały naród śpiewał w jeden głos, chwilami zaś urywały się głosy, scichały organy i z chóru, jakoby gdziesik z pod nieba, rozlegał się płaczliwy, urywany głos organisty, czytającego rozważania męki Pana Jezusowej.

Antek zaś nic nie słyszał, bo zwolna zapomniał po co przyszedł i gdzie jest; przejęły go te śpiewy nawskrós i osnuły pieszczoną, kołyszącą nutą, że dziwnie osłabł w sobie, senność go ogarniała i głęboka cisza, że zapadał i jakby leciał gdziesik, w jakąś światłość, a co oprzytomniał i otworzył oczy, spotykał się z oczami księdza, któren nań wciąż spoglądał, że to wyższy był nad dru-

gie i już zdala widny, a tak świdrował, iż Antek odwracał ciężałą głowę i znowu zapominał o wszystkim; przecknął z naglą.

»Wisi na krzyżu Pan Stwórca nieba
Płakać za grzechy człowiecze trzeba«.

Zahuczał kościół, że jakby z jednej, niepojętej jakiejś gardzieli wyrwał się ten krzyk i buchnął taką żałośliwą mocą, takim przepłakany jękiem, aż mury się zatrzęsły, naród porwał się z klęczek, zakłębił i rozgrzmiał wszystkimi naraz głosami, duszą wszystką śpiewał i wszystkim płaczem pokutnym.

Prześpiewali a długo jeszcze po kościele tłukły się jękliwe, bolesne echa i szmer lkań, westchnień i modłów gorących.

Nabożeństwo jeszcze się ciągnęło dość długo, ale już był docna przytomny. Odszedł go śpiak, a jeno jakiś ciężki, niezwalczony smutek czepił się duszy i tak ją rozpierał, że gdyby nie wstyd, nie zdzierzyłby tych łez, co się cisnęły do oczów, że już chciał wyjść, nie czekając końca, gdy naraz organy umilkły, ksiądz stanął przed ołtarzem i zaczął wygłaszać naukę.

Ludzie zaczęli się pchać naprzód, że ani myśleć było o wyjściu, ruszyć się nawet nie mógł, przyparty do kraty; cisza ogarnęła kościół, że każde słowo księdza słychać było wyraźnie. Opowiadał o Męce Jezusowej, a gdy skończył, jął napominać grzesznych, groźnie wytrząchając rękami a patrząc co trochę na Antka, któren wprost niego stojał, jeno niżej nieco i nie mógł oderwać oczów,

kieby przykuty i urzeczony palającymi spojrzeniami księdza...

W skupionej i zasłuchanej gęstwie już się zrywały płacze, już gdzie niegdzie żalne westchnienie się rozległo, to święte słowo Jezus zabrzmiało jękiem, a ksiądz mówił coraz mocniej i groźniej, rósł zda się w oczach wszystkich, olbrzymiał, błyskawice rzucał oczami, wznosił ręce i słowa jego padały na głowy kiej kamienie i jako rozpalone żelazo przypiekały serca — bo jął smagać a wspominać przewiny wszystkie i zdrożności, jakich się dopuszczali: a zakwardziałość w grzechach, niepamięć przykazań Bożych i one klótnie wieczne, bijatyki, pijaństwa — mówił zaś tak gorąco, że zatrzęsły się dusze w udręce grzeszności swojej, rozplakaly się żalami wszystkie serca i kieby deszcz rosisty zaszemrały płacze i wzdychy pokutne — a ksiądz naraz pochylił się ku Antkowi i ogromnym głosem wołał o synach wyrodnym, o podpalaczach ojców rodzonych, o uwodzicielach i grzesznikach takich, których nie minie ogień wieczny ni kara ludzka.

Struchlał ci cały naród, przycichł raptem tając dech w piersiach, wszystkie oczy kiej ten grad piorunowy padły na Antka, boć rozumieli, kogo ksiądz wspomina, a on stał wyprostowany, poblady na płótno i ledwie dychający, gdyż te słowa leciały na niego z hukiem, jakby cały kościół się walił, obejrzał się jeno jakby za ratunkiem, ale luz się robił dookoła, dojrzał załękłe i groźne twarze, odsuwające się mimowoli kiej od zapowietrzonego, a ksiądz krzyczał już całym głosem i wyklinał go a do pokuty wzywał, a potem zwrócił się do całego narodu, wyciągnął

ręce i wołał, by się strzegli takiego zbója, by się chronili przed takim, by dawali takiemu odprawę od ognia, wody i jądła, od strzechy nawet by odganiaли jak parszywy grzech, bo zaraża wszystko i kała, a gdy się nie poprawi, złego nie naprawi, pokutował nie będzie — to, by wyrwali go jak pokrzywę i precz wyrzucili na zatracenie.

Antek odwrócił się nagle i wolno szedł do wyjścia, ludzie mu się usuwali z drogi, że kieby ulicą zmagła uoczynioną przechodził, a głos księdza biegł za nim i sma-gał go do żywej krwi.

Jakiś krzyk rozpaczliwy zerwał się na kościele, ale nie słyszał, jeno szedł prosto przed siebie, prędko, by nie paść trupem z męki, by uciec z tych oczów szarpiących, od tego głosu straszego.

Wypadł na drogę i ani wiedząc gdzie, poleciał w to-polową drogę, ku lasom, przystawał chwilami załękły i słuchał głosu, który mu wciąż brzmiał w uszach kiejdzwon i tak bił ciężko, że dziw głowa nie rozpękła.

Noc była ciemna i wietrzna, topole przyginały się z szumem, że niekiedy gałąź jakaś chlastała go po twar-zy, to znowu przyciszało się i drobny, przykry, marcowy deszcz zacinał w twarz, ale Antek nie zważał na nic, biegł jak błędny, a przerażony i pełen grozy niewypow-iedzianej.

— Że już i gorzej być nie może! — szepnął wreszcie przystając. — Sprawiedliwie mówił! Sprawiedliwie!

— Jezus mój, Jezus! — ryknął naraz, chwytając się za głowę, bo w tym momencie jakby przejrzał i zrozumiał

winy swoje i grzechy, że wstyd wprost nieludzki zaszarpał mu duszą i ozrywał ją na kawały.

Pod jakimś drzewem siedział długo, zapatrzony w noc i zasluchany w cichą, trwożliwą i straszną jakąś gęźbę drzew.

— Przez niego wszystko, przez niego! — począł krzyczeć i ogarnęło go jakby szaleństwo gniewu i nienawiści, wstały wszystkie żale dawne i wszystkie dzikie zmysły pomsty skłębiły się w nim i przewalały, jak te chmury, pędzące po niebie.

— Nie daruję! Nie daruję! — zawyla w nim dawna zapamiętałość, że ostro ruszył z powrotem do wsi.

Kościół był już zamknięty, w chałupach się świeciło a po drogach tu i owdzie spotykał ludzi stojących kupkami i radzących cosik mimo deszczu i zimna.

Poszedł do karczmy, dojrzał przez okno, że jest tam sporo ludzi, ale się nie zawahał i wszedł ostro i jakby nigdy nic, przystąpił do największej kupy i chciał się witać ze znajomkami; któryś mu tam rękę podał, ale reszta odsunęła się żywo na wsze strony i śpiesznie zaczęli wychodzić.

Nim się spostrzegł, został prawie sam w karczmie; dziad jakiś siedział przed kominem i żyd za szynkwasem.

Zrozumiał, że to on rozgonił wszystkich, ale pokłnął i to i kazał dać kieliszek wódki, jeno że postawił niedopity kieliszek i śpiesznie wyszedł.

Łaził błędnie dookoła stawu i spoglądał z uwagą na pręgi światła, co chlustały gdzie niegdzie z okien na śnieg przemiękły i lśniły się w wodzie, pokrywającej lód.

Zmiekł znowu w sobie i niewypowiedziana ciężkość

zwalila mu się na serce, poczuł się tak samotnym, zbiedzonym i nieszczęśliwym, taką potrzebę czuł wyżalenia się i wejścia między ludzi, posiedzenia choćby przed jakim ogniem, że do pierwszej z brzoza chałupy poszedł do Płoszków.

Byli wszyscy, ale na jego wejście porwali się ze straszeni, nawet Stacho nie wiedział, co rzec.

— Jakbym zarznął kogo, tak patrzycie! — rzekł cicho i poszedł do drugich, do Balcerków, ale i ci przyjęli go lodowato, bąkali coś niecoś a nikt nawet przysiąść nie zapraszał.

Zajrzał jeszcze tu i owdzie, wszędzie było to samo.

Więc jakby dla próby ostatniej, by sobie nie oszczędzić żadnej boleści i upokorzenia, poszedł do Mateusza; nie było go doma, jeno stara Gołębowa, prosto z miejsca, wywarła na niego pysk, skłęła i jak tego psa przegoniła z chałupy.

Ani słówkiem nie odrzekł, ni się gniewem zapalił, odeszła go bowiem wszelka złość i pomiarkowanie, co się z nim dzieje. Powłókł się wolno w noc, obchodził staw, to przystawał gdzie niegdzie i patrzył na wieś, zatopioną w mrokach, znaczącą się jeno światełkami okien, patrzył zdumiony, jakby ją po raz pierwszy widział, otaczała go dookoła przywartemi do ziemi chałupami, zagradzała go zewsząd, że jakby ruszyć się nie mógł i wyrwać z tych płotów i sadów i świateł. Nie mógł się pomiarkować, czuł jeno, że jakaś moc nieprzeparta bierze go za gardziel i do ziemi przygina, do jarzma nakłania i przejmuje niewytłumaczonym strachem.

Z głęboką trwogą spozierał na rozblysłe okna, bo

mu się wydało, że go stróżują, że patrzą za nim i nieprzerwanym łańcuchem idą na niego, ściskają i wiążą w pęta, że już ruchać się nie mógł, ni krzyczeć, ni uciekać, więc przywarł pod jakimś drzewem i zmacony do dna słuchał, że od domów, z cieniów wszystkich, z pól, z pod samego nieba, spadają nań srogie potępienia słowa i cały naród idzie na niego.

— Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! — szeptał z najgłębszą pokorą, pełnią serca skruszonego, strachem śmiertelnym przejęty i tą mocą wsi potężną.

Światła zwolna gasły jedno po drugim, wieś usypiała, deszcz jeno mżył i trzepał w pochylone drzewa, a czasem pies gdziesik zaszczekał i cichość przerażająca ogarniała świat, gdy Antek oprzytomniał zupełnie i porwał się na nogi.

— Sprawiedliwie mówił... swoją prawdę powiedział.. ale ja mojego nie daruję... żebym skapiał, nie daruję, psiakrew!...

Krzyknął zapamiętałe, wygrażając pięściami wsi całej i wszystkiemu światu!...

Nacisnął czapkę i poszedł do karczmy.

XIII.

Na zwiesnę się miało; ciągiem nieprzerwanym szły już te rozkiste dnie marcowe, że czas się ano uczynił zgoła psi, rozmiękły, zimny i przemglony; co dnia padały deszcze ze śniegiem, co dnia szły takie wycinki a flagi, iż na świat wyrzeć było nie sposób; co dnia brudne, skoł-

tunione ciemnice tłukły się po polach i tak przyduszały wszelką światłość, że posępne, ciężkie zmierzchy wisały nad ziemią od świtu do nocy, zaś niekiedy, jeśli z burych topieli wyrzało słońce, to ledwie na to Zdrowaś, że nim dusza pocieszyła się jasnością i kości poczuły ciepło — już nowe mroki się roztrzęsały nad światem, nowe wichry zawodziły, nowe pluchy i flagi szły, aż dzień się niejeden widział jako ten psiak utytlany, błotem ociekły i z zimna skamlący.

Matjasilo się to narodowi, że i nie wypowiedzieć, tem się jeno kaźden krzepił a pocieszał, by jeszcze jaką niedzielę wstrzymać albo i dwie i zwiesna całkiem prze- może i za wszystko zapłaci, ale tymczasem flażyło cią- giem nie do wytrzymania, przeciekało przez dachy, kajś niekaj zacinało przez ściany i okna, lało ze wszystkich stron, że już nie można było sobie dać rady z wodą, wa- liła bowiem z pól, pełno jej było po rowach, a drogi lśniły się kiej te potoki bystre, zatapiała opłotki i stała grząskiem i sadzawkami w obejściach a że zaś śnieg co dnia barzej topniał i szły ciągle deszcze, ziemia prędko odmarzyła i puszczały lody, to już miejscami, po stronie południowej, czyniło się takie blocko, iż musieli kłaść przed chałupami deski albo mościć przejścia słomą.

Noce zaś tak samo były ciężkie do zniesienia, hur- kotliwe, zadeszczone i tak ciemnicami przejęte, że się już nieraz widziało, jakoby na wieki pogasły wszelkie świa- tłości; nawet z wieczora mało w której chałupie zapalali ogień; chodzili spać o zmierzchu, tak się czas przykrzył, tyle jeno, co tam, gdzie zbierały się prządki, jaśniały szybki i brzęczały zcicha przyśpiewywane Gorzkie Żale

i drugie pieśni żalosne o męce Pańskiej, a wtórował im wiatr, deszcze i szum drzewin, tłukących się o płoty.

To i niedziwota, że Lipce jakby przepadły w tych roztopach, boć ledwie ano mógł rozeznąć chałupy od pól przemiękłych i zadeszczzonego świata, ledwie je dojrzał w tych mglistkach burych, przywarte do ziemi, obmokłe, poczerniałe i do cna zbiedzone, a co już pola, sady, drogi i niebo, to jedną topielą siną się widziały, że nie wiada było zgola, kaj jej początek a kędy koniec.

Ziab przytem był przykry i do żywego przejmujący, to i mało kiedy dojrzał kogo na drogach, deszcz jeno trzepał, wiatry przemiałały, drzewiny się trzęsły i smutek wiał światem całym, pustka była naokół i cichość w całej wsi jakby wymarłej, tyle jeno było żywych głosów, co tam jakieś bydłatko zaryczało przy pustym żłobie, to kury zapiały od czasu do czasu albo gąsiorzy, odsadzone od gęsi siedzących na jajach, rozkrzykiwały po podwórcach.

A że dnie były coraz dłuższe, to i barzej się mierziło ludziom, bo nikto roboty żadnej nie miał, paru robiło na tartaku, paru zwoziło z lasu drzewo dla młynarza, a reszta wałęsała się po chałupach, wysiadyla w sąsiedztwach, by jakoś ten dzień się przewlókł — a jaki taki, co starowniejszy, brał się narządzać plugi, to brony lub inszy sprzęt gospodarski sposobił na zwiesnę, do roli przydatny, jeno niesporo to szło i ciężko, bo wszystkim zarówno dokuczały pluchy i frasunki przejmowały serca; oziminy bowiem srodze cierpiały od tych wycinków, że już miejscami na niższych polach widziały się do cna wymarżłe, to niejednemu kończyła się pasza i głód za-

glądał do obór, gdzie znów ziemniaki pokazały się przemrożone, owdzie choroby zagnieździły się w chałupie, a do wielu przednówek się dobierał.

Nie w jednej bo już chałupie jeno raz w dzień warzyli jadło a sól za jedyną okrasę mieli — to i coraz częściej ciągnęli do młynarza, brać ten jaki korczyk na krwawy odrobek, bo zdierus był srogi a niktó gotowego grosza nie miał ni co wywieść do miasteczka; drudzy zasie to i do żyda do karczmy szli, skamląc, by ino na bóg dał tę szczyptę soli, jaką kwartę kaszy, albo i ten chleba bochenek!

Juści koszula nie rządzi, kiej brzuch błądzi.

A narodu potrzebującego było tyła, zarobków zaś żadnych i u nikogo, gospodarze sami nie mieli, co robić, dziedzie jak się był zawzjął, że żadnemu Lipczakowi grosza zarobić w lesie nie da, tak i nie ustąpił mimo prósb, choć całą gromadą do niego chodzili, to juści, że i bieda u komorników i co biedniejszych gospodarzy robiła się taka, że dobrze stojał niejeden i Bogu dziękował, jeśli miał choć ziemniaki ze solą i te gorzkie łyzy za przyprawę.

To juści że z tych różnych różności rodziły się we wsi ciągle biadania, swary, a klótnie, a bijatyki, boć naród cierpiał, chodził strapiony, niepewny jutra, struty niepokojem, że jeno szukał okazji by na drugich wyrzucić z nawiązką to, co go na wnątrzu jadło — toć i bez to aż się chałupy trzęsły od plotek, kłyźnień, a przemówień.

A kieby na tę przykładkę djabelską, zwaliły się choroby różne na wieś, jak to zresztą zwyczajnie bywa przed zwiesną, w niezdrawy czas, kiej wapory smrodliwe

biją z tającej ziemi, to i najpierwej spadła ospica kiej ten jastrząb na gąsięta i dusiła dzieciątka, biorąc kaj niekaj i starsze, że nawet dwoje wójtowych, najmłodszych, nie odratowały sprowadzone dochtory i powieźli je na cmentarz, potem zaś febry i gorączki, to insze choróbska zwaliły się na starszych, iż co drugi dom ktosik kwękał, na księżą oborę patrzył i zmiłowania Pańskiego wyglądał — aż Dominikowa nie mogła nastarczyć lekować, a że przytem i krowy zaczynały się cielić i niektóra kobieta też zległa, to rwetes we wsi stawał coraz większy i zamieszanie jeszcze narastało.

Bez takie ano sprawy naród burzył się w sobie i coraz niecierpliwiej wyglądał zwiesny, boć wszystkim się widziało, że niech jeno śniegi spłyną, ziemia odtaje i przeschnie, słońce przygrzeje, by można wyjść z pługiem na role, to i biedy a frasunki się skończą.

Ale wszystkim się widziało, że wiosna wolniej nadchodzi latoś niżli po drugie noki, bo wciąż lało i ziemia wolniej puszczała i wody leniwiej spływały, a co gorsza, że ano krowy jeszcze się nie leniły i włos mocno siedział, co znaczyło, że zima potrzyma dłużej.

Więc niech jeno nastala jaka godzina suchsza i słońce zaświeciło, roilo się zaraz przed chałupami, ludzie z zadartemi głowami tęskliwie przepatrywali niebo, wymiarkowując, żali to nie na dłuższą odmianę idzie, staruchy zaś wyłazili pod ściany nagrzewać struchlałe kości, a co było dzieci, wszystkie biegały z wrzaskiem po drogach, kiej te źrebaki, wypuszczone na pierwszą trawę.

I co w taki czas było radości, wesela, śmiechów! Świat cały zajmował się płomieniami od słońca, go-

rzały światłością wody wszelkie, rowy były, kiejby je kto roztopionem słońcem napelnił po brzegi, drogi zaś widziały się jakby z topionego złota uczynione, lody na stawie, przemyte deszczami, pobłyskiwały jako ta misa cynowa, czarniawo, drzewa nawet skrzyły się od rosy nieobeschłej, a pola, pobródzone strugami, leżały jeszcze oniemiale, czarne, martwe a już jakby dychające ciepłem i wezbrane wiosną i pełne skrzeń i bełkotliwych głosów wód, a tu i ówdzie niestopione śniegi jarzyły się ostrą białością, kiej te płótna rozciągnięte do blichu; niebo zmodrzało, odsłoniły się dale przymglone, zdziebko jakby osnute pajęczynami, że oko szło nawskrós i leciało hen, na pola nieobjęte, na czarne linje wsi, na stoki borów, we świat ten cały dyszący radością, a powietrzem szły takie lube, wiosniane tchnienia, że w sercach człowieka stawał radosny krzyk, dusze się rwały, we świat ponosiło, że kuźdenby leciał w to słońce, jako te ptaki, co nadciągały gdzieś od wschodu i pływały się w czystym powietrzu; każdy rad wystawał przed domem i rad rozprawiał nawet z nieprzyjaciół.

Milknęły wtedy kłótnie, przygasaly spory, dobrość przejmowała serca i wesole pokrzyki leciały po wsi, wypełniały domy radością i drżały świegotliwemi głosami w powietrzu ciepłem.

Wywierano narozcież chałupy, odbijali okna, by wpuścić do izb nieco powietrza, kobiety wylazily na przyzby z kądziałami, nawet dzieciątka wynoszono w kolysskach na słońce, a z otwartych obór rozlegały się raz po raz tęskliwe poryki bydlątek, konie rżały, rwąc się z uźdżeniec na świat, gęsi zaś uciekały z jaj i przekrzy-

kiwały się z gęsiorami po sadach, koguty piałły po płotach, a psy kiej oszalałe szczerkały po drogach, ganiając wraz z dziećmi po błocie.

Naród zaś postawał na opłotkach i mrużąc od blasków oczy, spozierał radośnie na wieś, taplającą się w słońcu, że jeno szyby grały ogniami, kobiety rozprawiwały po sąsiedzku, przez sady, że głosy szły na całą wieś, powiedali sobie, że ktosik ano już słyssał skowronka, że i pliszki widzieli na topolowej drodze; to znowu któryś dojrzał na niebie, wysoko pod chmurami sznur dzikich gęsi, że wnet pół wsi wybiegło na drogę patrzeć, a inszy potem rozpowiadał jako i boćki już spadły na łąkach za młynem. Nie dawano temu wiary, boć dopiero marzec dobiegał do połowy! A któryś, bodaj Kłębowy chłopak, przyniósł pierwszą przyłasczkę i latał z nią po chałupach, że oglądali ów blady kwiatuszek z podziwem głębokim, by tę świętość najwyższą i dziwowali się wielce!

Tak ano to ciepło zwodne czyniło, że się już ludziom widziało, jako zwiesna się zaczyna, jako wnet z plugami ruszą na pola, więc z trwogą tem większą spoglądano na chmurzące się znagła niebo, a ze smutkiem głębokim, gdy słońce się skryło i zimny wiatr powiał, brzaski pogasły, świat ściemniał i drobny deszcz począł mżyć!... A z wieczora mokry śnieg tak jął walić, że może w jakie dwa pacierze przybielił znowu wieś całą i pola...

Wszystko powróciło do dawnego tak prędko, że w nowych dniach deszczów, wycinków i błotnej taplaniny,

niejednemu się widziało, jako tamte słoneczne godziny były jeno snem rychło przespanym.

W takich to ano sprawach, radościach, smutkach a tęsknicach przechodzi czas narodowi, to juści niedziwota, że Antkowe sprawki, Borynowe pożycie czy tam jakie insze historje, albo śmiercie czyje i co drugiego, jako te kamienie padały na dno pamięci, boć kaźden miał dośc swojego — że ledwie uradził.

A dnie przechodziły niepowstrzymanie, narastały, kiej te wody płynące z morza wielgachnego, że ani im początku ni końca wymiarkować, szły i szły, iż ledwie człowiek ozwarł oczy, ledwie się obejrzał, ledwie się niecoś wyrozumiał a już nowy zmrok, już noc, już nowe świtanie i dzień nowy i turbacje nowe i tak ano w kółko, by się jeno woli Boskiej stało zadość!

Ktoregoś dnia, bodaj w samo półpoście, czas się zrobił jeszcze gorszy, niżli kiej indziej, bo chociaż jeno mzył drobny deszcz, ale ludzie czuli się tak źle jak nigdy do tela, łazili po wsi kiej spętani, poglądając żałośnie na świat zatkany chmurzyskami tak gęsto, że darły się ano napęczniałemi brzuszyskami o drzewa. Smutno było, mrokro i zimno i tak mroczno na świecie, że płakać się ano chciało z tęskności niezmożonej, niktó się już dzisiaj nie klócił i nie przemawiał, kaźdemu zarówno wszystko było, bo kaźden jeno cichego kąta patrzył, by lec i o niczem nie baczyć.

Dzień był posepny jak to patrzenie chorego, co ledwie oczy rozewrze i coś niecoś rozpozna i znówu pada w mrok chorobny, bowiem ledwie przedzwonili południe,

zmroczalo nagle, podniósł się głuchy wiatr i bił wraz z deszczem w poczerniałe chałupy.

Na drogach było pusto i cicho od ludzi, tylko wia-ter z szumem przemiałał po błocie, to deszcz pluskał, jak kieby kto tem ziarnem ważnem ciepał na drzewiny roz-trzęsione i poczerniałe ściany, to znowu staw barował się ano z pękającymi lodami, bo raz po raz trzask się rozle-gał i grochot i wody z krzykiem wychłustywały na wy-brzeża.

W taki to dzień, jakoś na samem odwiecznerzu, gruchnęła po wsi nowina, że dziedzic rąbie chłopski las.

Nikt temu zrazu wiary nie dawał, bo skoro dotela nie rąbał, to jakże, terazby, w połowie marca, kiej ziemia odmarza i drzewa soki ciągnąć zaczynają, ciał będzie?

Szła juści w boru robota, ale każden wiedział, iż przy obróbce drzewa.

Jaki ta dziedzic był, to był, ale za głupiego nikto go nie miał.

A jeno głupi w marcu spuszczałby budulec...

I nawet nie wiada, kto taką nowinę rozgłosił, ale mimo to zakotłowało się we wsi, że ino drzwi trzaskały i błoto się otwierało pod trepami, tak biegali z tą wieścią po chałupach, przystawali z nią po drogach, schodzili się do karczmy medytować i żyda przepytać, ale żółtek jucha zapierał się i przysięgał, że nic nie wie, to już i gdzie niegdzie krzyki powstawały i to złe słowo padało i la-ment babi się rozlegał, wzburzenie zaś rosło niepomier-nie, niepokój a złość i trwoga zarazem opanowywały na-ród cały.

Dopiero stary Kłęb zarządził, by sprawdzić tę no-

winę i nie bacząc na pluchę, pchnął konno swoich chłopaków do lasu na zwiady!

Długo ich widać nie było zpowrotem, nie było chałupy, żeby z niej ktosik nie wypatrywał pod las na dróżki, którądy pojechali, ale już i mrok dobry zapadł, a oni nie wrócili jeszcze, na wieś zaś całą padła cichość wzburzona i przez moc przytłumiana i groźna wielce, złości bowiem, kiej te dymy gryzące, osnuwały duszę, bo chociaż jeszcze nikt wiary pełnej nie dawał, ale wszyscy byli pewni potwierdzenia tej wieści złowróznej, więc jaki taki jeno klął, drzwiami trzaskał i szedł na drogę, wyglądając, czy nie wracają...

Kozłowa zaś podjudzała naród, co ino mogła, biegła ano z pyskiem i kaj jeno chcieli dać ucha, przytwierdzała, zaklinając się na wszystkie świętości, jako na własne oczy sprawdziła, że już z dobre pół włóki chłopskiego wyboru wycieli, powołując się na Jagustynkę, z którą się była sielnie stowarzyszyła w ostatnich czasach. Jużci, że stara przytakiwała, wszystkiemu rada będąc wielce mętowi, a nazbierawszy przytem nowinków różnych po chałupach, poszła z niemi do Borynów.

Właśnie byli tam co ino zaświecili lampkę w izbie czeladnej, Józka z Witkiem obierali ziemniaki a Jaguś krzątała się kole wieczornych obrządków, stary zaś przyszedł nieco później; Jagustynka jeła mu wszystko opowiadać pilnie i z dobrą przykładką.

Nie ozwał się na to, a jeno do Jagny rzekł:

— Weź łopatę i bieżyj pomóc Pietrkowi, trza wodę spuścić ze sadu, bo może wleźć do kopców... Ruszaj że się prędzej, kiej mówię! — krzyknął.

Jagna cosik zamamrotała naprzeciw, ale tak na nią srogo gembę wywarł, że w dyrdy pobiegła, on zaś sam również poszedł w podwórze naglądać, że raz po raz rozlegał się jego gniewny głos w stajni, to w oborze, to przy kopcach, że aż w chałupie było słyhać...

— Cięgiem to taki sprzeciwny? — spytała stara, zabierając się do zniecenia ognia.

— A cięgiem — odparła Józka, trwożnie nasłuchując.

Jakoż i tak było, bo ano od dnia pogodzenia się z żoną, na co tak rychło się zgodził, aż się temu dziwowano, przemienił się do niepoznania. Zawždy był kwardy i niełacno ustępliwy, ale teraz to już się zgoła na kamień przemienił. Jagnę do domu przyjął, niczego jej nie wymawiał, ale miał ją teraz zgoła za dziewczkę i tak ją też uważał i honorował. Nie pomogło jej przymilanie się, ni uroda, ni nawet złości, ni te rzekome dąsy i gniewy, któremi to kobiety chłopów wojują. Całkiem na to nie zważał, jakby mu obcą była a nie żoną ślubną, że nawet już nie baczył, co ona wyrabia, choć dobrze pewnikiem wiedział o jej schodzeniach się z Antkiem.

Nie pilnował jej nawet i jakby całkiem nie stał o nią. Jakoś w parę dni po zgodzie pojechał do miasta i aż drugiego dnia powrócił; powiadali sobie we wsi na ucho, że u rejenta jakieś zapisy robił, a jensi jeszcze przebąkiwali zcicha, że pewnie zapis Jagusi odebrał. Juści, że nikto prawdy nie wiedział kromie Hanki, która w takich laskach u ojca teraz była, że ze wszystkiem się przed nią zwierzał i radził, ale ona i tej pary z gemby nie puściła przed nikim, co dnia zaglądała do starego

a dzieci, to już prawie nie wychodziły z chałupy, że nie-raz i sypiały razem z dziadkiem, tak je bowiem miłował.

Boryna zaś jakby pozdrawiał od tej pory, chodził po dawnemu prosto i hardo na świat spoglądał, jeno się tak ozeźlił w sobie, że o byle co gniewem buchał i ciężki był la wszystkich, prosto nie do wytrzymania, bo na czem swoją rękę położył, to juści, że do ziemi przygiąć się musiało i tak być, jako chciał, a nie, to fora ze dwora.

Juści, krzywdy nie czynił nikomu, ale też i dobrości społecznie nie posiewał, nie, dobrze to czuły sąsiady. Rządy wziął w swoje ręce i nie popuszczał ni na pacierz, komory pilnie strzegł a kieszeni jeszcze barzej, sam ano wszystko wydawał i srogo stróżował, by dobra nie marnowali, la wszystkich w domu był twardy, ale już szczególniej dla Jagusi, boć nigdy tego użyczliwego słowa jej nie dał a tak napędzał do roboty, kiej tego zwalkonionego konia i w niczem nie folgował, że i nie było dnia bez swarów, a często i gęsto rzemień bywał w robocie, albo i co twardziejsze, bo i w Jagnę wlaźł jakiś zły duch i ciskał ją naprzeciw.

Ulegać bowiem ulegała, niewolił ją, to i cóż było począc, mężowy chleb, mężowa woła, ale na słowo przykre miała swoich dziesięć, na krzyk zaś kaźden podnosiła taki wrzask, takie piekło wyprawiała, że na całą wieś się roznosiło. Piekło też wrzało w chałupie ciągiem, jakby sobie oboje w niem upodobali, zmagając się we złości całą mocą dotela, kto kogo przeprze, a żadne ustąpić pierwsze nie chciało.

Próżno Dominikowa chciała łagodzić i zgodę

sprząc między nimi, nie poredziła przemoc zawziętości, ni żalów, ni krzywd, jakie im w sercach narastały.

Borynowe miłowanie przeszło jako ta łośka zwieszna, o której nikt nie pamięta, a ostala się jeno żywa pamięć przeniewierstwa jej i krwawiący wstyd i luta, nieprześlągana złość — w Jagnie się też dusza znacznie przemieniła, źle jej było, ciężko i tak przykro, że i niewypowiedzieć: win swoich jeszcze nie miarkowała a kary czuła boleśniej, niżli drugie kobiety, że to i serce miała barzej czujące i chowana była pieściwiej i już w sobie była zgoła delikatniejsza od inszych.

Męczyła się też, mój Jezus, męczyła!

Juści, że robiła staremu wszystko na złość, nie ustępowała bez musu, broniła się, jak mogła, ale to jarzmo i tak coraz ciężej i boleśniej przyginało jej kark, a poratunku nie było znikąd. Ileż to razy chciała wrócić do matki — stara się nie godziła, pograżając jeszcze, że przez moc odeśle ją mężowi, na postronku...

To i cóż miała począć ze sobą? co? Kiej nie poredziła żyć jak drugie kobiety, co to i parobków se nie żalują i uciechy żadnej i rade znoszą domowe piekło, co dnia się bijają z chłopami i co dnia razem spać chodzą pogodzeni.

Nie, nie poredziła tego, mierziło się jej życie coraz barzej i jakaś nieopowiedziana tęskność rozrastała się w duszy, wiedziała to za czem?

Za zło płaciła złem, prawda, ale w sobie była zestrachana ciągiem, pokrzywdzona wielce i tak rozżalona, że nieraz przepłakała cale długie noce, aż poduszka

była mokra, a nieraz te dnie swarów, kłótni tak się jej przykrzyły, iż była gotową uciekać choćby w cały świat.

Ale gdzie to pójdzie, dokąd?

Dookoła stał świat otwarty, ale tak straszny, tak nieprzenikniony, tak obcy i głuchy, że zamierała w bojaźni! jako ten ptaszek, kiej go chłopaki przychwycą i pod garnczek wsadzą.

To i niedziwota, że z tego wszystkiego garnęła się do Antka, choć go miłowała jakby jeno ze strachu i rozpacz: bo wtedy, po onej nocy strasznej, po ucieczce do matki cosik pękło w niej i pomarło, że się już nie wyrwała do niego całą duszą jak przódzi, nie biegła na każde zawołanie z bijącym sercem a radością, a jeno szła jakby z musu niewolenia, a i bez to, że w chałupie źle było i nudno, a i bez to, że na złość staremu, a i bez to, iż się jej widziało, że wróci to dawne, wielkie miłowanie — ale na dnie głębokiem serca krzewił się zjadliwy kiej trutka żal do niego, iż to wszystko, co ją spotyka, te smutki, zawody, to całe ciężkie życie, to przez niego; i ten jeszcze, boleśniejszy, cichszy i nigdy niewypowiedany żal, że on nie jest tym, jakiego w sobie umiłowała — dziki, szarpiący żal zawodu i rozczarowania. Przecież się jej widział raniej jakimś inszym, takim, któren do nieba unosił umiłowaniem, zniewalał dobrością i był ponad wszystko na świecie najmilejszy, a tak różny od drugich, że zgoła do nikogo niepodobien we wszystkim — a teraz widział się jej takim samym jak i drugie chłopcy, gorszym nawet, bo się go barzej bojała, niżli Boryny, bo ją straszyl ponurością swoją i cierpieniem, a przerażał zawziętością. Bojała się go, wydawał się jej

dzikim i strasznym, kiej ten zbój z lasów; jakże, sam ksiądz wypominał go w kościele, wieś cała odstąpiła, ludzie palcami wytykali, jako tego najgorszego; biła od niego jakaś zgroza śmiertelnego grzechu, że nieraz, słuchając jego głosu, zamierała z przerażenia, bo widziało się jej, że zły jest w nim i całe piekło dookoła; robiło się jej wtedy tak straszno w duszy, jak wtedy, gdy dobrodziej naród napomina i mękami straszyl!

Ani jej nawet na myśl nie przyszło, że i ona winowata tych grzechów jego, gdzie zaś, jeśli czasem rozmyślała, to jeno o jego odmienności, nie poredziła tak jasno kalkulować, ale czuła ją tylko mocno, że traciła coraz bardziej serce do niego, iż sztywniała mu nieraz w ramionach, jakby piorunem zagnała rażona, pozwalala się brać, bo jakże opierać się takiemu smokowi... a przytem młoda przecież była, o krwi gorącej, mocna, a on dziw nie zduszał w uściskach, to mimo wszystko, co myślała, oddawała mu się również potężnie, tym rzutem ziemi spragnionej wiecznie ciepłych dżdżów i słońca, jeno że już ni razu dusza jej nie padała mu do nóg z onej uciechy niepowściągliwej, ni razu nie omraczało jej czucie takiego szczęścia, co to aż do proga śmierci z lubością wiedzie, ni razu nie zapamiętała się już do cna, nie; myślała wtedy o domu, o robotach, i o tem, by staremu co nowego na złość zrobić, a czasem, aby jaknajprędzej ją puścił i poszedł sobie.

Właśnie teraz snuło się jej to wszystko po głowie, spuszczała wody od kopców na podwórze, robiła od niechcienia, z przykazu jeno, spoglądając pilnie za głosem starego i doszukując się go w podwórzu, Pietrek robił

zawzięcie, że ino warczała gruda i błoto wyrzucane, a ona zaś chyba tyła, by jeno słychać było, że robi, a skoro stary poszedł do domu, naciągnęła zapaskę na głowę i ostrożnie przebrała się za przelaz, pod Płoszkową sto-
dołę.

Już tam Antek był.

— Dyc czekam na cię z godzinę — szepnął z wymówką.

— Mogłeś nie czekać, kiej ci było gdzie indziej po-
trza — burknęła niechętnie, rozglądając się dokoła, noc
bowiem była dość widna, deszcz ustał, ino zimny, suchy
wiatr pociągał od lasów i szumem bił w sady.

Przygarnął ją do siebie mocno i zaczął całować po
twarzy.

— Gorzałka jedzie od ciebie kiej z kufy! — sze-
pnęła, odchylając się z obrzydzeniem.

— Bom pił, śmierdzi ci już moja gemba.

— Hale, o gorzałce myślałam jeno! — powiedziała
miękciej i ciszej.

Bylech i wczoraj, czemuś to nie wyszła?

— Ziąb był taki a i roboty przecie mam nie mało.

— Prawda, a i starego też musisz pieścić i pie-
rzyną przyokrywać — syknął.

— A przecie, bo to nie mój chłop! — rzuciła
twardo i niecierpliwie.

— Jagna, nie drażnij!

— Kiej ci się nie podoba — nie przychódź, pła-
kała po tobie nie będę.

— Przykrzy ci się już wychodzić do mnie, przy-
krzy...

— Jakże, bo ino na mnie ciągiem huru-buru, kiej na tego łyska...

— Baczysz mi to, Jaguś, dyć mam swojego ty-lachna, że i niedziwota, jak się człowiekowi wypśnie to jakie słowo twarde, nie przez złość przecie, nie — szeptał pokornie i objąwszy ją, tulił do siebie serdecznie, ale sztywna była, zadąsana i jeśli oddała całunki, to jakby z musu, i jeśli odrzekła to jakie słowo, to ino tak, by coś mówić, a ciągiem się rozglądała, chcąc już wracać.

Czuł ci to dobrze, czuł, to jakby mu pokrzyw nakładli na pazuchę, tak to zapiekło, aż szepnął z wyrzutem bojaźliwym.

— Przódzi nie bywało ci tak pilno...

— Bojam się, wszyscy w chałupie, mogą mnie szukać...

— Juści, przódy to choćby na całą noc się nie bo-jałaś, przemieniłaś się docna...

— Nie pleć, co się ta miałam przemienić...

Przymilkli, obejmując się mocno, czasem cisnęli się do się goręcej, sprzęgani nagle pożądaniem, szukając ust swoich chciwie, porwani wspólną falą przypominków, poczuciem win czynionych względem siebie, żalem nad sobą, litością, głębokiem pragnieniem utopienia się w sobie — ale nie poredzili, bo dusze odbiegały od siebie daleko, nie znajdowali słów pieszczonych i kojących, bo w sercach wrzały gorzkie urazy, tak żywe, iż bezwolnie rozplątały się im ramiona, chłodli do siebie i stali kiej te zimne słupy, że jeno serca były im kołatliwie a na wargach plątały się słowa czułości i pocieszania, jakie chcieli sobie powiedzieć i nie poredzili.

— Miłujesz to mnie, Jaguś — szepnął cicho.

— A bo raz ci to powiadałam, abo nie wychodzę do cię, kiej jeno chcesz... — odparła unikliwie, przysuwając się doń biodrem, bo żal jakiś ścisnął jej duszę i napelnił oczy łzami, że zachciało się jej płakać przed nim a przepraszać, że go już miłować nie poradzi, ale on to wnet pomiarkował, bo ten głos padł mu lodem na serce, aż się zatrząsł cały z bólu i złość pełna wyrzutów i żalów niewstrzymanych zalała mu serce.

— Cyganisz jak ten pies; wszyscy mnie odstąpili, to i tobie pilno za drugimi. Miłujesz mnie, juści, jak tego psa złego, którego ugryźć może i przed którym ognać się trudno! juści! Przejrzałam cię na wylot, znam ja cię dobrze i wiem, by mnie powiesić chcieli, pierwszabyś troków nie żałowała, by ubić kamieniami, pierwszabyś rzuciła za mną — gadał prędko.

— Jantoś — jęknęła przerażona.

— Cicho, póki swoje powiedam — krzyknął głośnie, podnosząc pięście. — Prawdę powiadam. A kiej do tego przyszło, to mi już wszystko zarówno, wszystko!

— Trza mi lecieć, wołają mnie ano! — jękała, chcąc uciekać zestraszona wielce, ale ją przychwycił za rękę, że ni drgnąć nie mogła i chrypliwym, złym, pełnym nienawiści głosem gadał:

— A to ci jeszcze powiem, bo swoją głupią głową nie miarkujesz, że jeśli na takie psy zeszedł, to i bez ciebie, bez to, żem cię miłował, rozumiesz, bez to! Za cóż to mnie ksiądz wypomniał i wygnał z kościoła kiej zbója, za ciebie! Za cóż to wieś cała mnie odstąpiła, kiej parszywego, za ciebie! Wycierpiałem wszycko, przeniosłem,

nawet i na to nie pomstowałem, że ci stary mojego, rodzonygo grontu zapisał tylachna... A tobie się już mierzi ze mną, wywijasz się kiej ten piskorz, cyganisz, uciekasz, bojasz się mnie i patrzysz na mnie jak wszystkie, kiej na tego mordownika i najgorszego!

— Innego ci już potrza, innego, radabyś by parobki za tobą ganiały kiej te psy na zwiesnę, ty!... — krzyczał zapamiętałe i te wszystkie krzywdy, złościę, jakimi się karmił oddawna, jakimi jeno żył, zwał na jej głowę, ją winił o wszystko, ją przeklinał za to, co przecierpiał, aż wkońcu brakło mu już głosu i taka go złość porwała, że rzucił się do niej z pięściami, ale opamiętał się w ostatniej chwili, pchnął ją tylko na ścianę i śpiesznie poszedł.

Jezus mój, Jantoś! — krzyknęła z mocą, zrozumiawszy z nagłą, co się stało, ale nie nawrócił, rzuciła się za nim z rozpaczą, zabiegła drogę i czepiła mu się szyi, to ją oderwał od siebie kiej pijawkę, rzucił na ziemię i bez jednego słowa poleciał, a ona padła z płaczem okropnym, jakby się świat cały nad nią zawałał.

Dopiero w dobre parę pacierzy przyszła nieco do siebie, nie mogąc jeszcze wyrozumieć wszystkiego, to jeno czuła okropnie, że stała się jej krzywda, stała się jej straszna niesprawiedliwość, iż serce rozpękało z bólu, dusiła się w sobie i chciało się jej krzyczeć ze wszystkich sił, na cały ten świat — jako niewinowata, niewinowata!

Wołała za nim, choć już i kroki jego ucichły, wołała w całą tę noc — napróżno.

Głęboka, ciężka skrucha i ten żal serdeczny i ten strach głuchy, gnębiący, okropny, że może on już nie

powróci, i to miłowanie dawne, znagła zmartwychwstałe, zwały się na nią ciężkiem, twardem brzemieniem nieutulonych smutków, że już i na nic nie bacząc, ryczała w głos, idąc do chałupy...

Na ganku zetknęła się z Kłębiakiem, którego jeno wsadził głowę do izby i krzyknął:

— Chłopski las robią! — i dalej poleciał.

Migiem ta wieść rozlała się po wsi, buchnęła kiej pożar, ogarniając wszystkie serca strapieniem a gniewem srogim, że już drzwi się nie zamykały, tak biegali po chałupach z nowiną.

Juści, rzecz była wielka dla wszystkich i tak groźna, że cała wieś przycichła znagła, jak kieby piorun uderzył; chodzili lękliwie, na palcach, gadali szeptem, ważąc każde słowo, rozglądając się trwożnie i nasłuchując czająco, nikt nie krzychał, nikt nie lamentował i nikt pomstą nie trząchał, bo każdy czuł w tej minucie, że to nie przelewki a sprawa taka, na którą babie piski nie porządzą, a ino mądre pomyslenia i to społecznie postanowienie.

Wieczór już był późny, ale śpik wszystkich odleciał, niejedni kolacji odbieźeli, zapominali o obrządkach wieczornych, zapominali zgoła o sobie, a jeno się snuli po drogach, wystawali w opłotkach, to nad stawem i szepty ciche, trwożne, przytajone drgały w mroku, kiej ten brzęk pszczelny.

Czas też był cichszy, deszcz przestał, pojaśniało nawet dziebko, po niebie leciały chmurzyska stadami, a dołem, nisko przeciągał mroźny wiater, że ziemia jęła się ścinać w grudę i obmoknięte, czarne drzewa przybla-

dły szroniejące, głosy zaś choć przyduszone szły wyraźniej.

Naraz się rozniesło, że poniektórzy gospodarze się zebrali i walą do wójta.

Jakoż przeszedł Winciorek z kulawym Grzelą; przeszedł Caban Michał z Frankiem Bylicą, stryjecznym Hanczynego ojca; przeszedł Socha; przeszedł Walek z krzywą gembą, Wachnik Józef, Sikora Kazimierz, a nawet stary Płoszka — jeno Boryny nikto nie dojrzał, ale mówili, że i on poszedł...

Wójta doma nie było, bo zaraz po południu pojechał do kancelarji, to, już wszystkie razem, całą kupą poszli do Kłęba, cisnęło się za nimi sporo ludzi, to bab, to dzieci, ale przywarli drzwi, nikogo już nie puszczając do środka, Kłębiak zaś, Wojtek, miał przykazane nagładanie po drogach i przy karczmie, czy się gdzie strażnik nie pokaże...

Przed domem zaś, w opłotkach, a nawet na drodze zbierało się coraz więcej narodu, każdy był ciekaw, co tam starszyzna uradzi, a radzili długo, jeno że nikto nie wiedział co i jak? bo ino przez okna widać było ich siwe głowy w półkołu pochylone do komina, na którym się palił ogień, a z boku stał Kłąb, cosik im prawił, pochylał się nisko i raz wraz bił pięścią w stół.

Niecierpliwość zaś rosła w czekających z minuty na minutę, aż wkońcu Kobus, to Kozłowa, to i parobki niektóre zaczęli szemrać i głośno powstawać na radzących, że nic nie uradzą dobrego la narodu, bo im jeno o samych siebie chodzi, jako gotowi się jeszcze z dworem pogodzić a resztę na zgubę podać...

Kobus się już był tak rozsierdził wraz z komornikami i drugą biedotą, że już otwarcie namawiał, by nie zważając na radzących, o sobie pomyśleć, swoje uradzić, cosik postanowić a rychło, póki czas, póki tamte ich nie sprzedadzą...

Jawił się na to Mateusz i zaczął nawoływać do karczmy, by tam swobodnie poradzić, a nie jak te pieski pod cudzym płotem naszczekiwać...

Trafiło to do serca narodowi, bo całą hurmą ruszyli do karczmy.

Żyd już światła gasił, ale musiał otworzyć i z trwożą patrzył na walącą się ciżbę; wchodzili w milczeniu, spokojnie zajmując wszystkie ławy, stoły i kąty, nikt bowiem nie pił a jeno kupili się gęsto, poredzając zcicha i wyczekując, kto z czem pierwszy wystąpi...

Nie brakowało skorych do pierwszeństwa, jeno że się jeszcze kaźden wagował wystąpić i na drugich oglądał, aż dopiero Antek się wyrwał, na środek skoczył i ostro, z miejsca zaczął pomstować na dwór...

Ale choć wszystkim trafił prosto do serca, mało kto przytwierdzał, boczo no się nań, patrzono zyzem, niechętnie, odwracano się nawet plecami, że to jeszcze zbyt żywo pamiętano księżę wypominki a i te jego grzeszne sprawy. Nie zważał na to, a że go wnet poniesła zapamiętałość i jakby dziki, bitkowy szal ogarniał, to z całej mocy krzyczał na końcu.

— Nie dajta się chłopci, nie ustępujta, nie darujta krzywdy! Dzisiaj wama wzięli las, a jak się bronić nie będziecie, to jutro gotowi są wyciągnąć pazury po ziemię

waszą, po chałupy, po dobytek! Któż im wzbroni! kto się im sprzeciwi!...

Poruszył się nagle naród, pomruk głuchy poszedł po izbie, tłum się zakołysał gwałtownie, rozbłysły dziko oczy, sto pięści naraz wyrwało się nad głowy i sto pięści ryknęło wraz, kieby piorunami...

— Nie damy! Nie damy! — huczeli, aż się karczma zatrzęsała od mocy.

Nato i czekali przodownicy, bo wnet Mateusz, Kobus, to Kozłowa, to potem i drugie, rzucili się we środek i nuż krzyczeć, nuż pomstować a judzić... że wnet karczmę zalał wrzask, groźby, przekleństwa, tupania, bicie pięściami w stoły i hukliwa, sroga wrzawa zagniewanego narodu.

Każdy wołał swoje, każdy się srożył, każdego co innego radził, że ciskali się zapamiętane, kiej te pieski w sieniach przywarte, których nie ma kto na świat wypuścić i puszczać na nieprzyjacioły... To się i tumult srogi uczynił, krzyki i sprzeciwy, bo się naród ozeźlił i krzywdą swoją ostargał na wnętrzu, a na jedno zgodzić się nie mógł, bo nie było takiego, którenby swoją mocą wszystkich przeparał i do pomsty powiodł...

Kupami się zwierali a w każdej był jakowyś pyskacz, któren wrzeszczał najgłośniej i pomstował, zaś wskrósł gąszczu uwijali się przodownicy, rzucając gdzie trzeba było to słowo ostre, że już wkońcu jeden drugiego nie słyszał, bo wszyscy ano wraz krzyczeli.

— Pół lasu położyli, a takie dęby, że w pięciu chłopca nie obejmie.

— Kłębiak widział, Kłębiak!

— Wytną i resztę, wytną, nie będą waju prosili o przyzwolenstwo! — skrzeczała Kozłowa, przeciskając się ku szynkwasowi.

— Zawdy naród krzywdzili, jak ino mogli.

Kiej takie głupie barany jezdešta, to niech waju zapędzają, kaj chcą...

— Nie dać się, nie dać! Gromadą iść, rozgonić, las odebrać!

— Zakatrupić krzywdzicieli!

— Zakatrupić! — wrzasnęli wraz i znowuj pięście się podniosły groźnie, krzyk buchnął ogromny i tłum cały zawrzał nienawiścią a pomstą, a gdy przycichło, Mateusz krzyczał przy szynkwasie do swoich.

— Ciasno jest wszystkim kiej w tej sieci, bo dwory wszędzie, ze wszystkich stron kiej te ściany ściskają wieś i duszą, chcesz krowę popaść za wsią — w dworskie wnet utkniesz; konia wypuścisz — dworskie za miedzą; kamieniem ciepnąć nie można, bo w dworskie padnie... a zaraz zajmą, zaraz sądy, zaraz sztrafy!

— Prawda! Prawda! Łąka dobra, dwa pokosy daje — dworska juści, najlepsze pole — dworskie, las — dworskie wszystko — przytakiwali.

— A ty narodzie na piaskach siedź, łajnem się ogrzewaj i zmiłowania pańskiego czekaj!

— Odebrać lasy, odebrać ziemię! Nie dać swojego!

Długo tak krzyczeli, ciepiąc się w różne strony, pomstując i pograżając srogo, a że radzili głośno i z gorącością niemalą, to niejednemu trza się było napić gorzałki dla pokrzepienia, drugie zaś piwo la ochłody pili,

a trzecim się przypominały niedojedzone kolacje, że krzykali na żyda o chleb i śledzie...

A gdy sobie podjedli, a podpili, przestygli mocno z zawziętości i zaczęli się zwolna rozchodzić, nic nie postanowiwszy.

Mateusz zaś wraz z Kobusem i Antkiem, któren już cały czas na boku się trzymał i cosik swojego kalkulował, poszli do Kłęba i zastawszy jeszcze gospodarzy, wspólnie z nimi uradzili coś na jutro i cicho rozeszli się po chałupach.

Noc też już była późna, światła pogasły w izbach, cichość padła na wieś, że jeno kiejs niekiej pies zaszczekał, albo wiatr zaszumiał, że przemarzłe drzewiny tłukły się w zmrokach o siebie kiej nieprzyjacioły, a potem długo i trwoźnie szemrały. Przymrozek wziął galanty, płoty pobielwały od szronu, ale jakoś zaraz z północks, gwiazdy się skryły, pociemniało i zrobiło się na świecie posepnie, straszno jakoś... Cały naród leżał we śpiku, ale sen był ciężki i gorączkowy, bo raz wraz zrywał się cichy płacz dzieciątek, to ktosik budził się cały w potach i takim strachu dziwnym, że pacierzem duszę krzepić musiał; gdzie znowu huki jakieś spać nie dawały, że zrywali się wyglądać, czy nie złodzieje; niejeden zaś krzyczał przez sen, powiedając potem, że zmora go dusiła; to gdziesik psy zawyły tak żałośnie, aż serca truchlały z trwogi, przerażających przeczuć i obaw...

Noc się wlekła długo i ciężko, oprzędzając duszę trwogą, niepokojem i strasznemi snami, pełnemi mar i widzeń gorączkowych.

A skoro się jeno uczynił świt, że chyla tyła roze-

dniało i jaki taki oczy ozwarł i ciężką senną jeszcze głowę podnosił, Antek pobiegł na dzwonnice i zaczął bić w dzwon, kieby na pożar...

Próżno mu bronił Jambrozy wespół z organistą, kłął ich, chciał nawet bić i swoje robił z całej mocy.

Dzwon zaś bił wolno, bezustannie a tak ponuro, aż strach padł na serca, że ludzie strwożeni, wylękli wybiegali na pół ubrani, pytać, co się stało, i ostawiali już przed chałupami jakby w skamienieniu tak zasluchani, bo dzwon wciąż bił i huczał ponurym, wielkim głosem w świtowych brzaskach, aż ziemia dygotała, aż wystraszone ptactwo uciekało ku borom, a naród przetrwożony żegnał się i skrzepiał w sobie, boć już i Mateusz, Kobus a drugie biegali po wsi, łomocząc kijami w płoty i krzycząc:

— Na las! Na las! Wychodź, kto żyw! Pod karczmę! Na las!

To i na łeb i szyję przyodziewali się, że niejeden jeszcze w drodze się dopinał a pacierz kończył i w dyrdy biegał pod karczmę, gdzie już stał Kłęb z niektórymi gospodarzami...

Zaroily się wnet drogi, opłotki, obejścia, zawrzały naraz wszystkie chałupy, dzieci podniosły niemaly wrzask, kobiety krzykały przez sady, rwetes powstał taki, bieganina, jak gdyby pożar wybuchnął we wsi...

Na las! Kto ino ma z czem, kosę, to z kosą, cepy, kłonice, siekiery a brać!

Na las! — krzykiem tym trzęsło się powietrze i huczała wieś cała.

Dzień się już robił duży, a cichy był, jasny, omglony

jeszcze i mroźny, drzewa stały w osędzieliznie kiej w pajęczynach, drogi chrupały pod nogami słabą gruzią, wody się ściely, że pełno było zamarzłych kałuż, kiej tego szkła potrzaskanego, w nozdrzach wierciło ostre, rzeźwe powietrze a tak słuchliwe, że całym światem szły te krzyki a wrzawa.

Ale przycichało zwolna, bo zawziętość przejmowała serca i jakaś sroga, pewna siebie, nieustępliwa moc zakamieniła dusze i oblekała je w taką surową powagę, iż miłkli bezwiednie, zatapiając się w sobie.

Tłum wciąż się zwiększał, zajęli już cały plac przed karczmą aż do drogi, stojąc gęsto, ramię przy ramieniu, a jeszcze przybywali spóźnieni.

Witano się w milczeniu, kaźden stawał, gdzie popadło, obzierał się naokół i czekał cierpliwie na starszą, która poszła po Borynę.

Pierwszy był ano we wsi, to jemu się należało naród poprowadzić, bez niego żaden gospodarzby się nie ruszył.

Stojali więc cierpliwie a cicho, kiej ten bór zbity w gęstwę i zasluchany w głosy, jakie z niego idą i w te bełkoty strug, co gdziesik między korzeniami płyną... czasem jeno to jakie słowo przeleciało, czasem czyjaś pięść wybuchnęła w górę, to jakieś oczy rozgorzały bystrzej, to baranice zakolebały się mocniej, to czyjaś twarz poczerwieniała barzej i znowu nieruchomieli, że widzieli się kiej te snopy, ustawione wpodle siebie gęsto.

Kowal przyleciał, przeciskał wskroś gęstwy i zaczął naród odwodzić, straszyć, że za to, co zamysłają, cała wieś pójdzie w kajdany i zmarnieje, a za nim młynarz

powtarzał to samo, ale nikt nie zważał na nich ni słuchał — wiedziano bowiem dobrze, że obaj dworowi się wysługują i swój mają interes w przeszkadzaniu.

I Rocho przyszedł i ze łzami przekładał podobnie — nie pomogło.

Aż wkońcu i ksiądz przyleciał i jał swoje prawić — nie usłuchali, stali nieporuszeni, nikt czapki nawet nie zdjął, nikt go w rękę nie pocałował a ktosik nawet głośno krzyknął:

— Płacą mu, to prawi!

— Kazaniem krzywdy nie zapłaci — ktosik dorzucił urągliwie.

A tak patrzyli ponuro i zawzięcie, że ksiądz się rozplakał, nie przestając na wszystkie świętości zaklinać, by się opamiętali a do domów rozeszli, ale nie skończył, bo przyszedł Boryna i cały naród do niego się odwrócił.

Maciej błądy był kiej ściana i surowy, że aż mróz szedł od niego, ale oczy jarzyły mu się kiej wilkowi, szedł wyprostowany, chmurny a pewny siebie, znajomków pozdrowiał skinieniem i oczami po ludziach wodził; rozstąpiali się przed nim, czyniąc wolne przejście, a on wstąpił na belki, leżące pod karczmą, lecz nim przemówił, zaczęli tłumnie krzyżeć:

— Prowadźcie Macieju! Prowadźcie!

— Na las! Na las! — darły się drugie.

Dopiero kiej przycichło, pochylił się, wyciągnął ręce i jał wielkim głosem wołać:

— Narodzie chrześcijański, Polaki sprawiedliwe, gospodarze a komorniki! Krzywda się nam wszystkim stała, krzywda równa, jakiej ni ścierpieć, ni podarować!

Dwór las nasz tnie, dwór nikomu z naszych roboty nie dawał, dwór ciągiem na nas nastaje i do zaguby wiedzie! Bo i nie spamiętać ni tych krzywd, tych fantowań, tych szkód a utrapień, jakie cały naród ponosi! Podawaliśmy do sądu — co mu kto zrobi! Jeździłim ze skargą — darmo. Ale miarka się przebrała, tnie nasz bór! Pozwólmy to na to, co?

— Nie, nie! nie dać! Rozpedzić, zakatrupić, nie dać — krzyczeli a twarze szare, chmurne, zasepione rozbłysły wnet kiejby piorunami, sto pięści zamigotało w powietrzu i sto gardzieli zaryczało, a gniew zatrzęsał sercami.

— Nasze prawo, a nikto go nam nie przyznaje; nasz bór a tnie go! To i cóż my sieroty poczniemy, kiej nikt na świecie o nas nie stoi a wszystkie ukrzywdzają, cóż?... Narodzie kochany, ludzie chrześcijańskie, Polaki, to mówię wama, że rady już inszej nie ma, jeno sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i boru rąbać nie pozwolić! Wszystkie chodźmy, kto jeno żyw, kto jeno kulasami rucha, całą wsią, wszystkie jak jeden. Nie bójta się niczego ludzie, nie bójta, nasze prawo, to i nasza wola i sprawiedliwość nasza, a całej wsi karać nie ukarzą... Za mną ludzie, zbierać się duchem, za mną. Na las! — ryknął mocno. X

Na las! — odwrzasnęli wraz wszyscy, rum się uczynił, tłum się zakolysał, rozpękł i z krzykiem kaźden w dyrdy leciał do domu, sposobić się, że powstała gorączkowa śpieszna krzątania, przybierania się, zaprzęgi, wyciągania sań, rżenie koni, wrzaski dzieci, kłątwy, to kobiece lamenty, że ino się wieś trzęsła od przygotowań,

a może w jakie dwa pacierze już narychtowani ciągnęli na topolową, gdzie czekał Boryna w saniach wraz z Płoszką, Kłębem i co pierwszymi.

Ustawili się w rzędy, jak komu popadło, chłopcy, parobki, kobiety, dzieci nawet co starsze ruszyły; kto był saniami, kto konno, kto wozem, a reszta, wieś prawie cała na piechty się wybrała i zwarła się w gęstwą kieby w ten zagon długi, szumiący zbożem, przerośnięty czerwienią kobiecych przyodziewków, nad którym ino się trzęsły koły niezgorsze, to widły zardzewiałe, to cepy, a tu i owdzie, kiej błyskawica zamigotała kosa, że jakby na rolę ciągnął naród, jeno, że nie było śmiechów, żartów i wesela. Stali w cichości, omroczeni, surowi, gotowi na wszystko, a gdy już nastał czas, Boryna wstał w saniach, ogarnął naród oczami i krzyknął, żegnając się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Amen, w drogę!

— Amen! Amen! — przywtórzyli, że aż zaświegotała właśnie sygnaturka, snadź ksiądz ze mszą wychodził, żegnano się, zdejmowano czapki, bito się w piersi, a jaki taki westchnął żałościwie i ruszali sformnie, mocno i w milczeniu i całą prawie wsią, jeno kowal przywarł gdziesik w opłotkach, przebrał się do chałupy, skoczył na konia i popędził bocznemi drogami ku dworowi, Antek zaś, któren był od samego zjawienia się ojca skrył się w karczmie, skoro ruszyli, wziął od żyda fuzję, schował ją pod kozuch i pognął do borów na przelaj przez pola... nie oglądając się nawet za gromadą...

A naród ruszył żwawo za Boryną jadącym na przedzie.

Tuż za nim ciągnęły Płoszki, ilu ich było z trzech chałup, ze Stachem na przedzie, naród był nie urodny, ale pyskаты, szumny i wielce w siebie dufający.

A za nimi Sochy, których wiódł sołtys.

A trzecie były Wachniki, chłopcy drobne, suche ale zajadłe kiej osy.

A czwarte szły Gołębie, Mateusz im przewodził, nie wiele ich było, jeno że starczyli za pół wsi, bo same zabijaki nieustępliwe i rozrosłe kiej dąby.

A piąte Sikory, krępe niby pnie, żylaste i mrukliwe.

A potem Kłębiaki i młódź druga, wyrosła, bujna, swarliwa i na bitki wszelkie lakoma, którą prowadził Grzela, wójtów brat.

A wkońcu Bylice szły, Kobusy, Pryczki, Gulbasy, Paczesie, Balcerki i ktoby je tam wszystkie spamiętał.

Szli mocno, aż się ziemia trzęsła, posepni, kwardzi a groźni, kiej ta chmura gradowa, co to jeno połyskuje, nabrzmiewa piorunami, głuchnie a leda chwila spadnie i świat cały roztratuje.

A za nimi niesły się płacze, wrzaski i lamenty pozostałych.

Świat był jeszcze zmartwiałý od nocnego chłodu, pełen sennej głuszy i spowity w lute i szkliste mgły.

Cichość zalegała bory, ziąb przeciągał ostry i słaby brzask zórz oczerwieniał czuby i sypał się gdzie niedzie na śniegi blade.

Jeno na Wilczych dołach grzmiały huki walących się raz po raz drzew, bicie siekier i przeszywający, zgrzytliwy pisk pił.

Walili bór!

Więcej niżli czterdzieści chłopca pracowało od samego świtania, kieby to stado dzieciółów spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadle, że drzewa padały jedne po drugich, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem niby łan stratowany, a jeno kajś niekaj, niby te osty kwarde, sterczały smukłe nasienniki, pochylając się ciężko, jako matki żałośnie płaczące nad pobitemi, kajś niekaj szeleściły smutno krze niedocięte, to jakaś drzewina — mizerota, której topór nie chycił, dygotowała trwoźnie — a wszędy, na płachtach śniegów podeptanych, niby na tych całunach ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy gałęzi, wierzchoły martwe i kloce potężne, obdartym i poćwiertowanym trupom podobne, zaś strugi żółtych trocin rozsączały się w śniegach, kieby ta żałosna krew lasu.

A wokół nad porębą, niby nad grobem otwartym, stał las zbitą, wyniosłą i nieprzeniknioną ciźbą, jako te przyjacioly, krewniaki a znajomkowie, co gęstwą stanęli pochyloną i w trwożnem milczeniu, z tłumionym krzykiem rozpaczy nasłuchują padających w śmierć i patrzą zdrętwiali na nieubłaganą kośbę.

Bo rębacze szli naprzód nieustannie, rozwiedli się w szeroką ławę i zwolna, w milczeniu wpierali się w bór, zda się niezmożony, któren posepną, wyniosłą ścianą pni zwartych zastępował im drogę, a tak przysłaniał ogromem, że ginęli zgoła w cieniu konarów, jeno topory błyskały w mrokach i były niestrudzenie, jeno świst pił nieustawał ani na chwilę, a co trochę drzewo się jakieś chwiało, i znagła kiej ten ptak zdradnie pochwycony we

wnyki, odrywało się od swoich, biło gałęziami i z jękiem śmiertelnym padało na ziemię — a za niem drugie, trzecie, dziesiąte...

Padaly sosny ogromne już, od starości ozieleniałe, padaly jedle, kieby w zgrzebne kapoty przyodziane; padaly świerki rozłożyste, padaly i dęby bure, brodami siwych mchów obrosłe — kiej te starce, których pioruny nie zmogły i setki lat nie skruszyły, a topory na śmierć powiedły, a inszych zasie tyle, podlejszych drzew, któż to wypowie ile, a jakich padało!

Las marł z jękiem, drzewa padaly ciężko jako te chłopcy w boju ściśnięte a parte jedne przez drugie, nieustępliwe, krzepkie, jeno że bite mocą niezmożoną, iż ni Jezus krzyknąć nie krzykną i wraz całą ławą się chylą i w lutą śmierć padają.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie, ziemia drgała ciężkiem od zwałonych drzew, siekiery waliły bez przestanku, zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi niby ten wzdych ostatni, przedzierał powietrze.

I tak szły godziny za godzinami, a coraz nowe pokosy drzew zalegały porębę i robota nie ustawała.

Sroki krzyczały, wieszając się po nasiennikach, to czasem stado wron przeciągnęło z krakaniem nad tem polem śmierci, to zwierz jaki wysuwał się z gęstwiny, stawał na skraju i długo wodził szklistemii oczami po skołtunionych dymach ognisk, po drzewach padających, a dojrzawszy ludzi z bekiem uciekał.

A chłopcy rąbali zawzięcie, wżerając się w bór kiej te wilki, gdy stada dopadną, a ono się zbije w kupę i zdre-

twiałe śmiertelnie, pobekujące, czeka, póki ostatnia owieczka nie padnie pod kłami.

Dopiero po śniadaniu, gdy słońce podniosło się do tela, że osędzielina jęła skapywać a złote pająki światła pelzały wskróś boru, dosłyszał ktosik daleką wrzawę.

— Ludzie jakieś idą całą gromadą — rzekł któryś, przyłożywszy ucho do drzewa.

Jakoż i gwar był coraz bliższy i wyraźniejszy, że wnet rozległy się pojedyncze okrzyki i głuchy łopot wielu nóg, a nie wyszło i Zdrowaś, kiedy na dróżce biegnącej od wsi, zamajaczyły sanie, które wnet wypadły na porębę, stał w nich Boryna, a za nimi konno, wozami i piechty wysypywał się gęsty tłum kobiet, chłopów i wyrostków, a wszystko to, podniesłszy srogi krzyk, jęło gnać ku rębaczom.

Boryna zeskoczył ze sani i pognął przodem; za nim zaś, gdzie kto ino wziął miejsce, lecieli drudzy; kto był z kijem, kto znów groźnie potrząchał widłami, któren cepy dzierzył mocno w garści, inszy kosą migotał, a inszy jeszcze z prostą gałęzią, a jak kobiety, to prosto z pazurami i wrzaskiem, a wszystkie runęli na przerażonych rębaczów.

— Nie rąbać! Wara od boru! Nasz las, nie pozwalamy! — wrzeszczeli razem, że i nikto nie wyrozumiał, czego chcieli, dopiero Boryna przystanął przy struchlałych i ryknął, że na cały las się rozległo:

— Ludzie z Modlicy! ludzie z Rzepek i skąd ta jeszcze jesteście, słuchajta!

— Przycichło zdziebko, a on znowu wołał:

— Zabierzta co wasze i idźta z Bogiem, rąbać

wzbraniamy, a którenby nie usłuchał, z całym narodem miał będzie sprawę...

Nie opierali się, boć srogie twarze, kije, widły, cepy i tyła narodu rozgniewanego, gotowego do bitki strachem przejmowało, to zaczęli się zmawiać, skrzykiwać, topory za pas zakładać, piły zbierać i kupić do się z pomrukiem gniewnym, a zwłaszcza Rzepczaki, że to szlachta była i od wieków w kłótniach sąsiedzkich z Lipczakami, to wyklinali w głos, trzaskali toporami, odgrażali się, ale chcąc nie chcąc, ustępowali przed siłą, a naród zaś krzykał groźnie, następował na nich i wypierał w bór.

Insi zaś rozbiegli się po porębie, gasić ogniska i rozwalać poukładane sążnie, a baby, z Kozłową na przedzie. dojrzawszy budy zbite z desek na kraju poręby, pognały tam, i nuż je rozdzierać a rozwłóczyć po lesie, by i śladu nie zostało.

Boryna zaś, skoro rębacze ustąpili tak łacno, skrzykiwał gospodarzy i namawiał, by całą gromadą do dworu teraz iść i zapowiedzieć dziedzicowi, aby się nie ważył lasu ruszyć, póki sądy nie oddadzą, co jest chłopskiego. Ale nim się zmówili, nim wymiarkowali, co zrobić, aby było jaknajlepiej, baby podniosły krzyk i zaczęły bezładnie uciekać od bud, bo kilkanaście koni wypadłych z lasu jechało im na karkach...

Dwór uprzedzony przybywał rębaczom na pomoc.

Na czele parobków jechał rządcą, wpadli na porębę ostro i zaraz z miejsca, dopadłszy kobiet, zaczęli je prać batami, a rządcą, chłop kiej tur, bił pierwszy i krzyczał:

— Złodzieje, Wszarze! Batami ich! W postronki, do kryminału!

— Kupą, kupą, do mnie, nie dawać się! — wrzeszczał Boryna, bo naród już się rozlatywał zestrachany, ale na ten głos powstrzymali się w miejscu, nie bacząc na baty, prażące niejednych już po łbach, w dyrdy, osłaniając rękami głowy, biegli do starego.

— Kijami psubratów! Cepami w konie! — krzyczał rozszokowany stary i porwawszy jakiś kół, pierwszy rzucił się na dworskich; a prał, gdzie popadło, za nim zaś, kiej ten bór wichurą gniewu przejęty, zwarły się chłopcy ramie w ramie, cepy przy cepach, widły przy widłach i z krzykiem ogromnym runęli na dworskich, prażąc, czem kto ino mógł dosięgnąć, aż zadudniało, jakby kto groch na podłodze kijem wyluskiwał.

Podniesły się wrzaski nieludzkie, przekleństwa, kwiki przetręcanych koni, jęki rannych, głuche a gęste razy kołów, szamotania chrapliwe i dzikie pokrzyki pobożowiska.

Dworscy bronili się tego, wymyślali i bili niezgorzej od chłopów, ale zaczęli się wkońcu mieszać i cofać, bo konie smagane cepami stawały dęba i z kwikiem nawracały, ponosząc, aż rządca, widząc, co się dzieje, spiął swojego bułanka i skoczył w całą kupę narodu, ku Borynie, ale ino tyla go było widać, bo naraz zawarczały cepy i kilkadziesiąt bijaków spadło na niego, a kilkadziesiąt rąk chwyciło go ze wszystkich stron i wyrwało z konia, że kiej ten kierz, ryjem podważony, wyleciał w powietrze i padł w śnieg, pod nogi, iż ledwie go Boryna

ochronił i zawłókl nieprzytomnego w przepieczne miejsce.

Skłębiło się wtedy wszystko zagnęła, jak kiedy wichur uderzy niespodzianie w kopy, zamęci, że jeno jeden kłęb nierozeznany się uczyni, tacza po polu i przewala po zagonach; krzyk się podniósł straszny i taki zamęt, taki wir, że już nic nie było widno, kromie splątanych kup, tarzających się po śniegach, kromie pięści walących z wściekłością, a czasem jakiś wydzierał się z kupy i uciekał kiej oszalały, ale nawracał wnet i z nowym krzykiem, z nową wściekłością rzucał się do bitki...

Prali się w pojedynkę i kupami, wodzili za orzydła to za lby, gnietli kolanami, ozdierali do żywego mięsa, a przeprzeć się jeszcze nie mogli, bo dworscy poseskakiwali z koni, nieustępując ani na krok, ile że przybywała im ciąga pomoc, bo rębacze przeszli na ich stronę i tego wspierali; pierwsze Rzepczaki hurmą a milczkiem kiej te złe psy rzucili się pomagać, a wiódł wszystkich borowy, któren w ostatniej chwili się zjawił, że zaś chłop był jak byk, mocarz głośny na okolicę, a przytem zadzierzysty i swoje sprawy z Lipcami mający, to pierwszy się rzucał w pojedynkę na całe kupy, rozbijał lby kolbą fuzji, rozpędział i tak prał, że niech Bóg broni.

Poszedł nań Stacho Płoszka, by go wstrzymać, bo już naród zaczął przed nim uciekać, to go uchwycił za orzydle, okręcił nad sobą i rzucił na ziem, kiej ten snopek wymłócony, aż Stacho padł nieprzytomny. Skoczył doń któryś z Wachników i trzasnął go cepami gdziesik w ramię, ale dostał naodlew pięścią między oczy, że jeno

ozwarł ramiona i z tem słowem Jezus rymnął na ziemię.

Wkońcu już i Mateusz nie wytrzymał i rzucił się do niego, ale choć chłop był w mocy jednemu Antkowi równy, nie wytrzymał i pacierza, borowy go zmógł, sprął, w śniegu utyłł i do ucieczki przyniewolił, a sam ruszył ku Borynie, która w kupie całej wodził się za łby z Rzepczakami, ale nim się doń dobrał, opadły go z wrzaskiem baby, przychwyciły pazurami, wpięły mu się w kudły, splątały i przygiąwszy do ziemi, wodziły się z nim — jako te kundle, kiej psa owczarskiego opadną, klami za skórę ujmą i ciepią się z nim to w tę, to w ową stronę.

Ale już pod ten czas i naród brał górę, zwarli się i pomieszali kiej te liście, każdy swojego ulapił, dusił i taczał się z nim po śniegu, a baby dopadały z boków i darły za kudły.

Wrzask był ano już taki, zamęt, kotłowanina, że swój swojego ledwie rozpoznał, ale wkońcu przeparli dworskich, paru już z nich leżało pokrwawionych, a insze zaś, zmordowane, osłabłe, chyłkiem uciekały w las, tylko rębacze bronili się ostatkami sił, a nawet gdzie niegdzie prosili o miłosierdzie, ale że naród był rozszrożony jeszcze barzej na nich, niżli na dworskich, że rozgorzał kiej ta żagiew na wietrze, to próśb nie słuchał i na nic nie baczyl — jeno prał z całą wściekłością.

Porzucali kije, cepy, widły a zwarli się na moc, chłop z chłopem, pięść na pięść, siła na siłę, gnietli się tak ano, dusili, ozdierali, kulali po ziemi, że już przymilkły wrzaski, a tylko ciężkie charczenia, kłątwy, a szamotania słyhać było.

Taki się sądny dzień zrobił, że i wypowiedzieć nie sposób!

Ludzie poszaleli prawie, zawziętość nimi rzucała i gniew ponosił, a zwłaszcza Kobus z Kozłową widzieli się całkiem powściekami, że aż strach było na nich patrzeć, tak byli okrwawieni, pobici a mimo to rzucający się na całe kupy.

Tak się ano przepierali jeszcze, a z coraz większym krzykiem Lipczaków, że już się zaczynały gonitwy uciekających i bicie w dziesięciu jednego, gdy borowy opędził się wreszcie babom, ale srodze poturbowany i przeto jeszcze wścieklejszy zaczął skrzykiwać swoich, a dojrawszy Borynę, skoczył na niego, chwycili się wół, opletli barami kiej niedźwiedzie i nuż się przepierać, a zataczać, a bić o drzewa, bo się już byli wywiedli w bór.

Na to właśnie nadleciał Antek, spóźnił się wielce, więc przystanął na skraju boru, by złapać nieco powietrza i wnet dojrzał, co się z ojcem dzieje.

Zatoczył dookoła jastrzębiami ślepiami, nikt na nich nie baczył, wszystkie ano były w takiej bitce, w takim pomieszaniu, że ni jednej twarzy nie rozeznał, więc cofnął się, chyłkiem przedostał się do Boryny i przystanął o parę kroków za drzewem.

Borowy przemagał, ciężko mu szło, bo już był srodze zmordowany, a i stary trzymał się krzepko, padli właśnie na ziemię, tarzając się kiej dwa psy i tłukąc o ziemię, ale coraz częściej stary był na spodzie, czapa mu zleciała, że jeno ten siwy łeb podskakiwał po korzeniach.

Antek raz się jeszcze obejrzał, wyciągnął flintę z pod kożucha, przykucnął i przeżegnawszy się się bez-

wiednie, zmierzyl do ojcowej głowy... nim jednak spuścił kurek, porwali się obaj na nogi, Antek też się podniósł i fuzję przyłożył do oka — nie strzelał jednak, strach nagły, okropny ścisnął mu tak serce, że ledwie mógł dychać, ręce mu latały kiej w febrze, zadygotał cały, w oczach pociemniało i tak się zakręciło w głowie, że stał długą chwilę, nie wiedząc zgoła, co się z nim dzieje, naraz rozległ się krótki, przerażający krzyk.

Ratujta ludzie!... Ratujta...

Borowy właśnie w ten mig trzasnął Borynę kolbą przez łeb, aż krew chlusnęła, a stary jeno zakrzyczał, podniósł ręce do góry i padł kiej kloc na ziemię...

Antek oprzytomniał, rzucił fuzję i skoczył do ojca; stary jeno charczał, krew zalewała mu twarz, głowę miał prawie napół rozłupaną, żyw był jeszcze, ale już oczy zachodziły mu mgłą i kopał nogami...

— Ociec! Mój Jezus! Ociec! — wrzasnął strasznym głosem, porwał go na ręce, przytulił do piersi i zaczęła w niebogłosy krzyczeć:

— Ociec! Zabili go! Zabili! — wył kiej ta suka, gdy jej dzieci potopią.

Aż kilkoro ludzi co najbliższych posłyszało i przybiegło na ratunek; złożyli pobitego na gałęziach i jeli śniegiem obwalać mu głowę i ratować, jak ino poredzili. Antek zaś przysiadł na ziemi, targał się za włosy i krzyczał nieprzytomnie:

— Zabili go! Zabili!

Aż myśleli, iż mu się znagła w głowie popsulo.

Naraz ucichł, przypomniął sobie znagła wszystko

i rzucił się do borowego z krzykiem przerażającym i z takim szaleństwem w oczach, że borowy się zląkł i zaczął uciekać, ale czując, że go tamten dogania, odwrócił się raptem i strzelił mu prawie prosto w piersi, nie trafił go jednak jakimś cudem, tyle jeno, że twarz osmalił, a Antek zwałił się na niego jak piorun.

Próżno się bronił, próżno wymykał, próżno przywiedziony rozpaczą i strachem śmiertelnym o zmiłowanie prosił — Antek porwał go w pazury, kiej ten wilk wściekły, zdusił za gardziel, aż grdyka zachrzęściła, uniósł do góry i tłukł nim o drzewo potąd, póki ostatniej pary nie puścił.

A potem jakby się zapamiętał, że już nie wiedział, co robił, rzucił się w bitkę, a tam, kędy się zjawił, serca truchlały, ludzie uciekali ze strachem, bo straszny był, umazany ojcową krwią i swoją, bez czapki, z pozlepianym włosiem, siny kiej trup, okropny jakiś a tak nadludzko mocny, że prawie sam jeden zmordował i pobił tę resztę dających opór, aż musieli go wkońcu uspakajać i odrywać, boby zabijał na śmierć..

Bitka się skończyła i Lipczaki, choć zmordowani, pokaleczeni, okrwawieni, napelniali las radosną wrzawą.

Kobiety opatrywały co ciężiej rannych i przenosiły na sanie, a było ich niemało, Kłębiak jeden miał złamaną rękę, Jędrzych Pacześ przetracony kulas, że stąpić nie mógł i darł się w niebogłoty, kiej go przenosili, Kobus zaś był tak pobity, że się ruchać nie mógł, Mateusz żywą krew oddawał i na krzyż narzekał, a insi też ucierpieli nie gorzej, że prawie nie było ani jednego, któryby cało wyszedł,

ale że górę wzięli, to i na ból nie bacząc, pokrzykali wesoło a rozgłośnie — i zabierali się do powrotu.

Borynę złożyli na saniach i wieźli wolno, bojąc się, by w drodze nie zamarł; nieprzytomny był, a z pod szmat wciąż wydobywała się krew, zalewając mu oczy i twarz całą, blady był jak płótno i zupełnie podobny do trupa...

Antek siedł przy saniach, wpatrzony przerażonym wzrokiem w ojca, podtrzymywał mu głowę na wybojach i raz wraz belkotał cicho, prosząco, załośnie:

— Ociec! Loboga, ociec!...

Ludzie szli bezładnie, kupami, jak komu lepiej było a lasem, bo środkiem drogi szły sanie z poranionymi, jaki taki jęczał i postękiwał, a reszta śmiała się głośno, pokrzykując wesoło i szumnie. Zaczęli opowiadać sobie różności, a przechwalać się z przewagi i przekpiwać z pokonanych, gdzie niegdzie już i śpiewy zaczęły się rozlewać, ktoś znów krzykał na cały bór, aż się rozlegało, a wszyscy byli pijani triumfem, że niejeden zataczał się na drzewa i potykał o lada jaki korzeń!...

Mało kto czuł pobicie i zmęczenie, bo wszystkie serca rozpierała nieopowiedziana radość zwycięstwa, wszyscy pełni byli wesela i takiej mocy, że niechby się kto sprzeciwił, na prochyby starli, na cały światby się porwali.

Szli mocno, głośno, hałaśliwie, tocząc jarzącymi oczami po tym borze zdobytym, którego chwiał się nad głowami, szumiał sennie i sypał na nich rosisty opad osędzielizny — kieby temi łzami pokrapiał.

Naraz Boryna otworzył oczy i długo patrzył

w Antka, jakby sobie nie wierząc, aż głęboka, cicha radość rozświetliła mu twarz, poruszył ustami parę razy i z największym wysiłkiem szepnął:

— Tyżeś to synu?... Tyżeś!...

I omdlał znowu.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

K
907/3